WYDANIE NA WIELKANOC – 100 STRON

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY
NR 14/674 30 MARCA–6 KWIETNIA 2026
CENA 13,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Fenomen Viktora Orbána – znów wygra czy jednak przegra?

Zagadka „cesarza” Xi – kto dziś rządzi Chinami

Pasjonująca rozmowa z prawnukiem Mieczysława Fogga

Gdzie się podzieli Rothschildowie



Esej Pawła Lisickiego

ZMARTWYCHWSTANIE CHRYSTUSA

– PIERWSZE ŚWIADECTWO WIARY

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

PISZĄ: ZIEMKIEWICZ • SEMKA • CEJROWSKI • WARZECHA • WIELOMSKI • MASŁOŃ BOJAŃCZYK • GOCIEK • KRATIUK • PIECZYŃSKI • CHMIELEWSKI • WIEROMIEJCZYK KARWELIS • POSPIESZALSKI • PRZYBYLSKI • KOMUDA • JASTRZĘBOWSKI • GABRYEL

eprasa.pl/zab

REPUBLIKA

Sześć gwiazd Republiki komentuje sześć najważniejszych tematów mijającego tygodnia. To jest „Rewolwer” – najbardziej wystrzałowy program publicystyczny w Polsce.



SOBOTA 9:10

w Republice

Komentuj na X.com

#REWOLWER

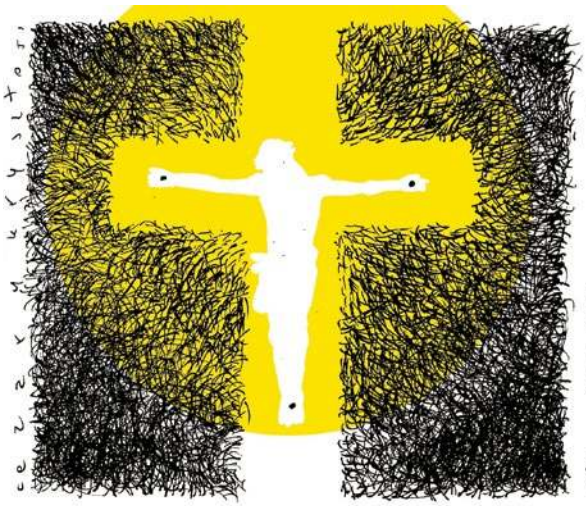
www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR

WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl 75b7358ee2



Niech Chrystus Zmartwychwstały napełni nasze serca pokojem, radością i nadzieją

Błogosławionych Świąt Wielkanocnych

życzy redakcja tygodnika „Do Rzeczy"



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Polski chrześcijański syjonizm

Od lat żaden list napisany przez polskich biskupów nie wywołał tak gwałtownych reakcji jak ten opublikowany w niedzielę 22 marca i poświęcony relacjom z judaizmem. Trudno się dziwić.

W liście stwierdza się, że „Bóg, wierny swym obietnicom, nie odwołał Pierwszego Przymierza. Izrael pozostaje nadal narodem wybranym". To dogmat współczesnych chrześcijańskich syjonistów z USA, który służy im do wspierania agresywnej polityki podboju prowadzonej przez Izrael. Poza tym, jeśli Izrael pozostaje nadal narodem wybranym, to czym jest Kościół? Wygląda na to, że traci on w ogóle własną tożsamość i fundament, którym był Chrystus, kamień węgielny. Otóż według listu to nie Chrystus jest fundamentem Kościoła, ale „szlachetna oliwka", czyli Żydzi, którzy Chrystusa odrzucili.

Nie mniejszy absurd pojawia się w innym fragmencie tekstu, kiedy to biskupi piszą o czasach ostatecznych. Chociaż dla chrześcijan Mesjasz już przyszedł i wróci, a dla Żydów dopiero przybędzie pierwszy raz, to według biskupów różnica ta nic nie znaczy. Ot, bagatela. Tym, co wspólne, jest oczekiwanie, to zaś, kim jest ten, na kogo się oczekuje – czy Chrystusem, który odkupił ludzkość przez swą śmierć na krzyżu, czy też Mesjaszem, władcą izraelskiego, świeckiego imperium – jest drugorzędne. Z listu wynika również, że przez półtora tysiąca lat w swojej nauce na temat statusu niewiernego Izraela Kościół błądził.

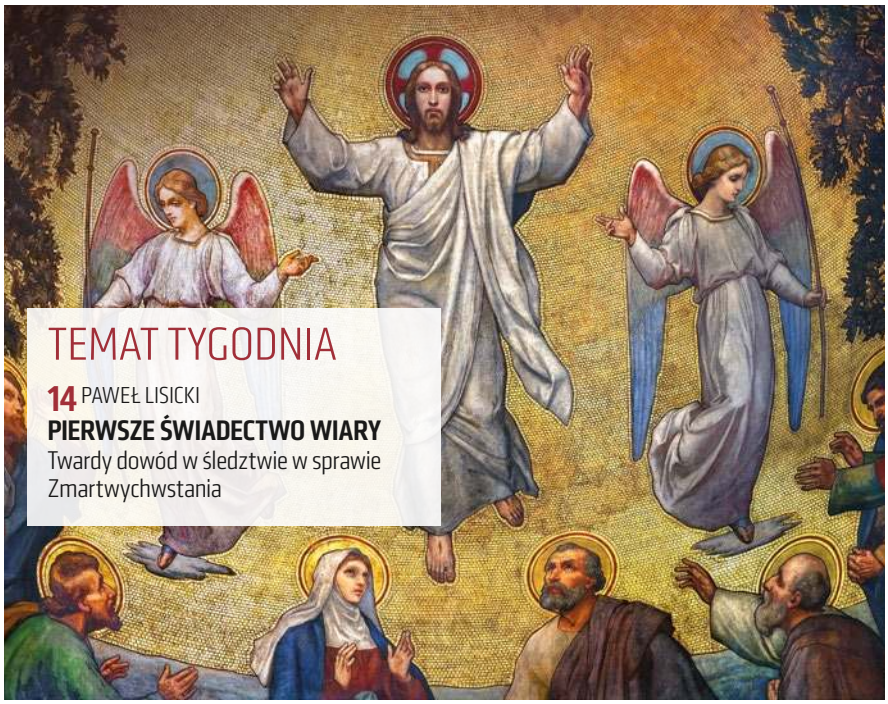
Biskupi uczą, że Żydzi nie potrzebują nawrócenia i przyjęcia wiary chrześcijańskiej. Bo „nie ma żadnych wątpliwości, że Żydzi są uczestnikami Bożego zbawienia, ale jak to może być możliwe bez wyraźnego wyznawania Chrystusa – jest i pozostanie niezgłębioną tajemnicą Bożą". Na koniec zaś wzywają, by odwiedzić synagogi, i to najwyraźniej w celu religijnym. „Odwiedźmy 13 kwietnia synagogę. Wspomnijmy mężczyzn i kobiety, których modlitwami przez wieki nasiąkały mury bożnic". Wszystko to zostało okraszone cytatami z Jana Pawła II, co, jak rozumiem, ma wymusić na zaskoczonych wiernych posłuszeństwo. Jest to klasyczny przykład szantażu emocjonalnego: albo przyjmie się błędne tezy, albo odrzuca się naukę polskiego papieża.

List wywołał szok nie tylko z powodu treści. Czas i okoliczności też zrobiły swoje. Czas – wojna rozpętana przez Izrael z Iranem, okoliczności – coraz bardziej agresywny izraelski syjonizm, rugowanie chrześcijaństwa z Ziemi Świętej i dążenie do budowy Wielkiego Izraela. W tym kontekście list zdaje się być wsparciem polskich biskupów dla dominującego w USA chrześcijańskiego syjonizmu i jego politycznych celów.

Ale jest i nadzieja – wielu księży i zwykłych wiernych po prostu tę nową naukę biskupów odrzuciło. ©℗

NASTĘPNY NUMER „DO RZECZY" UKAŻE SIĘ WE WTOREK 7 KWIETNIA 2026 R.

eprasa.pl 75b7358ee2



TEMAT TYGODNIA

14 PAWEŁ LISICKI
PIERWSZE ŚWIADECTWO WIARY
Twardy dowód w śledztwie w sprawie Zmartwychwstania

RAPORT: WOJNA Z IRANEM

20 ROZMOWA Z WOJCIECHEM SZEWKĄ
IRAN – OSTATECZNE ROZWIĄZANIE
Netanjahu już wygrał tę rozgrywkę

23 KRYSTIAN KRATIUK
KOMU WADZI KRÓLEWSKOŚĆ CHRYSTUSA?

26 TERESA STYLIŃSKA
AMBICJE SYNA SZACHA

KRAJ

28 PIOTR SEMKA
LIST, KTÓRY PODZIELIŁ
Kontrowersyjny dokument Episkopatu

31 ROZMOWA Z JÓZEFEM ORŁEM
KACZYŃSKI CZARNKIEM TESTUJE MORAWIECKIEGO

34 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
TSUE KONTRA DONALD TUSK

36 ŁUKASZ WARZECHA
SUWERENNOŚCIOWY LEWAR

38 ROZMOWA Z MICHAŁEM FOGGIEM
SKRZYNIA ZŁOTA MIECZYSŁAWA FOGGA

41 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
LODOWE IMPERIUM KORALÓW

KULTURA

44 WIESŁAW CHEŁMINIAK
W POGONI ZA DOSKONAŁOŚCIĄ
Prawdziwe piękno

47 GRZEGORZ KONDRASIUK
LUSTERECZKO, POWIEDZ PRZECIE

48 PIOTR GOCIEK
POŻEGNANIE Z MISTRZAMI

NIE PRZEGAP

52 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

56 ADAM WIELOMSKI
KOMUNIZM CHIN XI JINPINGA
Nacjonalizm w Państwie Środka

59 ROBERT BOGDAŃSKI
WYCHOWANY NA WILCZYM MLEKU

62 PAWEŁ CHMIELEWSKI
DOKTOR KOŚCIOŁA POSTĘPU

66 FILIP MEMCHES
OCIEPLONY WIZERUNEK MILICJANTA

HISTORIA

68 LECH MAŻEWSKI
DLACZEGO DOSZŁO DO ROZBIORÓW
Między ograniczoną niepodległością a utratą państwowości

71 ROZMOWA Z TOMASZEM KEMPIŃSKIM
ARKADY FIEDLER I JEGO PROTEKTORZY

ŚWIAT

76 MACIEJ SZYMANOWSKI
FENOMEN VIKTORA ORBÁNA
Znów wygra czy jednak przegra?

80 MACIEJ PIECZYŃSKI
ROSYJSKI HUMOR CZASÓW WOJNY

EKONOMIA

82 JACEK PRZYBYLSKI
CZARNY ŁABĘDŹ W BIAŁYM DOMU
Co będzie w czasach niepewności pełnić funkcję bezpiecznej przystani finansowej?

86 JAKUB WOZINSKI
GDZIE SIĘ PODZIALI ROTHSCHILDOWIE

STYL

90 JOANNA BOJAŃCZYK
NIECH NAS ZOBACZĄ
Jak się zmieniła branża modowa

FELIETONY:

SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, POSPIESZALSKI (8), JASTRZĘBOWSKI (9), ŻEBROWSKI, KOPER (74), PRZYBYLSKI (79), GABRYEL, WARZECHA (85), KOMUDA (92), KOWALCZUK, KARWELIS (95), WIEROMIEJCZYK (96), ROSZKOWSKI (97), CEJROWSKI (98)

eprasa.pl 75b7358ee2



TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski *(korespondent z USA)*, **Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Andrzej Krzystyniak, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Vincenzo Morani/Renáta Sedmáková/Adobe Stock**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00

Wydawca tytułu, Do Rzeczy SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 890
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek,
dystrybucja@pmpg.pl, tel. 539 953 631, 508 040 664

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumeratapraswy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © Ⓟ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Rozmowa z Grzegorzem Braunem, „DRz" nr 10/2026

Serdeczne gratulacje za zamieszczony w numerze 10 (2–8 marca br.) wspaniały wywiad z posłem G. Braunem. Wielkie dzięki dla p. red. R. Gromadzkiego za świetne pytania do p. Brauna.

Z wyrazami szacunku
stały czytelnik,
dr hab. Leszek A. Sosnowski, Chicago

Strzeżmy się hojności obcych

Jestem sceptyczny wobec wszelkiego, na ogół pozornego, rozdawnictwa lub udzielania wielomiliardowych kredytów przez obecne elity Unii Europejskiej. To się skończy otwarciem na wpływy kredytodawców i wielkim marnotrawstwem. Branie pożyczonych pieniędzy tylko dlatego, że są dostępne w ramach KPO lub SAFE, jest pułapką dla frajerów mimo woli, takich jak my, i szansą na zysk dla niektórych polityków po polskiej i unijnej stronie. Jeśli Unia chce faktycznie wesprzeć naszą obronność, to niech tego nie czyni przy pomocy kredytów, czyniąc nas zależnymi od siebie. Przestrogi można już poszukiwać w starożytności. W „Eneidzie" Wergiliusza można znaleźć słowa Laokoona: „Strzeż się Greków przynoszących dary" (łac. Timeo Danaos et dona ferentes). Ostrzegł w ten sposób Trojan przed przyjęciem konia trojańskiego, który okazał się podstępem. Jego słowa to przestroga przed ukrytymi złymi intencjami ofiarodawców.

dr hab. Andrzej Przymeński,
emerytowany profesor Uniwersytetu Ekonomicznego w Poznaniu

„Z próżnego i Czarnek nie naleje", Łukasz Warzecha, „DRz" nr 13/2026

Szanowna Redakcjo,
Łukasz Warzecha w ostatnim numerze 13/673 „Do Rzeczy" w artykule „Z próżnego i Czarnek nie naleje" bardzo trafnie ukazał aktualną sytuację PiS na polskiej scenie politycznej oraz brak pomysłu na odbicie w sondażach i odzyskanie pozycji zdecydowanego lidera opozycji. Jednak PiS i tak powinien być paradoksalnie wdzięczny losowi, że zmęczenie jego rządami i wylansowanie medialne Trzeciej Drogi odsunęło go od władzy. Wyobraźmy sobie, że PiS zyskałby w 2023 r. nieco więcej, Trzecia Droga i Lewica mniej i mielibyśmy nadal rząd premiera Morawieckiego [...].

Społeczeństwo miałoby dość PiS i drożyzny i partia ta mogłaby skończyć jak SLD w 2005 r. i już nigdy nie odzyskać liczącej się pozycji. A teraz jednak mamy jakieś porównanie sytuacji kryzysowych i zwykłego zarządzania państwowym budżetem. Ludzie chociaż troszkę myślący – bo na fanatyków nie ma rady – widzą jednak, że dzieje się z naszym państwem coraz gorzej [...]. Czy jednak chciałbym, aby to oznaczało ponowne monorządy PiS? Chyba jednak nie...

Pozdrawiam
Leszek Sebesta

Zawiedziona sprawczość

Szanowni Państwo,
po inauguracyjnym przemówieniu prezydenta Trumpa świat odetchnął z ulgą, bo oto zapowiedział on, że Ameryka rezygnuje z roli policjanta międzynarodowego porządku, by zająć się swoimi sprawami. Dodał także, że w ciągu doby zakończy wojnę na Ukrainie. Ponieważ ani na prezydencie Zełenskim, ani na prezydencie Putinie nie zrobiło to wrażenia, amerykański przywódca właściwie od razu znalazł nowy pretekst do konfliktu, który miał nadzieję błyskawicznie rozwiązać. Ogłosił mianowicie, że Dania koniecznie musi mu dać, ewentualnie sprzedać, Grenlandię. Gdy ta odmówiła, napadł na Iran, by po 12 dniach ogłosić zwycięstwo. Okazało się ono na tyle wątpliwe, że zaraz potem zwycięsko porwał prezydenta Wenezueli. Najwyraźniej także to nie zaspokoiło jego ambicji, bo za namową Izraela ni stąd, ni zowąd ponownie napadł na Iran, tym razem wieszcząc wygraną w trzy dni. Jednocześnie zaczął sobie rościć pretensje do Kuby. Powstaje obawa, że aby dowieść w końcu swej sprawczości, prezydent Trump użyje broni atomowej.

Z poważaniem
Ewa Kowynia

eprasa.pl 75b7358ee2



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Franciszkanie dali radę

Przez ponad 30 lat spędzałem Wielkanoc we Wrocławiu u mojego stryja Zbigniewa. Święcenie wielkanocnych pokarmów kojarzy mi się zawsze z wyniosłym Kościołem św. Karola Boromeusza z początku XX w. u zbiegu wrocławskich ulic Gajowickiej, Kruczej i Grochowej.

W czasie oblężenia Festung Breslau w 1945 r. Wehrmacht mimo protestów miejscowych księży zamienił kościół w punkt oporu przeciw oblężeniu Rosjan. Już 27 lutego 1945 r. niemiecki ksiądz Paul Peikert, kronikarz oblężenia miasta, pisał: „Kościół Świętego Karola, który przekształcono w twierdzę, jest doszczętnie burzony". A jednak ksiądz się mylił. Ręka Boża uchroniła gajowicką świątynię. Dach spłonął, ale mury nie runęły. Bezpośrednio po wojnie rozważano rozbiórkę pozbawionego dachu kościoła. Cała dzielnica Gajowice zamieniona była w morze ruin, bo właśnie na tym kierunku przebiegała główna ofensywa Sowietów. Jeszcze w 1952 r. oceniano, że w granicach parafii mieszka jedynie 200 wiernych. Na dodatek resztki wyposażenia kościelnego szabrowano, a ponadto już polskie władze kościelne zezwoliły wrocławskim księżom z innych parafii na demontaż wyposażenia do swoich obiektów sakralnych.

A jednak w 1947 r. kościół przejęli wrocławscy franciszkanie. Już trzy lata później, w 1950 r., wznowiono tu pierwsze nabożeństwa i rok po roku coś odnawiano. Aż w 1951 r. zakończono naprawę dachu, oszklono okna, wyremontowano wieżę główną i dwie boczne. I kościół ożył. Ale żeby tak się stało, potrzebna była nadludzka wręcz determinacja franciszkanów.

Ojcowie nie byli sami. Jak wspominają najstarsi mieszkańcy Gajowic, dla ludzi żyjących na tej zrujnowanej pustyni świątynia była czymś najważniejszym. I bez żadnych wezwań ojców w sobotnie popołudnia dziesiątki nowych Wrocławian odgruzowywało i odbudowywało świątynię.

Dlaczego piszę o tym akurat w Wielkanoc? Bo kiedyś odwiedziłem wschodnioniemiecki Wismar nad Bałtykiem i zobaczyłem tam plac po dawnym wielkim gotyckim Marienkirche. Tuż po wojnie sowieckie władze okupacyjne gotowe nawet były pomóc miejscowemu proboszczowi ewangelickiemu w odbudowie kościoła. Ale ten ogłosił, że nieważne są mury. Ważniejsi są wierni potrzebujący pomocy. Dlatego postanowił zbić z drewna tymczasową kaplicę, a wszystkie datki kierować na garkuchnię. Odbudowa miała nastąpić, „jak przyjdą lepsze czasy". Tyle że krótki czas bezpośredniej sowieckiej okupacji minął, a w 1949 r. powstała komunistyczna NRD. Jej miejscowe władze ogłosiły w 1960 r., że w ramach walki z „religianctwem" ruiny zostaną rozebrane. Pozostawiono jedynie wieżę, ale tylko dlatego, że miała ważne znaczenie jako morski punkt orientacyjny. Powojenna drewniana kaplica to dzisiaj niewiele większa niż wówczas, nieco zmodernizowana prowizoryczna hala.

Jak się okazuje, franciszkanie we Wrocławiu i wierni z Gajowic lepiej rozumieli, jak należy grać z komunistami. Uznali, że kościół jest najważniejszy, i dziś świątynia św. Karola Boromeusza we Wrocławiu stoi, a po kościele mariackim w Wismarze pozostała jedynie wieża. ©℗

GRZEGORZ BRAUN BEZ IMMUNITETU

Parlament Europejski w czwartek przychylił się do dwóch wniosków polskiej prokuratury i pozbawił immunitetu europosła Grzegorza Brauna. Polscy śledczy zarzucają liderowi Konfederacji Korony Polskiej m.in. zniszczenie wystawy poświęconej osobom LGBT, flag Ukrainy oraz Unii Europejskiej, a także zaprzeczanie zbrodniom ludobójstwa i negowanie Holokaustu. Za odebraniem immunitetu zagłosowali wszyscy eurodeputowani biorący udział w głosowaniu. ***(jap)*** ©℗



FOT. PHILIPPE STIRN/WEISS/EP/EU

PALIWA MAJĄ BYĆ TAŃSZE

Rząd ogłosił, że planuje obniżenie stawki VAT na paliwa z 23 proc. do 8 proc., a także obniżenie akcyzy na paliwa do minimum wymaganego przepisami unijnymi (czyli akcyzy na benzynę o 29 gr, a na olej napędowy o 28 gr). Łącznie ceny detaliczne paliw mają dzięki temu spaść o ok. 1,2 zł na litrze.
Premier Donald Tusk zapowiedział także w ubiegłym tygodniu, że codziennie minister energii będzie ustalać maksymalne ceny paliw. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 75b7358ee2



dwaj panowie g

Falę protestów pewnej frakcji PiS przyniosła nasza informacja o tym, jakoby Jacek Kurski pisał przemówienie wawelskie Przemysławowi Czarnkowi i blisko z nim współpracował. Niektórzy z dementujących wręcz zarzucili naszym wiewiórkom mijanie się z prawdą. W związku z tym ujawniamy, że powzięliśmy tę wiedzę z ust samego Kurskiego. Nie bezpośrednio, ale parę różnych wiewiórek słyszało przy różnych okazjach, jak sam Kurski się tym chwalił.

Europosłanka Ewa Zajączkowska-Hernik nie jest już w Konfederacji. Cóż. Jej powab jest na tyle silny, że zaczęli o nią zabiegać brauniści. Proponują jej jedynkę z rodzinnego Radomia, z gwarancją jedynki do europarlamentu w kolejnych eurowyborach – tym razem z Warszawy. Co ciekawe, niekoniecznie chodzi, żeby objęła mandat przy Wiejskiej, tylko żeby pociągnęła listę, a po wyborze oddała mandat kolejnemu brauniarzowi. Na razie jednak zaloty pozostają bezskuteczne.

Co do samej Ewy Zajączkowskiej-Hernik, zmiana frakcji w europarlamencie stała się okazją do zadzierzgnięcia znajomości z nowymi ciekawymi ludźmi. Na przykład z Marine Le Pen. Panie się spotkały, panie się cenią i szanują. Tak słyszeliśmy.

Tymczasem kolejny europoseł PiS kupił mieszkanie w Brukseli. To wyraz wielkiego optymizmu i wiary, że za trzy lata karta się nie odwróci i mandat zostanie obroniony. Natomiast słyszeliśmy o przynajmniej dwóch, którzy chcą z kolei jak najszybciej przenieść się z europarlamentu na Wiejską, bo chcą wzmocnić swoje immunitety ze względu na mściwość siepaczy Tuska. Dwa z nazwisk, które obiły nam się o uszy, to Obajtek i Dworczyk.

Konfederacja Bosaka i Mentzena kusi mniej znane osoby, ale takie z doświadczeniem, a to miejscami na listach wyborczych, a to stanowiskami wiceministerialnymi. Konfederaci mają świadomość, że nigdy jeszcze nie brali udziału w sprawowaniu władzy na rządowym szczeblu i po ewentualnym wejściu do rządu będą musieli mieć ludzi, którzy znają już poszczególne



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

resorty. Chodzi o to, by nie polec. Co ciekawe, osoby, z którymi do tej pory rozmawiali konfederaci, nie objawiały się wcześniej jako zwolennicy Dmowskiego czy Korwin-Mikkego. Mniejsza jednak o to – niewątpliwie są to jednak osoby, które znają poszczególne resorty na wylot. My zaś znamy niektóre osoby.

Tymczasem w PiS. Zarząd tej partii na Podkarpaciu podjął nieformalnie, ale wiążąco, decyzję, by nie respektować instrukcji z centrali. Instrukcja ta mówiła o tym, żeby aktywnie zwalczać w terenie żywioł braunowski. Otóż podkarpacki PiS uznał, zresztą słusznie, że na ich terenie żywioł braunowski jest wyjątkowo silny i jego zwalczanie byłoby samobójcze. Czy ta lokalna samodzielność się utrzyma? Coś nam mówi, że tak. W końcu rozgrywającym na Podkarpaciu jest nie kto inny, jak wpływowy Marek Kuchciński.

Àpropos instrukcji z centrali. Gdy w Brukseli głosowano nad odebraniem immunitetu europosłowi Grzegorzowi Braunowi, przedstawiciele PiS także otrzymali instrukcję. Mówiła ona, by poprzeć odebranie immunitetu za wyskoki antyżydowskie, a sprzeciwić się odbieraniu immunitetu za niszczenie flag Ukrainy i Unii Europejskiej. Przekazujemy tę wiadomość, żeby było jasne, jaka jest linia partii.

Jeszcze o Braunie. Brukselskie wiewiórki mówią, że w biurze szefowej europarlamentu pani Metsoli wdrożono pewną nieformalną, ważną procedurę. Za każdym razem, gdy trafia do niej jakieś zaproszenie na cokolwiek organizowane przez polskich eurodepów, sprawdza się, czy może się na tym evencie pojawić Grzegorz Braun. Jeśli tak – to pani Metsola wykreśla te aktywności ze swego rozkładu zajęć.

Pojawił się nowy czarny koń (nie mylić z pewnym mecenasem) wyborów w Krakowie po ewentualnym odwołaniu w referendum niejakiego Miszalskiego. Otóż zieloni bracia sondują kandydaturę Ireneusza Rasia. Facet był już we wszystkich ważniejszych partiach, począwszy od PiS, poprzez Platformę, a w ostatnich wyborach reprezentował Ciecią Drogę czy jakoś tak. Peezel sonduje potajemnie, czy tego kandydata nie poparłby w drugiej turze PiS. Tam bowiem spodziewane jest starcie z Łukaszem Gibałą. Co ciekawe, kandydaturę Rasia po cichu lansuje również były włodarz miasta, Jacek Majchrowski. A Małgorzata Wassermann nie mówi „nie”.

Kandydaci na pierwszego prezesa Sądu Najwyższego kampanii wyborczej prowadzić nie mogą. Przynajmniej nieoficjalnie. Ale do nas i do naszych przyjaciół docierają rozmaici emisariusze, zachwalając poszczególnych kandydatów, którzy – jak zapewniają – powinni się spodobać Karolowi Tadeuszowi. Ostatnio dotarli przedstawiciele pewnego sędziego mającego opinię konserwatywnego. Mamy jednak z facetem problem. Wiewiórki utrzymują, że facet może i konserwatysta, ale cierpi na pewną przypadłość, którą oni diagnozują jako manię prześladowczą. Ciągle mu się wydaje, że go ktoś śledzi. Osobiście w państwie Tuska tego nie wykluczamy. Jednak wolelibyśmy, żeby na czele SN stał ktoś, kto nie musi się obawiać, że go śledzą.

Na koniec element świąteczny. Wszystkim oczywiście życzymy szczęśliwych Świąt Wielkanocnych. A komu życzymy mokrego dyngusa? Włodkowi Czarzastemu – z nadzieją, że jak zmoknie, to mu się zbiegną sweterki i nieco go ścisną. Nawet mocno ścisną. Nie, nie chodzi nam o przyjazne uściski. Raczej o wariację staropolskiego życzenia „a niech go drzwi ścisną”. ©℗

eprasa.pl 75b7358ee2



RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Bezkarność Giertycha

Roman Giertych dwukrotnie stał się w ostatnich dniach negatywnym bohaterem mediów. Najpierw za sprawą publikacji portalu money.pl o tym, jak nieetycznymi sztuczkami przedłużał w nieskończoność procesy wytoczone przez tzw. frankowiczów i w ten sposób pozbawił rzeszę ludzi należnego im zadośćuczynienia za krzywdy wyrządzone przez jego mocodawcę, Leszka Czarneckiego, samemu wzbogacając się ich kosztem o 8,5 mln zł. Potem za sprawą ze wszech miar skandalicznego orzeczenia sądu, który podtrzymał decyzję o bezwzględnym więzieniu dla Adama Borowskiego, starszego już wiekiem i schorowanego bohatera antykomunistycznego podziemia, za to że konsekwentnie odmawia przeproszenia Romana Giertycha.

A za co miałby go przepraszać? Otóż za nazwanie „aferzystą". Trudno się nie zdziwić: to nie wolno nazywać aferzystą człowieka, który występując jednocześnie w imieniu spółki Polnord oraz czterech spółek krzaków założonych na swojego kierowcę, poprzez wiele zawieranych z samym sobą transakcji wyprowadził z tej pierwszej firmy i „wyparował" 92 mln zł (o części z nich wiadomo, że trafiły na włoskie konto jego żony)? Ano nie wolno. Prokurator, który przygotował w tej sprawie akt oskarżenia po dojściu do władzy Tuska, wyleciał z gwizdem i przysłano nowego, który ogłosił (zresztą w trybie tajnym), że Giertych nie jest aferzystą, tylko po prostu idiotą – podpisywał te wszystkie kwity w dobrej wierze swemu kierowcy, nie rozumiejąc, co podpisuje. Inna sprawa, że w takim razie prokuratura powinna ścigać owego kierowcę. Teraz pracuje on u Giertycha jako kierownik jego kancelarii.

Były czasy, gdy tę rolę, którą dziś odgrywa Giertych, odgrywał w lewicowo-liberalnych elitach prof. Bronisław Geremek. Kiedy medialnym guru, ustawiającym umysły zwolenników tej formacji, był Adam Michnik, a nie, jak dziś, Jan Piński. A Włodzimierza Czarzastego ogłaszano tam wzorcowym przykładem postkomunistycznej patologii. Nawet ja nie przewidziałem wtedy, do czego owe „elity" zmierzają. ©℗

#WARTO

Kosztowne hobby ks. Waldka



JAN POSPIESZALSKI

Od 18 marca dostępny jest w sieci odcinek „Superwizjera" pt. „Miliony dla przyjaciela misji" obnażający działalność wykładowcy UKSW, byłego przewodniczącego polskiej sekcji Pomocy Kościołowi w Potrzebie, gwiazdy prawicowych telewizji, ks. Waldemara Cisły. W mojej działalności dziennikarskiej opisywałem trudne sytuacje w Kościele – nadużycia upadłych kapłanów, współpracowałem m.in. z ks. Tadeuszem Isakowiczem-Zaleskim, z ks. Dariuszem Oko i myślałem, że już mnie nic nie zaskoczy. Jednak fakty ujawnione przez dziennikarzy TVN wyznaczają nową skalę. Skalę moralnej deprawacji, bezkarności i bezczelności. Nie mogłem pojąć, jak to możliwe, że kapłan stojący na czele fundacji charytatywnej Kościoła ma na boku jakieś inne podmioty zarejestrowane pod prywatnym adresem, które dublują działalność PKWP. Już tylko to powinno zapalić wszelkie alarmowe sygnały dla władz UKSW, dla władz Kościoła i prawicowych mediów.

W 2024 r. Cisło pod pretekstem poświęcenia się pracy naukowej wreszcie „ustąpił" z szefowania papieską fundacją, jednocześnie zrezygnował z pracy w fundacji KEP Opoka. Odebrałem to jako sygnał, że centrala PKWP i Episkopat odcinają się od obrotnego jałmużnika. Kilka dni przed publikacją materiału TVN24 dyrekcja PKWP poinformowała, że w związku z nieprawidłowościami organizacyjnymi i finansowymi skierowała sprawę do prokuratury. Cisło jednak nadal z energią zbiera pieniądze, prowadzi rekolekcje i do kamery stroi pobożne miny.

Do czwartku 26 marca nie ma żadnego komunikatu ze strony Episkopatu, kurii ani prawicowych mediów. W Wielki Czwartek będziemy modlić się w intencji kapłanów. Tym razem modlitwa nie wystarczy. Musimy domagać się gruntownych zmian kadrowych na UKSW, ponieważ wszystko wskazuje na to, że władze uczelni, jeżeli nie były wspólnikiem, to przynajmniej musiały wiedzieć o nieprawidłowościach. ©℗

eprasa.pl 75b7358ee2

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



ĆWIERKOT

Dekodowanie Tuska



SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

Ideę mam ważką, jako pomysł sprzedam, bo mi się dłubać przy tym nie chce, a społeczna potrzeba jest. Stop. Należy otóż stworzyć słownik tusko-polski, tak, tak, koniecznie. Stop. Premierowi naszemu (?) zarzuca się permanentne mijanie się z prawdą, kłamanie, manipulowanie, bajdurzenie, mamienie, no w skrócie po prostu, że łże. Stop. To jednak przykre, takie zarzuty, no naprawdę. Stop. A jeśli to my, niegodni, nie potrafimy dekodować jego komunikatów i pomyłki w odbiorze zawinione przez nasz brak narzędzi (słownika) odbieramy opacznie jako fałsz? Stop. Słownik jest konieczny, np. po tuskowemu „5,19 zł" to po polsku „Między 7 a 11 zł". Po tuskowemu „Uwierzcie mi", to po polsku „Niezłą bajerę kręcę, co?". Po tuskowemu „100 konkretów", to po polsku „1000 i jeden gawęd na wieczór zimowy", po tuskowemu „Nie zamykamy szpitali i oddziałów", to po polsku „Dawno już zamknęliśmy, he, he" itd. Stop. Myślę, że na jednym tomie publikacja nie miałaby szans się zakończyć, dekodowanie Tuska wymagałoby uwagi i lekkiego wysiłku, ale warto! Dla (tu proszę wpisać nazwę państwa).

W związku z wyrokiem na działaczkę Platformy Obywatelskiej z Kłodzka w wyjątkowo bulwersującej sprawie pedofilii i zoofilii oraz wcześniejszym skazaniem jej męża opozycja rzuciła się na partię Tuska, insynuując nazbyt wiele. Stop. Koalicja w Kłodzku zareagowała wzorcowo, pisząc w oświadczeniu m.in.: „Łączenie naszej organizacji oraz jej przedstawicieli z czynami będącymi przedmiotem postępowań karnych jest pozbawione podstaw faktycznych i służy wyłącznie zdyskredytowaniu struktur KO. Takie działania w sposób oczywisty wykraczają poza granice dopuszczalnej krytyki politycznej i stanowią bezprawne naruszenie dóbr osobistych". Stop. Przestańcie łączyć działaczkę KO z KO! Dranie! Stop. Pytano niegrzecznie o możliwe związki transgatunkowe, skoro według NSA mamy już wpisywać do rejestru USC związki jednopłciowe. Stop. Środowiska LGBT oburzyły się, i słusznie, na tak niskie sugestie, nazywając je chamskimi i niemającymi nic wspólnego z rzeczywistością europejską. Stop. Tak? Stop. W Niemczech w latach 1969–2013 zoofilia była całkowicie legalna, a zboczeńcy nie mieli powodu kryć się ze swoimi odmiennościami i nie kryli się. Stop. W lewicowej Europie tematy różnych trans uważałbym jednak za uchylone… ©℗

eprasa.pl 75b7358ee2



ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

„ZNIKNIĘTY” NAWROCKI

„Wchodzi Krystyna Janda do »TVP w likwidacji«...”. Tak mogłaby zaczynać się nowa seria kawałów o uciśnionej aktorce. Po tym, jak Janda wyznała lata temu, że od kiedy rządzi PiS, czuła się, „jakby ktoś na nią sra.”, oraz po oskarżeniu partii Jarosława Kaczyńskiego o doprowadzenie do śmierci matki, niewiele może zaskoczyć, a jednak. Artystka pojawiła się w publicystyczno-satyrycznym (z nazwy) programie „Kwiatki polskie” na antenie TVP w likwidacji. Katarzyna Kasia i Grzegorz Markowski zapytali Jandę, jak czuje się w Polsce, której prezydentem jest Karol Nawrocki. – Udaję, że go nie ma – odparła. – Ale się chyba długo nie da udawać – dodała. Prowadzący chętnie weszli w „antynawrocką” retorykę. – My z racji tego, co robimy na co dzień, nawet nie możemy podjąć takiej próby. Tak że przyjmujemy istnienie pana prezydenta



FOT. ALIAKSANDR VALODZIN/EAST NEWS

Karola Nawrockiego. Ale może go w takim razie na chwilkę zostawmy. Niech on przez chwilę będzie w tym takim, nie chcę powiedzieć „zniknięciu”, bo to by było pewnie niegrzeczne – skomentował Grzegorz Markowski, po czym poruszono kolejny wątek. Panie redaktorze, nikogo pan nie oszuka. Dobrze wiemy, że „zniknięcie” obecnego prezydenta to marzenie likwidowanej TVP. Na razie nie do spełnienia. Na szczęście.

UPADŁA KRÓLOWA UMYSŁÓW

Wywiad Jandy w „czystej wodzie” był na tyle frapujący, że warto przytoczyć jeszcze jeden wątek. – Dopóki nie rządził PiS, to ja myślałam, że wszyscy ludzie są dobrzy. Przysięgam. I nagle potem zrozumiałam, że wcale tak nie jest. Że przynajmniej jesteśmy podzieleni, spolaryzowani do tego stopnia, że ja to odbieram jako zło – podkreśliła aktorka. – Potem myślałam, że może ja jestem jakaś nienormalna, ale jak zaczęłam czytać te hejty, jak otworzyło się radio, jak otworzyły się anteny radiowe. Nagle mnie zaskoczyło, że przecież radio otworzyło anteny i można było na żywo powiedzieć i nie było nawet opóźnienia. I to jak straszne rzeczy ludzie zaczęli mówić, jak wyzywać się nawzajem, jak wyzywać prowadzących. Aż potem zrobiono to opóźnienie tam iluśminutowe, żeby jak już tak taka rzecz się zdarzy, móc po prostu na to zareagować – wspominała. – Ale dla mnie to był szok. Ja myślałam, że wszyscy myślą tak jak ja, wszyscy myślą tak jak Andrzej Wajda – podsumowała Krystyna Janda. Aż trudno to jakoś z sensem skomentować.

ROZLICZENIE ZE STANOWSKIM

Marcin Meller udzielił obszernego wywiadu, w którym opowiedział m.in. o kulisach odejścia z Kanału Zero. Opuścił kanał Krzysztofa Stanowskiego w trakcie ubiegłorocznej kampanii prezydenckiej. Teraz Meller skupia się na budowie polskiej szkoły średniej w Tigraju w północnej Etiopii. W mediach pozostał tylko jako prowadzący program „Melina” na antenie Eski Rock. Skąd taki wybór? „Odchodząc po cichu z Kanału Zero, co wiązało się z pożegnaniem z działalnością czysto publicystyczną, robiłem to trochę w charakterze eksperymentu. Po raz pierwszy od lat miałem w ogóle nie zajmować się polityką. I była to błogosławiona decyzja psychiczno-zdrowotna. Dodatkowo narzuciłem sobie, że choćby mnie kusiło, nie będę pisać w mediach społecznościowych na tematy okołopolityczne. Minął ponad rok. Okazało się, że ten detoks to świetne działanie prozdrowotne dla umysłu. A gdy w sierpniu zeszłego roku wskoczył pomysł ze szkołą, to to odcięcie wybrzmiało jeszcze bardziej” – podkreśla w rozmowie z Wirtualnymi Mediami. W lutym Krzysztof Stanowski przyznał, że ma żal do dziennikarza – twierdził, że o jego decyzji dowiedział się z Instagrama. – Spełnialiśmy wszelkie jego oczekiwania, zachcianki, żądania. Byłem na obiedzie ze współpracownikami. Siedzę, jem i widzę, że dzwoni Marcin Meller. Wyciszyłem i chciałem oddzwonić, jak będziemy wracać. Wziąłem dwa kęsy, minęły trzy minuty i nagle mówią: Meller wrzucił oświadczenie, że odszedł z Kanału Zero, że zrezygnował ze współpracy – relacjonował Stanowski. Jednak Meller patrzy na sprawę inaczej. „W skali od 0 do 10 elegancję mojego odejścia oceniam na 11. Wiedząc, ilu Stanowski ma wrogów, zrobiłem wszystko, żeby nikt nie mógł wykorzystać mojego odejścia, by mu przywalić. Nie wpadłem na to, że rok później wykorzysta to, by mi wbić szpilę” – stwierdził. Marcin Meller stanowczo zaprzecza, jakoby żałował współpracy z Krzysztofem Stanowskim. „To było bardzo ciekawe doświadczenie: obserwowanie początku projektu i zderzenie się ze światem poza moją bańką. Bardzo pouczające [...]. Już sam ten kontakt z innym światem był cenny. Z innymi widzami, gośćmi, sposobami postrzegania rzeczywistości. Polecałbym to każdemu, a zwłaszcza dziennikarzom, a szczególnie publicystom. W mojej bańce rozczulało mnie to przekonanie o »wszystkich«. Że »wszyscy coś tam«, a ci »wszyscy« to mały światek. Potem jest wieczne zdziwienie, że ludzie myślą inaczej, niż powinni, i zagłosowali inaczej, niż mieli zagłosować” – zauważa. Na koniec komentator ocenił, że w Kanale Zero miał większą swobodę niż w TVN24. Szef nie ingerował w to, kogo zaprasza do studia. ©℗

eprasa.pl 75b7358ee2



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jesteśmy przerażeni, serio. Pamiętacie, jak mówiliśmy, iż domniemany wybór na stanowisko prezydenta Karola Nawrockiego był raz, że dowodem na faszyzację kraju, a dwa – tejże faszyzacji skutkiem? Mamy na myśli jeden z fundamentów, na którym się opiera budowanie fashystoffskiego państwa, a więc kult tężyzny fizycznej, sprawności, sportu i ruchu.

I niestety wygląda na to, że na tym polu fashysm przeszedł, iż – jak wykazało jedno z ostatnich badań – Polacy uważają ruch za skuteczny sposób wypoczywania. Czyli żadne intelektualnie ciekawe wakacje na all-excuseme w tureckim kurorcie z książką i na leżaku, ale raczej szwendanie się po górach, piesze wycieczki, pewnie jakieś kajaki i inne rowery.

Szczerze mówiąc, jesteśmy zaskoczeni, iż wiecie… bywamy na polskich plażach (w celach badawczych of kors, iżby później pisać eseje o polskich turystach, którzy nie potrafią się zachować) i widzimy, iż przeciętna polska rodzina jest raczej grawitacyjnie uposażona niż szczupła, więc nie wiemy do końca, co z tego ruchu ma wynikać. Oczywiście nie chcemy nikogo fat-shamingować, mamy nadzieję, iż nie pomyśleliście o nas w ten sposób. Mamy na myśli po prostu to, iż Polacy co prawda deklaratywnie lubią się ruszać, ale wygląda na to, iż tego po prostu nie potrafią.

A przykład idzie z góry – mamy prezydenta, który oddaje się niegodnym mężowi stanu rozrywkom, od których się można spocić i rosną mięśnie. Rośnie pewnie też testosteron, stąd później te ataki na wolne media z wymierzonym w nie oskarżycielsko palcem. Wyborcy patrzą, chłoną, kult kultury fizycznej rośnie, fashysm się odradza. Może czas na to, iżby media przestały o tym głośno mówić, bo jeszcze premier nie będzie miał wyjścia i – aby zachować poparcie i jakoś dotrzeć do ciemnogrodu – zacznie nagrywać rolki z siłowni, a tego ani jemu, ani nam jako elektoratowi nie życzymy.

Mamy prezydenta, który oddaje się niegodnym mężowi stanu rozrywkom, od których się można spocić i rosną mięśnie

Odnośnie do tureckich kurortów. Iran zaczął straszyć atakami na popularne ośrodki turystyczne, a więc wygląda na to, iż w tym roku znacznie większy ruch turystyczny będziemy obserwować w tym kraju. Niepokoi nas to, iż już trudno znaleźć spokojną miejscówkę na wakacje (nie, nie mamy jeszcze urlopu, Nowy nas kusi wizją wolnego w niskim sezonie sprzedażowym w listopadzie), a jak już coś znajdziemy, to miejsce to pewnie będzie pełne Polaków i ich dzieci, które biegają, krzyczą, wrzeszczą, wydają różne dziwne odgłosy.

Kiedyś Wam mówiliśmy: takie rzeczy oczywiście robią tylko polskie osobodzieci, porządne zachodnie siedmiolatki łykają benzodiazepiny i są może trochę otumanione, ale przynajmniej zachowują się grzeczniej między dorosłymi osobami.

W każdym razie: spodziewamy się nawału turystów wszędzie w Polsce, gdyż teraz każdy janusz dostanie uzasadnienie dla utrzymania swojej mentalnej bariery i lęku przed zagranicą – będzie miał wygodną wymówkę, iżby nie podróżować gdzieś w kierunkach południowych, ale zostać w tym kraju, bo „Polska he, he jest najpiękniejsza", co zupełnie nie jest prawdą, iż co tu mamy? Zimne morze na północy, niskie góry na południu, a najładniejsze miasta i zabytki zostawili nam Niemcy – taka prawda, nie ma się co oburzać. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Humanoidalny w 100 procentach robot

Ty widziałeś, Jarek, tych pajaców z Konfy? Jak sobie tego robota, Warchockiego, przyprowadzili na konferencję?
Widziałem, Przemku. Chłopcy w krótkich spodenkach.

To ja mam coś lepszego. Też robota, ale polskiej produkcji i nie do odróżnienia. W Pasłęku skonstruowali. Popatrz!
Gdzie? Nie widzę nic.

No tam przecież!
Gdzie? Tam tylko Mateusz stoi.

No właśnie! Humanoidalny w 100 procentach robot idealnie naśladujący Mateusza!
E, to słabe, efektu nie będzie.
Wszyscy pomyślą, że to po prostu zawsze był robot.
Mateusz, znaczy się. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Duży rozdźwięk pomiędzy de facto agenturalną działalnością Nawrockiego a milczeniem i bezradnością państwa polskiego".

ELIZA MICHALIK, *publicystka, na platformie X o wizycie Karola Nawrockiego na Węgrzech i jego spotkaniu z Viktorem Orbánem*

eprasa.pl 75b7358ee2



NAWROCKI ROZMAWIAŁ Z ORBÁNEM O ROSJI, UKRAINIE I ENERGETYCE

Prezydent Polski Karol Nawrocki w poniedziałek spotkał się najpierw w Przemyślu z głową węgierskiego państwa Tamásem Sulyokiem, a następnie w Budapeszcie z premierem Węgier Viktorem Orbánem.

– Dla mnie, jako dla prezydenta Polski, Władimir Putin jest zagrożeniem i dla idei europejskiej, i dla wschodniej flanki NATO, i dla Unii Europejskiej, ale – jak to w przyjaźni – są rzeczy, z którymi możemy się zgadzać, a są rzeczy – i w rodzinie – z którymi nie musimy się zgadzać. Więc tu stanowisko Rzeczypospolitej Polskiej jest jasne – zaznaczył Karol Nawrocki podczas spotkania z prezydentem Sulyokiem.

„Polacy i Węgrzy, dwaj dobrzy przyjaciele. Witam w Budapeszcie, prezydencie Nawrocki" – pisał z kolei na X premier Viktor Orbán, dołączając do posta wspólną fotografię (w tle zdjęcia parlament w Budapeszcie).

– Byłem przy rozmowie Karola Nawrockiego z Viktorem Orbánem. Była twarda rozmowa o Rosji, była twarda rozmowa o Ukrainie, ale były też rozmowy o temacie energetycznym i pewna oferta z naszej strony – ujawnił prezydencki minister Marcin Przydacz w wywiadzie dla Polsat News.

23 marca to decyzją parlamentów obu państw Dzień Przyjaźni Polsko-Węgierskiej (Lengyel–magyar barátság napja). Uroczystości w tym dniu organizowane są od roku 2007 naprzemiennie – raz w Polsce, raz na Węgrzech.

Wizyta polskiego prezydenta w Budapeszcie miała jednak również istotne znaczenie polityczne. Już 12 kwietnia na Węgrzech odbędą się bowiem kluczowe wybory, które rozstrzygną, czy obóz Viktora Orbána będzie mógł nadal sprawować rządy czy władzę w kraju przejmie opozycyjna partia TISZA. ***(jap)*** ©℗

CZYTAJ TAKŻE „ORBÁN I CIEŃ CHURCHILLA" NA STR. 76

FOT. ÁKOS KAISER/HUNGARIAN PM'S GENERAL DEPARTMENT OF COMMUNICATION/EPA/PAP



Pierwsze świadectwo wiary



eprasa.pl 75b7358ee2



FOT. ADOBE STOCK



Paweł Lisicki

Przekaz o Zmartwychwstaniu, który tak bardzo drażni liberalnych teologów, pochodzi od jerozolimskiej wspólnoty apostołów

Najwcześniejszą historycznie niekwestionowaną wzmiankę o Zmartwychwstaniu Chrystusa zawiera Pierwszy List do Koryntian św. Pawła. Apostoł pisze w nim o tym, że po swej śmierci Jezus został pogrzebany i powstał z martwych, a widziało go łącznie kilkuset świadków, na czele z Piotrem i Jakubem, bratem Pańskim. Najprawdopodobniej apostoł przytacza prastare chrześcijańskie wyznanie wiary, które przyjął tuż po swoim nawróceniu, czyli dwa, trzy lata po śmierci Jezusa w Jerozolimie. W zarodku są w nim zawarte wszystkie najważniejsze prawdy wiary. Jest to wspólna nauka wszystkich apostołów. Jednoznacznie wynika z niego, że najwcześniejsza wspólnota uczyła, iż Jezus powstał z grobu w ciele. Koryntianie, do których kieruje list Paweł, łatwo mogli zbadać przekazane w nim informacje. Można być też pewnym, że apostoł wiedział znacznie więcej, niż napisał w tym wyznaniu wiary, dlatego nie wolno traktować jego twierdzeń jako całości wiedzy na temat śmierci, pogrzebu, powstania z martwych i ukazania się świadkom, a jedynie jako streszczenie. Tekst ten stanowi zaporę nie do przebycia dla racjonalistycznych prób naturalizowania wiary. Nic dziwnego, że oświeceni teologowie robią, co w ich mocy, żeby usunąć z niego niewygodne informacje. Efekty są jednak mizerne: można założyć, że dysponujemy niezbitym dowodem, że co najmniej dwa lata po śmierci Jezusa wspólnota jerozolimska wyznawała, że powstał On w ciele z martwych z grobu i ukazał się licznym świadkom naocznym.

Pierwszym historycznie bezspornym zapisem wiary chrześcijan w Zmartwychwstanie jest wyznanie zawarte w Pierwszym Liście do Koryntian apostoła Pawła. Mówię „pierwszym i bezspornym", żeby

eprasa.pl 75b7358ee2

podkreślić, iż nie ma praktycznie żadnych egzegetów, którzy dziś podważaliby autentyczność fragmentu 1 Kor 15, 1–11. Sam uważam, że ten napisany zapewne w 53 r. tekst poprzedziło powstanie Ewangelii św. Marka, ale nie na tym opieram swoją argumentację. Nie zamierzam też analizować po kolei wszystkich innych listów apostoła, pokazując, jak wyraźnie świadczą one o wierze apostoła w Zmartwychwstanie. Trzeba pamiętać, że apostoł nie dowodzi i nie uzasadnia tej wiary. Dzieli się nią z adresatami jako podstawą i stałą miarą. Jest ona zwykle oczywistym punktem wyjścia.

SKARB LISTÓW

Doskonałym przykładem jest napisany w 56 lub 57 r. po Chrystusie List do Rzymian. Apostoł głosił w nim: „Jest to Ewangelia o Jego Synu – pochodzącym według ciała z rodu Dawida, a ustanowionym według Ducha Świętości przez powstanie z martwych pełnym mocy Synem Bożym – o Jezusie Chrystusie, Panu naszym" (Rz 1, 3–4). Kluczowym zwrotem jest tu „powstanie z martwych", które w oczach Pawła jest dowodem na to, że pochodzący z rodu Dawida Syn jest według Ducha Synem Bożym. Nigdzie w liście dalej nie znajdziemy wyjaśnienia owego „powstania z martwych". Jest ono zarówno dla piszącego, jak i jego adresatów fundamentem. Wielu egzegetów zwracało uwagę, że być może cały ten fragment nie jest dziełem Pawła, ale ze względu na nietypowe dla niego słownictwo stanowi wczesnochrześcijańskie wyznanie wiary.

Byłoby to logiczne: tekst znajduje się na wstępie, więc odwołuje się do tego, co dla autora i dla Rzymian wspólne, a tym jest łączące ich wyznanie wiary. Podobnie jest czymś prawdopodobnym, że wyznanie to nawiązuje do Pisma, a ściślej – do słów Księgi Samuela: „Kiedy wypełnią się twoje dni i spoczniesz obok swych przodków, wtedy wzbudzę po tobie potomka twojego, który wyjdzie z twoich wnętrzności, i utwierdzę jego królestwo" (2 Sml 7, 12). To słowa proroka Natana do króla Dawida. Jak pisał Dale Allison: „Jeśli fragment listu św. Pawła do Rzymian 1, 3–4 odwołuje się w znaczący sposób do księgi Samuela (2 Sm 7, 12–16) i jeśli zawiera stary materiał, to ktoś wkrótce po ukrzyżowaniu wykorzystał pismo do uzasadnienia wiary w Zmartwychwstanie Jezusa […]. Żaden znany nam przedchrześcijański interpretator nie uznawał, że słowa »wzbudzę« oznaczają powstanie z martwych. Uczniowie Jezusa, wydaje się, wynaleźli tę interpretację".

Bardzo możliwe, że tak było. Ale „wynalezienie tej interpretacji" mogło się dokonać tylko w jeden sposób: pod wpływem tego, co widzieli, co ich spotkało, z czym się zetknęli, nadali prastarej przepowiedni nowe znaczenie. Albo odkryli owo znaczenie niewyraźnie obecne w prastarej przepowiedni. Punktem odniesienia musiało być nowe wydarzenie. Mamy tu zatem pierwszy dowód na to, że między rokiem 57 (powstanie listu) a 30 (data śmierci Jezusa z Nazaretu) uczniowie Chrystusa powszechnie interpretowali wzbudzenie potomka z rodu Dawida jako „powstanie z martwych" Jezusa. Jest to dokładnie ten sam rodzaj rozumowania, jaki pokazał Piotr, gdy przytoczył fragment Psalmu 16 przed wspólnotą jerozolimską, wygłaszając swoje przemówienie w 50. dniu po święcie Paschy roku 30. Można zatem śmiało przyjąć, że wiara w „powstanie z martwych" Mesjasza była w roku 56 czymś oczywistym dla chrześcijan. Od kiedy?

Pierwszym historycznie bezspornym zapisem wiary chrześcijan w Zmartwychwstanie jest wyznanie zawarte w Pierwszym Liście do Koryntian apostoła Pawła

Trzeba tu jednak rozróżnić dwie osie chronologiczne. Pierwsza chronologia odnosi się do tego, co rzeczywiście się wydarzyło, i w takiej kolejności, jak się to wydarzyło. Wtedy należałoby uznać, że pierwszym świadectwem Zmartwychwstania są opisy czterech ewangelii i Dziejów. Jednak wielu współczesnych sceptyków po pierwsze twierdzi, że pisma te powstały najwcześniej w roku 70 po Chrystusie, po drugie, że zawierają one już nie zapis zdarzeń 40 czy 50, czy nawet 60 lat przed swoim powstaniem, ale ujmują świadomość tworzących je wspólnot chrześcijańskich.

PIERWSZEŃSTWO PAWŁA

Dlatego warto najpierw sięgnąć do Pawła. Ma to kilka zalet. Późniejszy apostoł nie był wprawdzie świadkiem naocznym wydarzeń Wielkiej Niedzieli, ale miał do nich bezpośredni dostęp. To wyznawców Chrystusa prześladował przed swoim nawróceniem, musiał zatem od początku zdawać sobie sprawę z ich nauk.

Po drugie, wzmianki o Zmartwychwstaniu pojawiają się w jego listach, rzucone mimochodem. Przywołuje fakty jako coś doskonale znanego sobie i innym. Ilekroć zatem pisze o Zmartwychwstaniu, tylekroć można przyjąć, że nie są to jego własne słowa, ale część wspólnej, najwcześniejszej tradycji. W Liście do Koryntian wspomina o tym wyraźnie: „Tak więc czy to ja, czy inni, tak nauczamy i tak wyście uwierzyli" (1 Kor 15, 11). Po trzecie, o ile data powstania ewangelii budzi nieustanne spory, o tyle w wypadku listów św. Pawła, a przynajmniej ośmiu z nich, sporów nie ma.

Po czwarte, Paweł był wcześniejszym prześladowcą chrześcijan i nawrócił się pod wpływem spotkania ze Zmartwychwstałym w drodze do Damaszku, jego więc świadectwo powinno mieć kluczowe znaczenie. Listy są zatem poręcznym narzędziem w debacie z racjonalistami. Można się do nich odwoływać również w sporach z liberalnymi krytykami, którzy podważają autentyczność ewangelii, ich autorstwo i wczesną datę powstania. Z listami św. Pawła tego zrobić nie mogą. Z tych powodów treść jego listów, można powiedzieć, stanowi szczególnie twardy orzech do zgryzienia dla racjonalistów.

Wspomniałem, że na ogół św. Paweł nie poświęca kwestii Zmartwychwstania osobnej uwagi, traktując je jako powszechnie przyjęty punkt wyjścia. Od tej reguły jest jeden wyjątek. W Liście do Koryntian św. Paweł przypomniał, na czym polega chrześcijańska wiara w Zmartwychwstanie. To, że o tym wiemy, jest w gruncie rzeczy sprawą przypadku. „Dlaczego twierdzą niektórzy spośród was, że nie ma Zmartwychwsta-

eprasa.pl 75b7358ee2



nia"? – to jest właśnie to pytanie, które skłania Pawła do zabrania głosu. Gdyby nie ono, gdyby nie ci, którzy odrzucali wiarę w Zmartwychwstanie, nie poznalibyśmy tego najwcześniejszego zapewne wyznania. Listy mają charakter okolicznościowy, apostoł pisze je zawsze w związku z konkretnymi pytaniami, problemami, wyzwaniami wspólnoty. Na szczęście dla nas wśród Koryntczyków musieli pojawić się tacy, którzy zaczęli twierdzić, że Zmartwychwstania nie ma. Kim oni dokładnie byli, nie wiadomo. Czy twierdzili, że po śmierci istnieje sama dusza i dlatego wystarczy wewnętrzne oświecenie, by osiągnąć życie wieczne? Trudno sobie wyobrazić, żeby po prostu odrzucali nieśmiertelność duszy, bo wtedy w ogóle nie pojawiliby się wśród chrześcijan. Paweł zaś wskazuje, że chodzi o „niektórych spośród was", więc że chodzi o członków Kościoła. A może głosy te pojawiły się pod wpływem rozczarowania tym, że również chrześcijanie, napełnieni Duchem i po przyjęciu chrztu, umierali jak wszyscy inni ludzie? Nie chcę dalej spekulować, bo po prostu brak nam wystarczającej wiedzy.

Odpowiadając im, Paweł nie naucza rzeczy nowej, ale przypomina o tym, co Koryntianie przyjęli. Oto co: „Przekazałem wam na początku to, co przejąłem: że Chrystus umarł – zgodnie z Pismem – za nasze grzechy, że został pogrzebany, że zmartwychwstał trzeciego dnia, zgodnie z Pismem: i że ukazał się Kefasowi, a potem Dwunastu, później zjawił się więcej niż pięciuset braciom równocześnie; większość z nich żyje dotąd, niektórzy zaś pomarli. Potem ukazał się Jakubowi, później wszystkim apostołom. W końcu, już po wszystkich, ukazał się także i mnie jako poronionemu płodowi. Jestem bowiem najmniejszy ze wszystkich apostołów i niegodzien zwać się apostołem, bo prześladowałem Kościół Boży" (1 Kor 15, 3–9).

Wielu egzegetów zwraca uwagę, tak jak w wypadku krótkiej formuły z Listu do Rzymian, że Paweł przytacza tu nie swoje prywatne nauki, ale przypomina o regule wiary, znacznie wcześniejszej od tekstu listu. Wynika to z samej struktury tekstu, charakterystycznych, niewystępujących nigdzie indziej zwrotów, podkreślenia przez Pawła, że przekazuje to, co otrzymał. Gary Habermas podaje pięć powodów, dla których ogromna większość krytycznych badaczy reprezentujących różne szkoły teologiczne akceptuje twierdzenie, że fragment ten zawiera wczesne wyznanie wiary. „Paweł używa określenia »przekazałem« (paradidomi) i »otrzymałem« (paralambano), które są zwrotami technicznymi oznaczającymi przekaz tradycji. Po drugie, wiele słów w tym fragmencie nie jest charakterystycznych dla Pawła, wskazując na odrębne pochodzenie. Po trzecie, fragment jest tak uformowany, że przypomina słowne wyznanie. Po czwarte, znajdujemy w nim wewnętrzne oznaki semickiego źródła, takie jak odniesienie do Piotra po aramejsku jako „Kefasa". Na koniec trzykrotne użycie »i potem« tak jak odniesienia do wypełnienia Pisma wskazuje na starożytny przekaz Hebrajski".

Na ogół św. Paweł nie poświęca kwestii Zmartwychwstania osobnej uwagi, traktując je jako powszechnie przyjęty punkt wyjścia. Od tej reguły jest jeden wyjątek

Jedynym dodatkiem pochodzącym od samego apostoła byłoby zapewne ostatnie zdanie: „W końcu, już po wszystkich, ukazał się także i mnie jako poronionemu płodowi. Jestem bowiem najmniejszy ze wszystkich apostołów i niegodzien zwać się apostołem, bo prześladowałem Kościół Boży".

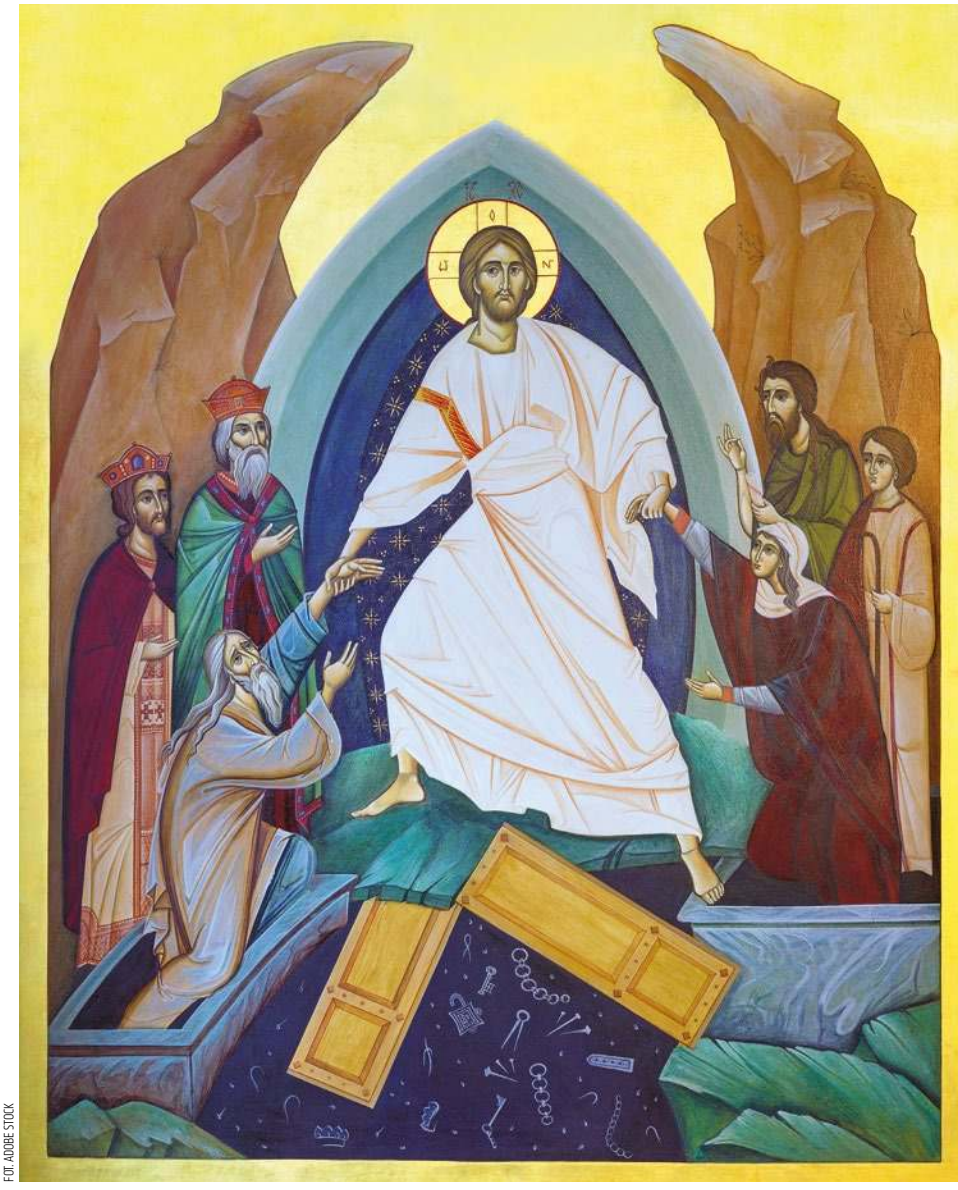
DWIE HIPOTEZY

Na pewno wyznanie musiało być starsze niż moment, gdy Paweł pojawił się w Koryncie w 51 lub 52 r. Nie da się z pewnością ustalić, kiedy się zrodziła, można jedynie stawiać hipotezy. Pierwsza: Paweł przyjął to wyznanie wiary tuż po tym, gdy nawrócił się w drodze do Damaszku od pierwszych, mieszkających tam chrześcijan. Zakładając, że do zdarzenia tego doszło dwa, trzy lata po śmierci Jezusa z Nazaretu, oznaczałoby to, że przekazane w liście wyznanie pochodzi co najmniej z tego okresu, czyli z roku 33 po Chrystusie. Piszę „co najmniej", bo można sobie wyobrazić, że Paweł znał to wyznanie jeszcze przed swoim nawróceniem. Żeby prześladować chrześcijan, musiał znać ich nauki, a z pewnością musiał wiedzieć o tym, co odróżniało ich od pozostałych Żydów. Kluczową nowością było głoszenie, że skazany za bluźnierstwo pretendent do tytułu Mesjasza był faktycznie Mesjaszem, a nadto Synem i Panem, czego dowodem było Jego powstanie z martwych. Wkraczając do chrześcijańskiego domu w Jerozolimie, rok czy dwa lata po śmierci Jezusa z Nazaretu, Paweł, wtedy Szaweł, przesłuchiwał zapewne zwolenników nowej drogi i sprawdzał, co wyznają. Musiał przecież być w stanie oddzielić ziarno od plew, prawdziwych Żydów od niebezpiecznych Galilejczyków. Przeciw temu przemawia jedynie określenie, że Paweł otrzymał to, co przekazał. Otrzymał, a więc nie wydarł i nie zdobył. Jednak nie musi być w tym sprzeczności. Będąc prześladowcą, Szaweł znał wyznanie swoich ofiar, gdy się nawrócił, otrzymał je od uczniów w Damaszku i od tej pory przekazywał jako wspólny depozyt wiary.

Można też uznać, choć to mniej prawdopodobne, że wyznanie, które później Paweł przekazał chrześcijanom w Koryncie, otrzymał dopiero od Piotra i Jakuba, gdy spotkał ich trzy lata po swoim nawróceniu, gdy przybył do Jerozolimy. „Następnie, trzy lata później, udałem się do Jerozolimy dla zapoznania się z Kefasem, zatrzymując się u niego [tylko] piętnaście dni. Spośród zaś innych, którzy należą do grona Apostołów, widziałem jedynie Jakuba, brata Pańskiego" (Ga 1, 18–19). Mało to jednak prawdopodobne. Pobyt w Jerozolimie i badanie nauki przekazanej przez Kefasa pozwoliły Pawłowi zdobyć wiedzę o życiu ziemskim Jezusa. Trudno przyjąć, że dopiero wtedy przyjął wyznanie. Czymś bardziej zrozumiałym jest to, że Paweł przyjął wyznanie wiary, gdy został ochrzczony w Damaszku. Tekst przekazany przez Pawła w Liście do Koryntian istniał już zatem w roku 33 lub 32 po Chrystusie. Został sformułowany w Jerozolimie przez apostołów i był najkrótszą wykładnią wiary apostolskiej.

Nawet najbardziej sceptyczni historycy w zderzeniu z tym przekazem Pawła mają twardy orzech do zgryzienia. Nie mogą przyjąć tego świadectwa w najprostszy możliwy sposób, jako dowodu na rzecz

eprasa.pl 75b7358ee2



FOT. ADOBE STOCK

Zmartwychwstania, bo musieliby porzucić racjonalistyczne uprzedzenia i przyjąć wiarę. Tego zrobić nie potrafią.

Z drugiej strony tekstu nie jest się łatwo pozbyć. Faktycznie, stoją przecież przed wyznaniem przekazanym przez kogoś, kto był pierwotnie wrogiem Kościoła i kto potwierdza, że już kilka lat po śmierci Jezusa z Nazaretu, może nie więcej niż dwa, jego najbliżsi uczniowie, Piotr, Dwunastu, apostołowie, Jakub, 500 braci, że wszyscy oni twierdzili, że spotkali Chrystusa po śmierci, Chrystusa Zmartwychwstałego. Paweł nauczał tego w czasie, kiedy żył jeszcze Piotr, Jakub, wielu z Dwunastu i większość z 500 braci. Powoływał się na zeznania żyjących świadków i na tekst, sporządzony w oparciu o nie tak wcześnie, że nie mógł on zostać wymyślony, wykreowany. Nie sposób uznać, że uczniów nagle opanowała amnezja i że nie pamiętali o tym, czego sami niedawno nauczali.

LISTA 500

Kiedy zatem Paweł pisał, że Chrystus zmartwychwstał i ukazał się najpierw Kefasowi, Dwunastu, Jakubowi, apostołom i 500 braciom, to ponieważ robił to niejako w ich obecności – każdy z Koryntian mógł sam o to zapytać każdego z wymienionych – to mamy do czynienia nie z jednym świadectwem, ale świadectwem zwielokrotnionym kilkusetkrotnie. Jeszcze raz: nam, dziś czytającym, może się wydawać, że Paweł powoływał się na świadectwa dla Koryntian niedostępne lub dawne. Nic bardziej mylnego: każda z wymienionych osób mogła być przez Koryntian, a na pewno dotyczyło to grupy bogatszych, sprawdzona, zapytana. Co do Piotra, Jakuba czy Dwunastu to samo w sobie oczywiste. Bardziej zagadkowe jest powołanie się Pawła na 500 braci. Kim oni byli i gdzie doszło do spotkania ze Zmartwychwstałym? Nie ma w tej sprawie pewności. Ważniejsze jest co innego: jeśli Paweł wspominał o 500 braciach, z których większość żyje, a niektórzy zaś pomarli, to należy domniemywać, że Kościół posiadał ich listę i oznaczał na niej każdy przypadek zgonu świadka. A więc jak wobec tak niezbitego świadectwa można je odrzucić?

A jednak sceptycy i to potrafią podważać. Weźmy np. przekaz św. Pawła o tym, że Jezus ukazał się 500 braciom. Zobaczmy, co z tego robi Dale Allison: „Komentatorzy i apologeci często podkreślali, że Paweł, dodając, że większość z tych 500 braci jeszcze żyje, zakładał, że można było do nich dotrzeć" – pisze profesor z Princeton. To rozsądne założenie. Po co inaczej Paweł by je dodawał w tekście, w którym tak bardzo chodziło mu o wiarygodność? Dlaczego miałby sam sobie podcinać skrzydła i odwoływać się do świadectwa niepewnego? Byłby to tylko ryzykowny zwrot retoryczny? Ale dlaczego w takim razie akurat 500 braci, a nie tysiąc czy 10 tys.? Na pierwszy rzut oka nie sposób znaleźć dla tej liczby żadnego symbolicznego znaczenia. Więc skąd ona się wzięła w tym momencie? Z rzeczywistości.

A teraz amerykański krytyk: „Czy była to więcej niż retoryka? Podczas gdy apostoł pisał w Grecji, ukazanie się pięciuset braciom musiało mieć miejsce w Izraelu, gdzie zapewne nadal żyła większość świadków. Nie mamy dowodów na to, że podróżowali za granicę, dając świadectwo, ani że jacykolwiek Koryntianie dziarsko pokonali fale Morza Śródziemnego, by dowiedzieć się więcej". Co z tego jednak wynika? Jest to klasyczny argument z milczenia. Wyjątkowo w tym przypadku słaby: Po co Paweł miałby się odwoływać do żyjących spośród 500 braci, jeśli nie byłby pewien, że jego słowa można było sprawdzić? Czy z Koryntu nie dało się dotrzeć do Izraela? Korynt był jednym z głównych portów greckich,

eprasa.pl 75b7358ee2

utrzymującym doskonałe relacje handlowe ze wszystkimi miastami na wybrzeżu Morza Śródziemnego. Podróż do Cezarei Nadmorskiej, a stamtąd do Jerozolimy nie zajmowała dłużej niż miesiąc, góra dwa. Dlaczego bogaty Koryntczyk, który chciał dowiedzieć się więcej o nowej nauce, nie miałby pojechać i zapoznać się ze świadkami, o których wspominał Paweł? Być może, jak wynika z logiki tekstu, Paweł odwoływał się do kogoś znanego Koryntianom?

Wbrew obawom starożytni potrafili liczyć nie gorzej niż współcześni, a liczba 500 nie przekraczała ich umiejętności arytmetycznych. Wystarczyło, że do spotkania z Jezusem zebrało się 10 kół po 50 osób, w ten sposób można było mieć pewność co do sumy zebranych. Jeśli apostołowie potrafili stwierdzić, że w cudzie rozmnożenia chleba uczestniczyło raz pięć tysięcy, raz cztery tysiące, to dlaczego 500 braci nie mogło widzieć Zmartwychwstałego? Jeśli dla Pawła i apostołów to świadectwo było ważne, to zapewne docierała do niego wiedza na temat śmierci kolejnych świadków. Temu rozumowaniu Allison przeciwstawia swoje: „Gdyby, dalej, Koryntianie, znali niektórych z nich, Paweł mógł z łatwością napisać: »Po tym ukazał się więcej niż pięciuset braciom w jednym czasie, większość z nich wciąż żyje, włączając w to waszych przyjaciół Faustyna i Witusa, chociaż niektórzy pomarli«. Nie napisał tak. Może zatem Koryntianie wiedzieli tyle co i my, nie będąc w stanie nazwać i odgadnąć, kim są ci, o których wspomina apostoł".

Śmiałe to twierdzenie, zważywszy dość banalną różnicę: 500 braci było współczesnych Koryntianom i św. Paweł odwoływał się do nich jako do strażników i świadków, dlatego ustalenie ich tożsamości powinno być z zasady łatwe. W tekście wyznania wiary imiona nie padały, ale z logiki wynika, że jeśli ktoś chciał je poznać, uzyskał taką informację.

Jednak sceptyczny badacz prędzej stanie na głowie niż przyjmie oczywisty sens tekstu. „Wielu chrześcijan wciąż apeluje do ukazania się pięciuset braciom, jakby miało to szczególną wagę apologetyczną. Jednak faktycznie nic nie wiemy na temat tego uderzającego zdarzenia". Nic? Ależ wiemy, że powołał się na nie Paweł. Wiemy, że umieścił je obok innych przypadków ukazania się, co do których dysponujemy innymi świadectwami – ukazanie się Piotrowi, Dwunastu, Apostołom. Wiemy, że św. Paweł wspomina o 500 braciach nie po to, by wzbudzić podziw lub zaskoczenie odbiorców – robi to, przypominając im naukę, którą wcześniej przyjęli. Święty Paweł nie wyciąga 500 braci niczym mag z kapelusza, ale wspomina o nich, mając jasny cel: zakłada, że chodzi o fakty niebudzące wątpliwości, dające się zweryfikować i powszechnie nauczane. Robi to nie więcej niż 20 lat po fakcie.

Inaczej cały jego wywód byłby bez sensu. Pawłowi chodziło o świadków potencjalnie dostępnych Koryntianom. Na pewno takim był św. Piotr. A kto wie, może zetknęli się też z innymi apostołami? Może nawet niektórzy z nich pojawili się w Jerozolimie i zetknęli się z Jakubem, bratem Pana? Wbrew pozorom wcale nie jest to nieprawdopodobne. Przypomnę tylko postawę Papiasza, który wspomina o tym, jak wybiegał na spotkanie każdego ucznia Jezusa lub starszego, który miał kontakt z Jezusem. Czyżby wśród Koryntian brakowało chętnych, by sprawdzić, jak się rzeczy miały z tą nową nauką? Jeśli przynajmniej niektórzy Koryntianie przyjęli entuzjastycznie naukę Chrystusa, to dlaczego mieliby nie wyruszyć na spotkanie pozostałych apostołów? Czy i dziś, jeśli ktoś odczuwa szczególne nabożeństwo do danego świętego, nie chce zbadać miejsca, gdzie jego patron żył, urodził się, działał? Czy nie szuka pieczołowicie jego towarzyszy? Tymczasem okazuje się, że Koryntian, mimo że do nich pisał Paweł, takie rzeczy jak możliwość spotkania niektórych z owych 500 braci, w ogóle nie interesowały. Tak przynajmniej wynika z lektury liberalnych teologów.

TWARDY ORZECH DO ZGRYZIENIA

Jedyną trudnością, z historycznego punktu widzenia, jest odpowiedź na pytanie, dlaczego o tym spotkaniu nie wspominają wyraźnie ewangelie. Najczęściej teologowie, w tym choćby św. Tomasz z Akwinu, uznawali, że spotkanie z 500 braćmi opisał także Łukasz. Czy rzeczywiście chodziło o uczniów, których Chrystus poprowadził do Betanii? „Potem wyprowadził ich ku Betanii i podniósłszy ręce, błogosławił ich. A kiedy ich błogosławił, rozstał się z nimi i został uniesiony do nieba" (Łk 24, 50–53) lub: „Zapytywali Go zebrani: »Panie, czy w tym czasie przywrócisz królestwo Izraela?«" Dz 1, 6–12). Łukasz nie wspomina, ilu uczniów było zebranych przy Wniebowzięciu, a z kontekstu nie sposób się tego dowiedzieć. Jest to w każdym razie prawdopodobne.

Tak czy inaczej nie da się rozsądnie utrzymywać, że Paweł treść wyznania zmyślił lub że oszukał Koryntian, powołując się na nieistniejących świadków. To niedorzeczne. Gdyby Paweł zmyślił lub oszukał, to zostałoby to natychmiast wykryte – wystarczyło spytać kogokolwiek z wymienionych świadków. Co zatem ma zrobić z tym wyznaniem Pawła sceptyk? Naprawdę musi się nieźle wysilić. Cały wysiłek oświeconego umysłu od ponad trzech wieków skierowany jest na to, by rozbić ten spójny, jednolity i logiczny przekaz. Nie jest to łatwe, bo teksty krzyczą: Chcemy być usłyszane! Chcemy być uznane! Och, gdyby św. Paweł nigdy nie napisał tego fragmentu swojego listu, dawno już można byłoby ogłosić, że wiara w zmartwychwstanie to mit, legenda, późniejszy dodatek, zapis potrzeb pierwszej gminy, opowieść o jej doświadczeniach, raport o wrażliwości i przeżyciach. Ileż możliwych dekonstrukcji!

Gdyby Paweł zmyślił lub oszukał, to zostałoby to natychmiast wykryte – wystarczyło spytać kogokolwiek z wymienionych świadków. Co zatem ma zrobić z tym wyznaniem Pawła sceptyk? Naprawdę musi się nieźle wysilić

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone



Tekst oparłem na swojej książce „Prawdziwie Zmartwychwstał. Śledztwo w sprawie najważniejszego wydarzenia w historii", która ukazała się nakładem wydawnictwa Fronda w 2024 r.

eprasa.pl 75b7358ee2



Z dr. Wojciechem Szewką, analitykiem stosunków międzynarodowych
rozmawia Ryszard Gromadzki

Iran – ostateczne rozwiązanie

RYSZARD GROMADZKI: Czy Stany Zjednoczone i Izrael wygrywają wojnę z Iranem? Prezydent USA i premier Izraela co rusz zapewniają, że Iran jest niemal całkowicie rozbity, trwale stracił zdolność do wzbogacania uranu, a jego zasoby rakiet balistycznych i dronów są na wyczerpaniu.

DR WOJCIECH SZEWKO: Jeśli tak, to kto ostrzeliwuje rafinerię w Hajfie, miasto Dimona, w którym znajduje się izraelski ośrodek badań nuklearnych, czy regularnie powoduje odcięcie całych połaci Izraela od prądu? Może Rosjanie albo Koreańczycy? Jest prawdą, że Iran jest bombardowany. Wiele budynków rządowych, ale też cywilnych, jak szkoły i szpitale, jest atakowanych przez Izrael i USA. Można powiedzieć, że Izrael ma w tym pewną specjalizację.

To samo izraelska armia robiła przez dwa lata w Strefie Gazy, a obecnie robi w Libanie...

Tak. Natomiast jeśli chodzi o przechwałki dotyczące likwidacji irańskiego programu nuklearnego, to chciałbym zobaczyć zdjęcia gór, mniej więcej wielkości Giewontu, które miały zostać rozbite na kawałki. To właśnie pod nimi ulokowane są fabryki rakiet i tzw. wirówki związane z programem nuklearnym Iranu. Czegoś takiego Amerykanie ani żadne inne źródło dotąd nie potwierdzili. Powstaje więc pytanie: Skąd te wymysły? Donald Trump plącze się w kolejnych wersjach, raz zapewnia, że irański program nuklearny został unicestwiony, by chwilę później grozić kolejnymi atakami na miasta Natanz, Isfahan i Fordow, gdzie mają być ulokowane kluczowe dla tego programu obiekty. Tymczasem irańskie rakiety i drony wystrzeliwane masowo wciąż uderzają w cele w Izraelu i na Bliskim Wschodzie.

Wygląda na to, że po czterech tygodniach izraelsko-amerykańskiej agresji Iran zachował zdolność skutecznej odpowiedzi?

Oczywiście. Trzeba pamiętać, że Iran jest prawdopodobnie przygotowany na wielomiesięczną wojnę i uderza w takie miejsca, w których Amerykanów, niestety również nas, najbardziej boli. A więc w zdolności do produkcji ropy naftowej i gazu – tak żeby gospodarka krajów Zatoki Perskiej, a pośrednio gospodarka amerykańska i światowa ulegały degradacji. To powoduje naciski na Trumpa, żeby skończył tę wojnę, na którą amerykański prezydent ewidentnie nie ma pomysłu. Izrael ma prosty cel: zniszczyć Iran. Dla Jerozolimy idealną sytuacją byłoby doprowadzenie Iranu do sytuacji Iraku, Syrii albo Afganistanu.

Czyli państwa upadłego, które można dowolnie rozgrywać?

Tak, ale na razie nic nie wskazuje, żeby Iran był państwem upadłym. Struktury władzy trwają.

Mimo uderzeń dekapitacyjnych agresorów, w których zginęło wielu czołowych przedstawicieli irańskiego przywództwa.

Pamiętajmy, że wbrew opowieściom izraelskiej propagandy o wieloletnich przygotowaniach do zamachów na przywódców Iranu ani ajatollah Ali Chamenei, ani sekretarz Rady Bezpieczeństwa Narodowego Ari Laridżani specjalnie się nie kryli. Jak powiedział minister spraw zagranicznych Iranu, Abbas Aragczi, bycie męczennikiem to największy zaszczyt, jaki może spotkać szyitę. Szyici od dziecka wychowywani są na micie martyrologicznym imama Husajna, który z 72 żołnierzami rzucił się na 30-tysięczną wrogą armię po to, żeby zostać męczennikiem.

To mentalność zupełnie niezrozumiała dla ludzi Zachodu.

Na pewno. Ale to oczywiście nie jest tak, że wszyscy Irańczycy chcą popełnić samobójstwo. Kiedyś Muhammad al-Adnani, akurat nie szyita, główny ideolog Państwa Islamskiego, w przekazie kierowanym do Amerykanów powiedział: „Wy walczycie, żeby żyć, my walczymy, żeby umrzeć". Nie da się zdezorganizować państwa czy społeczeństwa, które hołduje takim wzorcom, zastraszyć kolejnego urzędnika, który będzie bał się objąć swój urząd, bo go zabiją. To nie działa na ludzi, którzy wierzą, że zaraz po śmierci zasiądą w niebie po prawicy imama Husajna. Dlatego te wszystkie sztuczki psychologiczne, które mają spowodować, że ludzie w Iranie masowo wyjdą na ulice, a reżim się tego przestraszy i będzie musiał pójść na ustępstwa, to bajki, które nie mają nic wspólnego z rzeczywistością. Jeśli opozycja miałaby przejąć władzę, to gdzie jest jakiś opozycyjny rząd tymczasowy, gdzie kandydat na alternatywnego premiera?

A Reza Pahlavi nie wrócił do Teheranu na białym koniu...

Gdyby Reza Pahlavi [więcej o nim na str. 26 – przyp. red.] wrócił, to nie wiadomo, na czym by uciekał. Czytałem, co chcą mu zrobić Kurdowie. Na pewno nie ma między nimi miłości.

W momencie, kiedy rozmawiamy, upływa termin ultimatum, które prezydent USA postawił władzom w Teheranie. Trump zagroził, że jeśli Iran nie odblokuje cieśniny Ormuz, to siły amerykańskie i izraelskie uderzą w irańskie elektrownie. Iran zapowiedział, że

eprasa.pl 75b7358ee2



odpowie uderzeniem w systemy energetyczne krajów Bliskiego Wschodu i stacje odsalania wody morskiej. Czy to krytyczny moment tej wojny? Co musi się wydarzyć, żeby Amerykanie i Izraelczycy zastopowali agresję?

Najprościej byłoby, gdyby Irańczycy „odesłali na drogę do Jerozolimy" Netanjahu.

O śmierci premiera Izraela w irańskim ataku spekulowano dużo w minionych tygodniach. Ale wszystko wskazuje na to, że Netanjahu żyje.

Wobec tego, że Stany Zjednoczone nie mają zdefiniowanego, co to znaczy wygrać tę wojnę, trudno powiedzieć, kiedy nastąpi jej punkt krytyczny. Nie będzie to raczej moment, w którym Amerykanie ogłoszą światu, że wygrali wojnę, ale chwila, w której rynki, różne lobby w USA, amerykańska opinia publiczna, której coraz mniej podoba się płacenie coraz więcej na stacjach benzynowych, bo ona przez ten pryzmat będzie postrzegała konflikt z Iranem, zaczną naciskać na Trumpa, żeby wyszedł z Iranu. Wtedy moim zdaniem zostanie skonstruowana jakaś operacja, w której siły amerykańskie zajmą np. kluczową dla eksportu irańskiej ropy wyspę Chark, albo bombowce B2 znów zrobią kilka dziur w górze, pod którą podobno Iran ukrył swój uran, żeby Trump mógł jeszcze raz ogłosić, że tym razem zniszczyliśmy wszystko i wszystkich, i wygraliśmy. Nawet jeśli te twierdzenia będą kontrfaktyczne i sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem. Trump musi znaleźć sposób, jak stamtąd uciec, bo inaczej stanie przed perspektywą uwikłania się w „drugi Irak".

A może nawet „drugi Wietnam", bo Iran to jednak kraj o dużo większym potencjale militarnym, gospodarczym i demograficznym niż Irak.

Trump mógłby osiągnąć cele, o których mówi, np. całkowicie zniszczyć irański program atomowy, potencjał rakietowy Iranu czy dokonać wewnętrznego przewrotu w tym państwie, ale musiałby tam wysłać armię. Jak szacują amerykańscy generałowie, musiałoby to być nawet milion żołnierzy. Być może wtedy Trump mógłby podbić Iran.

Gdyby scenariusz z próbą podbicia Iranu przez amerykańskie wojska lądowe miał zostać zrealizowany, kto byłby jego beneficjentem? Bo przecież nie USA.

Oczywiście Izrael. To Izraelowi zależy na tym, żeby zniszczyć Iran, ponieważ poza Turcją to ostatnie państwo i armia w regionie zagrażające Izraelowi.

Pod warunkiem że Trumpowi uda się zrealizować cel Izraela. Amerykańskie interwencje w Wietnamie, Iraku czy Afganistanie finalnie kończyły się rejteradą wojsk USA.

Tutaj nie ma prostego pozytywnego scenariusza. Przed tą wojną, zanim ona się zaczęła, kreśliłem jej scenariusze. Najłatwiejszym z nich byłaby sytuacja, w której Trump powiedział coś w rodzaju: „Atakujemy Iran, żeby ukarać tych, którzy są odpowiedzialni za śmierć demonstrantów podczas wydarzeń, które miały miejsce na początku roku". Do wyeliminowania byłoby wówczas kilku najważniejszych przedstawicieli władz Iranu. Po kilku dniach wojna zostałaby zakończona, Trump ogłosiłby wielki sukces. W innym wariancie można było poprzestać na szturmie marines na instalacje pod górą w Fordow, poprzedzając go zbombardowaniem wszystkiego wokół, żeby nie dopuścić do jakiegoś kontrnatarcia ze strony Iranu, i spróbować dowiedzieć się, co się pod tą górą kryje. Dziś nikt nie wie, jakie szkody wyrządziły tam ciężkie amerykańskie bomby, czy ten uran nie został wywieziony, o czym mówiono już w czerwcu zeszłego roku podczas pierwszej odsłony izraelsko-amerykańskiej agresji na Iran. Tak czy owak, i w tym scenariuszu można by było ogłosić szybkie zwycięstwo, choć sam scenariusz byłby dużo bardziej ryzykowny. Natomiast pomysł, na który się zdecydowano, żeby obalić panujący w Iranie porządek polityczny, doprowadzić do rewolucji i do likwidacji produkcji rakiet, był szalony. Bo co to znaczy „zlikwidować zdolność Iranu do produkcji rakiet"? Przecież natychmiast po zakończeniu działań wojennych w Iranie pojawiłyby się chińskie ciężarówki, które dostarczyłyby jeszcze lepsze maszyny do ich produkcji i cały proces ruszyłby w ciągu kilku tygodni. Poza tym, co z podziemnymi fabrykami – rzekomo nienaruszonymi?

USA i Izrael nie doszacowały siły irańskiego oporu?

Najwyraźniej nie. Trump jest zawiedziony, bo był przekonany, że po pierwszych ciosach, po tym, jak zabiją Chamenei, Irańczycy się poddadzą, że będzie to trzydniowa operacja, podobnie jak miało to być u Putina z Ukrainą. Tak się nie stało. Irańczycy gotowi są walczyć do ostatniego i umierać za swój kraj. Tego Amerykanie i Żydzi nie przewidzieli. Podobnie jak tego, że Iran uderzy w gospodarkę regionu. Wątpiłem, że Irańczycy zdecydują się na blokadę cieśniny Ormuz, bo to wiązałoby się z udziałem w wojnie państw arabskich, które bały się Iranu. Jednak państwa Zatoki Perskiej niestety zgodziły się udostępnić swoje terytoria siłom USA do ataków na Iran. W tej sytuacji wojna musiała się rozlać.

A władze Kuwejtu, Zjednoczonych Emiratów Arabskich, Bahrajnu, Kataru czy Arabii Saudyjskiej przekonują się, jak niewiele znaczy amerykański parasol ochronny. Obecność amerykańskich baz w państwach regionu tylko prowokuje irański odwet.

Dokładnie tak. Do tego mamy wielką niewiadomą, bo Huti w Jemenie ogłosili, że przystępują do konfliktu. Na razie jednak nie podjęli żadnych działań. A to kilkaset tysięcy zaprawionych w boju żołnierzy. Tam ludzie od kilku pokoleń żyją wojną, podobnie jak Pasztuni w Afganistanie. Jeżeli Huti zrobią to, co przypuszczam, że zrobią, czyli zaatakują saudyjskie instalacje naftowe nad Morzem Czerwonym, a one są w zasięgu ich dronów i rakiet, a nawet wojsk lądowych, to dojdzie do zablokowania alternatywnego dla Zatoki Perskiej szlaku eksportu ropy z Bliskiego Wschodu. Saudyjczycy mają podstawy, żeby obawiać się takiego scenariusza, pomni na wydarzenia wojny saudyjsko-jemeńskiej sprzed 10 lat, kiedy ostrzał ze strony Huti omal nie sparaliżował ich systemu rurociągów naftowych.

Donald Trump coraz częściej mówi o użyciu sił lądowych w Iranie, mimo że amerykańska opinia publiczna jest temu zdecydowanie przeciwna. Czy poza użyciem kontyngentu marines w wojnie z Iranem w grę wchodzi użycie większych sił amerykańskich?

Przynajmniej w krótkim okresie jest to nierealne. Proszę zwrócić uwagę, że Trump potrzebuje szybkiego rozstrzygnięcia. Odblokowanie strategicznych rezerw ropy pozostających w dyspozycji Międzynarodowej Agencji Energii, a także zniesienie sankcji na rosyjską ropę, a nawet na irańską znajdującą się na tankowcach, to wszystko rozpaczliwe próby zablokowania wzrostu cen tego strategicznego surowca. Tymczasem analitycy z saudyjskiego

eprasa.pl 75b7358ee2

koncernu Aramco szacują, że jeżeli wojna potrwa do kwietnia, a to już bardzo blisko, to cena ropy wzrośnie do 180 dol. za baryłkę. Wracając do scenariuszy ewentualnej interwencji lądowej, zgromadzenie wystarczających sił do inwazji, czyli przynajmniej 100, może 200 tys. żołnierzy, to potężna operacja logistyczna, która wymaga przynajmniej kilku miesięcy przygotowań.

Przez cały ten czas USA i Izrael musiałyby wywierać presję militarną na Iran, a to kosztowałoby ogromne pieniądze.

A Iran w tym czasie poprzez nawet pojedyncze uderzenia eliminowałby kolejne instalacje naftowe i gazowe w krajach Zatoki Perskiej, w efekcie czego mogłoby dojść do sytuacji, w której nawet po odblokowaniu cieśniny Ormuz nie byłoby przez nią czego wozić. To z kolei doprowadzi do potężnego światowego kryzysu gospodarczego, który oczywiście dotknie też Iran. Tylko co Iran ma do stracenia?

Iran a sprawa polska. Donald Trump wielokrotnie dawał wyraz temu, że jest bardzo zawiedziony brakiem wsparcia agresji na Iran ze strony państw NATO. Czy Waszyngton może naciskać na Warszawę w sprawie ewentualnego udziału polskich sił specjalnych w działaniach w Iranie lub wykorzystania polskiego wywiadu i terytorium dla amerykańskich operacji przeciw temu krajowi?

Myślę, że powinniśmy, jeśli już przyjdzie taka konieczność, pozorować swoje wsparcie dla USA w wojnie z Iranem. Na przykład oferując nasze trałowce oczyszczające szlaki morskie z min. Nie wiem, czy mają one w ogóle zdolność do dopłynięcia na teatr działań wojennych, ale dla Trumpa taki komunikat wystarczy. Cesarz wezwał, sojusznicy przyjdą z odsieczą.

Donald Trump jest zakładnikiem Izraela z powodu głębokiego uwikłania w aferę Epsteina?

Moim zdaniem tak. W Stanach Zjednoczonych mówi się o tym głośno. Thomas Massie, republikański kongresmen z Kentucky, który podobnie jak inni członkowie Kongresu USA ma pełny dostęp do przeglądarki akt w sprawie Epsteina, powiedział, że kiedy wpisze się w niej nazwisko Trump, otrzymuje się milion trafień, więc nie ma takiej możliwości, żeby prezydent USA nie brał w tym udziału. Zresztą ostatnio pojawiły się nowe poważne zarzuty w tej sprawie dotyczące nie tylko gwałtów, lecz także zabójstw. Policja w Nowym Meksyku dopiero teraz zaczęła prowadzić poszukiwania na ranczu Epsteina położonym na odludziu w rejonie Santa Fe, gdzie – jak wskazują poszlaki – mogą być ukryte ciała młodych kobiet, ofiar procederu, którym kierował Epstein. Jeżeli agenci znajdą tam jakiekolwiek zwłoki, co nie jest pewne, bo teren jest tam wyjątkowo trudny, to będzie to uderzało w Trumpa bezpośrednio. Jest też wysoce prawdopodobne, znając historię ojca pani Maxwell, wspólniczki Epsteina, że izraelskie służby dysponują wersją wideo bezeceństw, które miały miejsce w posiadłościach Epsteina.

Jeżeli Iranowi uda się przetrwać agresję Izraela i USA, to będzie to oznaczało porażkę idei „Wielkiego Izraela", którą forsują Netanjahu i jego polityczni alianci?

Wręcz przeciwnie. Dla Netanjahu największym zwycięstwem życia jest doprowadzenia do tego, że Stany Zjednoczone zaatakowały Iran. Tego Izrael nie byłby w stanie zrobić samodzielnie. Tak czy inaczej, Iran wyjdzie z tej wojny bardzo poobijany. Będzie musiał skupić się na odbudowie. Przy dużych inwestycjach chińskich, co nie jest przesądzone, bo trzeba pamiętać, że Chińczycy są także dużym partnerem Arabii Saudyjskiej i Zjednoczonych Emiratów Arabskich, gdzie więcej inwestują i kupują. Ten stan powoduje, że Iran prawdopodobnie przez lata nie będzie zagrażał Izraelowi. Wystarczy, że w najbliższych tygodniach zostanie zniszczona irańska obrona przeciwlotnicza. Pozwoli to Izraelowi bezkarnie uderzać w dowolne cele w Iranie w wybranym przez siebie czasie, już po zakończeniu wojny, przez rok, dwa lata czy 10 lat. Nieważne, czy będzie rządził Netanjahu czy jakiś jego następca, np. Eisenkot. Władza Likudu oparta jest na podtrzymywaniu stanu permanentnego zagrożenia. Kiedy zagrożenie się zmniejsza – Netanjahu wywołuje lub prowokuje kolejną wojnę. Ale z dużą dozą prawdopodobieństwa można powiedzieć, że Netanjahu już wygrał rozgrywkę wokół Iranu. Proszę zauważyć, że jednocześnie atakuje on lądowo Liban, bombarduje Iran i uderza w wojska syryjskie.

A więc na naszych oczach „Wielki Izrael" od Nilu do Eufratu staje się faktem?

Tak. Zastanawiam się tylko, co zrobią prędzej – aneksję południowego Libanu czy Zachodniego Brzegu Jordanu. Nie mam wątpliwości, że państwo żydowskie do tego doprowadzi, bo oni czują się całkowicie bezkarni. Żydzi doskonale wiedzą, że prezydentura Trumpa jest czasem, kiedy mogą ten plan przeprowadzić, bo nikt nic im nie zrobi. Zastanawiam się, czy Izrael zdecyduje się na kolejne kroki, np. zburzenie meczetu Al-Aksa.

Żeby w jego miejscu postawić Trzecią Świątynię?

Dla nich „Eretz Israel" („Ziemia Izraela") to nie jest projekt geostrategiczny, to przede wszystkim projekt religijny.

Jakkolwiek skończy się ta wojna, poobijany wyjdzie z niej nie tylko Iran, lecz także państwa arabskie.

W efekcie wielkiej wojny na Bliskim Wschodzie Iran i państwa arabskie będą lizały rany przez całe lata. Izrael będzie mógł całkowicie lekceważyć Arabię Saudyjską czy Emiraty. Z punktu widzenia geostrategicznego te państwa bardzo mocno stracą.

Kto może być dla Izraela „nowym Iranem"? Turcja? Mówił o tym niedawno bez ogródek były premier Izraela, Naftali Bennett.

Różni politycy w Izraelu mówią o dwóch państwach. Pierwszym z nich jest Turcja. Nieprzypadkowo podczas pierwszej odsłony agresji na Iran ze strony Izraela i USA w czerwcu zeszłego roku prezydent Recep Tayyip Erdoğan nakazał rozbudowę potencjału rakietowego. W tle pogróżek ze strony Izraela, które wtedy padły, był także kontekst syryjski. Erdoğan wziął te groźby na poważnie. Drugim państwem, potencjalnie zagrożonym atakiem Izraela, jest Pakistan, który jest jedynym krajem muzułmańskim, dysponującym bronią nuklearną. To państwo specyficzne, bo z jednej strony ma potężną armię, a z drugiej jest na granicy upadku. Wystarczy, że przewróci się tam jeden klocek domina, i mamy drugi Afganistan, tylko że z bronią nuklearną.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



dr Wojciech Szewko *– analityk stosunków międzynarodowych, specjalista problematyki Bliskiego Wschodu, twórca kanału na YouTube „Na Wschód od Bliskiego Wschodu".*

eprasa.pl 75b7358ee2



Komu wadzi królewskość Chrystusa?



Krystian Kratiuk

Military Religious Freedom Foundation poinformowała, że otrzymała ponad 200 skarg od amerykańskich żołnierzy, którzy mówili, że część dowódców uzasadniała działania wojenne w Iranie w kategoriach religijnych, odwołując się do wizji „końca czasów", Armagedonu czy nawet twierdząc, że konflikt jest częścią „Bożego planu" i może przyspieszyć ponowne przyjście Chrystusa

Latem 2025 r. pisałem na łamach „Do Rzeczy" o wielkim powrocie religii do polityki – wśród symptomów tego zjawiska wymieniając pierwszy atak Donalda Trumpa na Iran przeprowadzony na życzenie Izraela, a w pewnej mierze inspirowany herezją chrześcijańskiego syjonizmu. Część opinii publicznej jeszcze wówczas czytając takie tezy, delikatnie stukała się palcem w czoło. Wiosną roku 2026 wydaje się już jednak, że idea religijnego przymierza amerykańskich protestantów z Żydami i to, jaką ma to wagę dla stosunków międzynarodowych, nie stanowi już mrocznej „teorii spiskowej". Nikt nie określił wydanej w tym samym czasie książki Pawła Lisickiego „Mesjasz i Trzecia Świątynia" mianem „antysemickiej", mimo że jej publikacja jeszcze pół dekady temu wywołałaby wściekły atak i właśnie takie oskarżenia.

CO SIĘ ZMIENIŁO?

Oto Izrael i zamieszkujący go naród przestały cieszyć się immunitetem światowej opinii publicznej. Premiera Beniamina Netanjahu i jego ekipę przedstawia się w mediach zachodnich jako zbrodniarzy wojennych, jednocześnie polityce medialnej ochrony Izraela zaszkodził bardzo bliski sojusz ze znienawidzonym przez mainstream i dokonującym coraz dziwniejszych ruchów Donaldem Trumpem.

Dzięki temu do coraz szerszej grupy odbiorców docierają informacje o chrześcijańskim syjonizmie – inspirowanym przez środowiska żydowskie ruchu politycznym, popularnym wśród amerykańskich protestantów. Istotą tego ruchu jest religijnie motywowane poparcie USA dla Izraela, zbudowane na fragmencie z Księgi Rodzaju, w którym Bóg mówił do Abrahama: „Wyjdź z twojej ziemi rodzinnej i z domu twego ojca do kraju, który ci ukażę. Uczynię bowiem z ciebie wielki naród, będę ci błogosławił i twoje imię rozsławię: staniesz się błogosławieństwem. Będę błogosławił tym, którzy ciebie błogosławić będą, a tym, którzy tobie będą złorzeczyli, i ja będę złorzeczył. Przez ciebie będą otrzymywały błogosławieństwo ludy całej ziemi". Wyznawcom judaizmu, albo po prostu dyplomatom Izraela, udało się w ostatnich dekadach przekonać miliony Amerykanów, że te słowa sprzed kilku tysięcy lat odnoszą się do błogosławienia dzisiejszego państwa żydowskiego przez Stany Zjednoczone.

A w miarę rozwoju wojny Trumpa z Iranem – której powodów i celów nie potrafili racjonalnie wytłumaczyć ani prezydent USA, ani nikt z jego administracji – inspiracje chrześcijańskim syjonizmem stawały się coraz bardziej oczywiste dla obserwatorów na całym świecie. Najbardziej obrazowo zadziałały doniesienia z początku nalotów na Iran, gdy amerykańska Military Religious Freedom Foundation poinformowała, że otrzymała ponad 200 skarg od amerykańskich żołnierzy, mówiących, że niektórzy dowódcy uzasadniali działania wojenne właśnie w kategoriach religijnych, odwołując się do wizji „końca czasów", Armagedonu czy nawet twierdząc, że konflikt jest częścią „Bożego planu" i może przyspieszyć ponowne przyjście Chrystusa.

MAGA. WROGOŚĆ I PĘKNIĘCIE

Od czasu poprzedniej agresji Trumpa na Iran (w 2025 r.) w stanowiącym zaplecze obecnej administracji ruchu MAGA trwa rozłam ideowy. Z jednej strony liderzy skrzydła prosyjonistycznego, jak senator Ted Cruz, osobiście włączyli się w tłumaczenie, że „w szkółce niedzielnej uczono ich, że jeśli będziemy błogosławić Izraelowi, Bóg będzie błogosławił nam". Z drugiej strony w obrębie MAGA rośnie frakcja nacjonalistyczno-izolacjonistyczna, odrzucająca religijne uzasadnienia polityki zagranicznej. Jej przedstawiciele argumentują, że wsparcie dla Izraela powinno być oceniane wyłącznie przez pryzmat interesu USA, a nie przekonań teologicznych. Do tej grupy zaliczani są m.in. Marjorie Taylor Greene, Matt Gaetz czy Tucker Carlson, którzy krytykują bezwarunkowe poparcie dla Izraela. W środowisku tym jest także reprezentacja wspierających Partię Republikańską katolików – do których, w przeciwieństwie do ewangelikanów, idea chrześcijańskiego syjonizmu w żaden sposób nie przemawia.

W połowie marca 2026 r. wspomniany senator Ted Cruz udostępnił na platformie X długi, antykatolicki esej, opublikowany przez republikańskie syjonistyczne konto Insurrection Barbie, komentując go jako „najlepsze i najbardziej kompleksowe wyjaśnienie tego, z czym walczymy". O czym był ów esej? Otóż jego autorka twierdzi, że Partia Republikańska jest przejmowana przez „niewielką grupę katolików", którzy nie chcą popierać idei chrześcijańskiego syjonizmu. Według niej głównym źródłem wpływu na tę grupę mają być „twardogłowi zwolennicy Mszy łacińskiej",

eprasa.pl 75b7358ee2

zwłaszcza środowiska związane z Bractwem św. Piusa X, a także „katolicy podkreślający kryzys w Kościele".

W tekście pojawiają się ostre i emocjonalne określenia, takie jak „pasożyty", a także zarzuty dotyczące rzekomej „kradzieży" czy „powolnego zatruwania istniejących instytucji". Autorka krytycznie odnosi się do katolików odwołujących się do nauczania św. Tomasza z Akwinu, twierdząc, że w polemice z chrześcijańskim syjonizmem „stosują średniowieczny schemat teologiczny". W dalszej części eseju chwalonego przez prominentnego senatora pojawia się także krytyka katolickiej koncepcji społecznego królowania Chrystusa. Zostaje ona przedstawiona jako „teokratyczna monarchia", w której duchowieństwo miałoby sprawować władzę nad społeczeństwem. Zdaniem autorki taka wizja ustroju stoi w sprzeczności z wartościami amerykańskimi i założeniami chrześcijańskiego syjonizmu i jest z nim nie do pogodzenia.

Z tekstu wyraźnie wynika również, że amerykański konserwatyzm opiera się na twierdzeniu, że „Bóg zawarł wieczne, bezwarunkowe przymierze z narodem żydowskim", że „współczesne Państwo Izrael jest wypełnieniem proroctwa biblijnego" i że chrześcijanie, którzy „błogosławią Izrael", realizują „bezpośredni boski nakaz".

Ten pogląd teologiczny zyskuje również popularność w Polsce, ale do tego powrócimy pod koniec tekstu.

KONTROWERSYJNI PASTORZY BIAŁEGO DOMU

O tym, jak bardzo chrześcijańskim syjonistom spod znaku MAGA zależy na Izraelu i jak bardzo z tego powodu nie znoszą katolików, niech świadczy jeszcze kilka informacji z przedwiośnia bieżącego roku.

Pierwsza sprawa dotyczy katoliczki Carrie Prejean-Boller, byłej modelki, która została powołana do utworzonej w 2025 r. Komisji do spraw Wolności Religijnej, mającej doradzać w kwestiach praw osób wierzących w USA. Podczas jednego z posiedzeń, poświęconego problemowi antysemityzmu, Prejean-Boller wyraziła krytyczne stanowisko wobec syjonizmu, pytając m.in., czy krytyka polityki Izraela powinna być uznawana za antysemityzm. To wywołało kontrowersje wśród innych uczestników – część z nich uznała, że sama krytyka nie musi być antysemityzmem, ale „podważanie prawa Izraela do istnienia" już tak, i w konsekwencji przewodniczący komisji Dan Patrick zdecydował o usunięciu Prejean-Boller z komisji. Tak oto katoliczka, osobiście zaproszona przez Trumpa do Komisji do spraw Wolności Religijnej, została ukarana za… korzystanie z wolności religijnej.

Druga, dość głośna sprawa dotyczy słynnych już obrazków z Gabinetu Owalnego, w którym 5 marca bieżącego roku odbyło się spotkanie modlitewne, gdzie kilkunastu ewangelikalnych pastorów otoczyło Donalda Trumpa i modliło się nad nim, kładąc na nim ręce. Była wśród nich Paula White-Cain, organizatorka tego wydarzenia, a jednocześnie szefowa Biura do spraw Wiary w Białym Domu. Kontekst był bezpośrednio związany z wojną – modlitwy dotyczyły wsparcia dla USA w działaniach przeciw Iranowi, ochrony żołnierzy i powodzenia operacji wojskowych oraz mądrości dla Trumpa jako dowódcy w czasie konfliktu. Wprost mówiono o modlitwie „za sukces w wojnie przeciw Iranowi" oraz o błogosławieństwie dla działań militarnych. Warto dodać, że Paula White-Cain zasłynęła już w trakcie pierwszej kadencji Trumpa, w 2020 r., po zabiciu irańskiego generała Kasema Sulejmaniego – wtedy to w mediach zaczęły krążyć jej wypowiedzi modlitewne i kazania, w których interpretowała wydarzenia geopolityczne w kategoriach duchowej walki dobra ze złem. W marcu bieżącego roku w mediach społecznościowych znów masowo przywoływano fragment jej ówczesnej modlitwy, w którym wzywała do „zwycięstwa nad demonicznymi siłami" działającymi na Bliskim Wschodzie.

I jeszcze jedna ciekawostka. Oto Pete Hegseth, sekretarz wojny USA, jeszcze jako dziennikarz Fox News, podczas wystąpienia w Jerozolimie w 2018 r. mówił, że „nie ma powodu, by cud odbudowy Świątyni na Wzgórzu Świątynnym nie był możliwy", wyrażając przekonanie, że w tym miejscu mogłaby powstać tzw. Trzecia Świątynia. Hegseth należy do jednego z protestanckich „Kościołów", którego pastor Doug Wilson, pozostający mentorem sekretarza wojny i zaproszony przezeń do Pentagonu, wyrażał poglądy skrajnie krytyczne wobec katolicyzmu, postulując m.in. zakaz niektórych form publicznego kultu – szczególnie procesji maryjnych i eucharystycznych, które uznaje za przejaw „idolatrii". Choć nie są znane poglądy pastora na temat chrześcijańskiego syjonizmu, to sam radykalny antykatolicyzm mentora tak ważnej postaci jak Pete Hegseth – ochoczo realizującego wszak politykę proizraelską – budzi zdumienie i obawy wśród katolików.

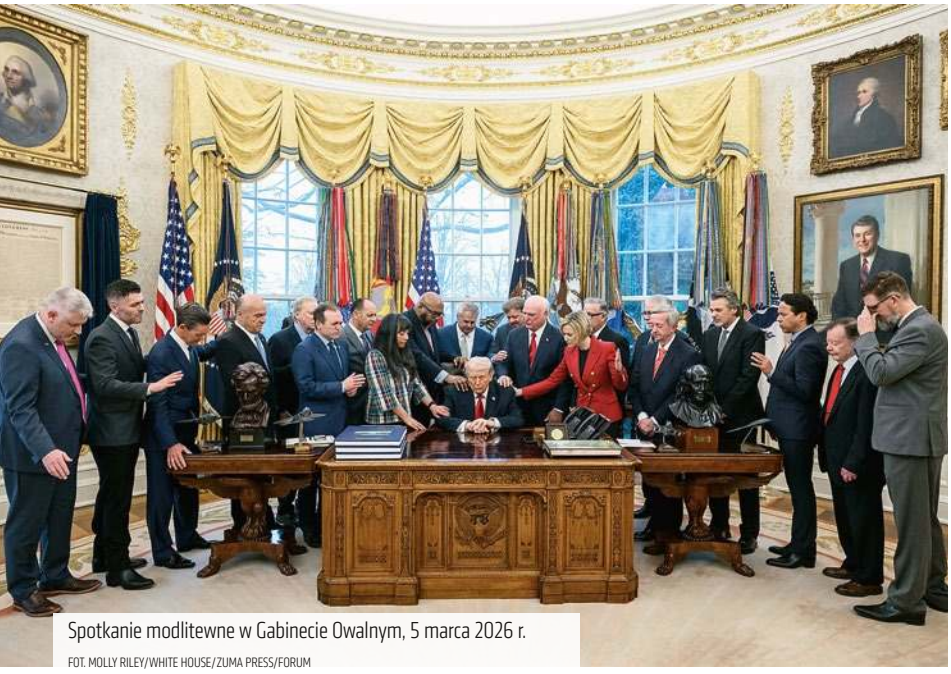
Hasło „Chrystus jest Królem" zostało w USA i Izraelu uznane za antysemickie i wykorzystane jako oręż do walki prożydowskich protestantów z… chrześcijanami sprzeciwiającymi się wojnie z Iranem

CHRYSTUS KRÓLEM ANTYSEMITÓW?

Również w marcu bieżącego roku w „The Times of Israel" ukazał się artykuł sugerujący, że wielowiekowe, katolickie hasło „Chrystus jest Królem" (Christ is King) stało się elementem wojny kulturowej w USA, ponieważ w niektórych środowiskach zaczęto go używać „razem z atakami na Żydów lub ostrą retoryką antysyjonistyczną". Według autorów tekstu sformułowanie to bardzo często jest używane w sposób ideologiczny, czasem wręcz „jako slogan towarzyszący pogardzie wobec Żydów". Jak widać, w Izraelu maczuga „antysemityzmu" nie przestała być popularna i nadal okłada się nią wszystkich, którzy krytykują chociażby chrześcijański syjonizm.

Owa idea skorelowania hasła „Chrystus Królem" z antysemityzmem narodziła się jednak nie w Izraelu, ale w Stanach Zjednoczonych. Oto „The Times of Israel" powoływał się przecież na raport opracowany rok wcześniej w amerykańskim Network Contagion Research Institute,

eprasa.pl 75b7358ee2



Spotkanie modlitewne w Gabinecie Owalnym, 5 marca 2026 r.

FOT. MOLLY RILEY/WHITE HOUSE/ZUMA PRESS/FORUM

według którego znacząca część przypadków użycia hasła „Christ is King" była „powiązana z treściami antysemickimi". Na nic zdały się przekonywania popularnego, także w Polsce, psychologa Jordana Petersona, współpracującego przy tworzeniu raportu, który podkreślał, że problem dotyczy raczej nadużyć i manipulacji w sieci niż samego wyrażenia. Twierdził, że badania nie dowodzą, że samo hasło „Christ is King" jest antysemickie, lecz że bywa używane w złym kontekście. Wiemy jednak doskonale, jak działa oręż zarzutu o „antysemityzm" – przekonanie o złowrogim i rasistowskim wymiarze królowania Chrystusa poszło w szeroki świat.

To m.in. właśnie na tym raporcie chrześcijańscy syjoniści opierają swą narrację względem katolików. Argumentują, że skoro hasło „Christ is King" – tak silnie związane z tradycyjną teologią o panowaniu Chrystusa – jest podejrzane, to bezpieczniejszą drogą jest ich własna wizja chrześcijaństwa, która akcentuje bezwarunkowe poparcie dla Izraela i unika napięć z judaizmem. Wszak w tym kontekście Chrystus może i być królem dla chrześcijan, ale na pewno nie dla żydów. Na pewno nie dla Izraela.

ŻYDZI A SPRAWA POLSKA

Warto przenieść się jeszcze na polskie podwórko – ale nie do sfery polityki, lecz religii. Chodzi o stosunek chrześcijan do żydów, a nawet o „Christ is King" – królowanie Chrystusa. Jeśli Jezus jest bowiem Królem Świata, to całego, z Izraelem włącznie, nieprawdaż? Jeśli przyszedł do Żydów dwa tysiące lat temu, a oni go nie przyjęli, to w chrześcijańskiej teologii oczywiste powinno być, że aby dostąpić zbawienia, powinni go przyjąć. Niestety – wcale nie jest to oczywiste ani dla teologów opracowujących podstawy chrześcijańskiego syjonizmu, ani dla… polskich biskupów.

Świadczy o tym doprawdy zdumiewający list, który nasi hierarchowie wystosowali do wiernych na piątą niedzielę Wielkiego Postu, wysyłając ich „w odwiedziny" do… synagog. Od dłuższego czasu część polskich duchownych zdawała się uważać, że Żydzi nie muszą przyjmować Chrystusa, by pójść do nieba – w liście Konferencji Episkopatu Polski przeczytaliśmy podobne zdanie, brzmiące: „Nie ma żadnych wątpliwości, że Żydzi są uczestnikami Bożego zbawienia, ale jak to może być możliwe bez wyraźnego wyznawania Chrystusa – jest i pozostanie niezgłębioną tajemnicą Bożą". Dowiedzieliśmy się również, że przymierze Boga z Izraelem rzekomo nie zostało odwołane, a Izrael nadal pozostaje narodem wybranym. Biskupi podpisali się pod tym, choć Kościół przez wieki nauczał, że to on jest nowym Izraelem.

Takie interpretacje długo przed publikacją listu Konferencji Episkopatu Polski budziły opór. Sprzeciwiali się im chociażby profesorowie – ks. Waldemar Chrostowski i ks. Waldemar Rakocy. Ich argumentacja opiera się na oczywistym przez wieki dla katolików przekonaniu, że Chrystus jest jedynym i powszechnym Zbawicielem wszystkich ludzi bez wyjątku, a więc nie może istnieć równoległa, autonomiczna droga zbawienia dla Żydów. Podkreślają, że Stare Przymierze znajduje swoje wypełnienie w Nowym, a nie funkcjonuje jako niezależna droga zbawcza. Krytykowali niektóre interpretacje posoborowe, prowadzące do praktycznego relatywizmu i osłabienia misji ewangelizacyjnej wobec Żydów, a także do niejasności doktrynalnej – bo jeśli Żydzi mają własną drogę zbawienia, to po co głosić im Ewangelię? A może wręcz nie wolno tego robić?

List wywołał szok u wielu polskich katolików, także licznych proboszczów, którzy po prostu nie odczytali go wiernym.

Jakby tego było mało, został on opublikowany w szczególnym kontekście geopolitycznym. Biskupi powinni zdawać sobie z tego sprawę i np. poinformować wiernych o głębokich podziałach wśród samych Żydów co do kwestii politycznych, wszak jest tam spektrum poglądów od zwolenników syjonizmu po jego zdecydowanych krytyków. Brak tej świadomości wśród wielu Polaków prowadzi do uproszczeń, które skutkują tym, że wszyscy Żydzi są traktowani jako jednolita grupa utożsamiana z biblijnym Izraelem. Biskupi nie uwzględniają wyraźnych rozróżnień między Żydami epoki Starego Przymierza a współczesnymi nurtami judaizmu oraz Państwem Izrael – a i to w konsekwencji może potęgować nieporozumienia i kontrowersje. W tej sytuacji list KEP może w praktyce przynieść zupełnie odwrotny od zamierzonego skutek w stosunku Polaków do Żydów.

Czy ten polski spór teologiczny w jakikolwiek sposób wpływa na polską politykę? Jeszcze nie. Ale rodząca się przed laty w środowiskach protestanckich idea chrześcijańskiego syjonizmu też początkowo nie była tak potężną siłą, jaką stanowi dzisiaj. A przecież stosunki polsko-żydowskie i katolicko-żydowskie w naszym kraju cały czas są tematem niezwykle ważnym, a ludzie głoszący nową teologię doskonale zdają sobie z tego sprawę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem naczelnym pch24.pl.

O LIŚCIE KONFERENCJI EPISKOPATU POLSKI CZYTAJ TAKŻE NA STR. 34.

eprasa.pl 75b7358ee2

Pod znakiem lwa i słońca



Teresa Stylińska

Książę Reza Pahlawi chce wrócić do Iranu i wierzy, że wielu Irańczyków na to czeka. Jak wielu?



Reza Pahlawi, syn ostatniego szacha Iranu

FOT. PAUL MORIGI/GETTY IMAGES

Reza Pahlawi to jedyna alternatywa dla Iranu", „Nasz wybór to Reza Pahlawi", „Naród Iranu akceptuje jedynie księcia Rezę". A także „Make Iran Great Again" i wprost: „Król Reza Pahlawi".

Takiej treści bannery niesiono zarówno podczas antyrządowych protestów, które przetoczyły się przez Iran w styczniu tego roku, jak i demonstracji irańskich emigrantów na Zachodzie. To właściwie nic nowego, bo takie deklaracje manifestanci głoszą od dawna. Na uchodźstwie w sposób nieskrępowany, w Iranie zaś coraz częściej i coraz bardziej odważnie.

Wygląda na to, że po blisko półwieczu spędzonym na wygnaniu Reza Pahlawi, syn ostatniego szacha, jest jedynym człowiekiem, z którym wiążą nadzieje wrogowie Islamskiej Republiki Iranu. Wśród opozycji nie brakuje ludzi zasłużonych dla Iranu. Ale to książę Reza jest na sztandarach, a wraz z nim obraz złotego lwa i słońca – pradawne godło perskiej monarchii.

Czy to dziwi? Może trochę. Po pierwsze, od obalenia szacha jego syn ani razu nie był w ojczyźnie. Nie jest czynnym politykiem i nie ma w Iranie zaplecza, czyli ludzi, którzy mogliby działać w jego imieniu – bo w kraju rządzonym przez ajatollahów to niemożliwe. Po wtóre, irańska ulica, dziś w tak widomy sposób monarchii przychylna, 47 lat temu masowo poparła ajatollaha Chomeiniego i jego hasło: „Szach musi odejść".

Wiadomo oczywiście, że nie jest to ta sama ulica, że demonstrantów sprzed lat zastąpiły ich dzieci i wnuki, że republika islamska miała wszelkie wady autokratycznej monarchii i żadnej z jej zalet – a zatem rozczarowanie społeczeństwa jest zrozumiałe. A jednak trudno uniknąć zestawienia dwóch obrazów: z jednej strony ludzi wzywających szacha do powrotu, z drugiej – tłumów entuzjastycznie witających Chomeiniego, który 11 lutego 1979 r. wrócił z emigracji.

Szacha już wtedy w kraju nie było. Mohammad Reza Pahlawi z rodziną opuścił Iran miesiąc wcześniej.

GEST IRAŃSKIEGO PATRIOTY

Kogo widzą zatem Irańczycy w jego synu? Przywódcę politycznego? Punkt odniesienia w czasach zamętu? Drogowskaz do lepszego życia? Ojca narodu? W nastrojach ludu jest pewnie nuta nostalgii, dominuje jednak poczucie, że pod rządami szacha żyło się lepiej, nawet jeśli nie wszyscy mieli udział w rosnącej zamożności rozwijającego się kraju. Po półwieczu jednak zbladła pamięć o ogromnych różnicach społecznych, a nieprawości strażników rewolucji i policji ajatollahów przesłoniły okrucieństwa SAVAK, policji politycznej szacha.

Cyrus Reza – tak brzmi pełne imię następcy tronu. Nie przypadkiem zapewne nawiązuje do Cyrusa Wielkiego, władcy, który stworzył podwaliny starożytnego imperium perskiego. Ten drobny zabieg wiąże Pahlawich, dynastię skromnego pochodzenia, bez królewskich ani nawet arystokratycznych korzeni, z wielką przeszłością Persji. Podczas obchodów 2500 lat istnienia państwa perskiego, zorganizowanych w 1971 r. z niewyobrażalnym rozmachem, 10-letni następca tronu wszędzie towarzyszył rodzicom.

Książę Reza przyszedł na świat 31 października 1960 r. jako najstarsze z czworga dzieci szacha i jego trzeciej żony Farah Diby. Nauki pobierał w pałacowej szkole dla dzieci z rodziny królewskiej oraz dzieci wysokiej rangi urzędników dworskich i państwowych. Od najwcześniejszych lat był entuzjastą lotnictwa. Swój pierwszy samodzielny lot odbył w 1977 r. jako najmłodszy pilot w Iranie. Rok później, jeszcze przed rewolucją islamską, wyjechał na dalsze

eprasa.pl 75b7358ee2



szkolenie w bazie lotnictwa wojskowego w Teksasie. Przerwał je, by dołączyć do rodziny, która po opuszczeniu kraju tułała się po świecie w poszukiwaniu miejsca, gdzie mogłaby osiąść na stałe. Kolejne kraje jednak odmawiały.

Ostatecznie zgodził się Egipt. Tu, w Kairze, w lipcu 1980 r. chory na raka szach zmarł. Rodzina wkrótce potem przeniosła się do Ameryki. Nowy prezydent Ronald Reagan nie miał w tej sprawie obiekcji, inaczej niż jego poprzednik Jimmy Carter, który podobno z oporami wyraził wcześniej zgodę na leczenie szacha w amerykańskim szpitalu.

Książę Reza zaś pozostał następcą tronu. Po śmierci ojca w dniu swych 20. urodzin ogłosił się wprawdzie królem, nikt tego jednak nie uznał. Książę podzielił zatem los całej plejady pretendentów do tronów nieistniejących monarchii – Habsburgów, Hohenzollernów, Osmanów i Sabaudów. W przeciwieństwie jednak do większości z nich nie jest bankierem ani biznesmenem. Poświęcił się sprawie Iranu. Ukończył studia politologiczne na Uniwersytecie Południowej Kalifornii, współtworzył Irańską Radę Narodową, a podczas wojny irańsko-irackiej zdobył się na gest, który niejednego mógł wprawić w osłupienie: zaoferował nowym władzom Iranu, a zatem przysięgłym swym wrogom, swe usługi w charakterze pilota wojskowego. Propozycja pozostała bez odpowiedzi.

ZALEDWIE DWAJ KRÓLOWIE

W porównaniu z ponad 20 dynastiami, które władały Persją, dynastia Pahlawich prezentuje się skromnie: to zaledwie 54 lata i tylko dwóch królów – Reza Pahlawi, wojskowy, który odsunął od władzy dynastię Kadżarów i w 1925 r. ogłosił się szachem, oraz jego syn Mohammad Reza, szach od 1941 r. Obaj objęli władzę dzięki Brytyjczykom, których wsparcie i inspiracja zaprowadziły generała Rezę na tron, a po latach tronu pozbawiły. Pod naciskiem Wielkiej Brytanii szach Reza abdykował na rzecz swego syna i wyjechał z kraju, który w tym czasie przestał być Persją i stał się Iranem.

Rządy obu Pahlawich, choć w perspektywie historii Persji niedługie, wiele zmieniły, i to nie tylko na polu gospodarki, lecz także – co trudniejsze i może nawet ważniejsze – w sferze społecznej. Reza Pahlawi wzorował się na reformach, które w sąsiadującej z Iranem Turcji wprowadzał Mustafa Kemal Atatürk, i były to zmiany równie rewolucyjne. Wprowadzono np. nazwiska, a kobietom zakazano zasłaniania twarzy. W walce z hidżabem szacha mocno wspierały jego druga żona, Tadż ol-Moluk (matka Mohammada Rezy), i dwie ich córki – Aszraf i Szams.

Szach Mohammad Reza był jedynym członkiem rodziny Pahlawich, który prasie, zwanej dawniej brukową, dostarczał aż nadto materiału. Trzy żony, dwa rozwody, niewierność, samochody i zabawy – naprawdę było o czym pisać.

Pierwsze małżeństwo, z egipską księżniczką Fawzią, siostrą króla Faruka, Mohammad Reza zawarł z woli ojca. Było nieudane i gdy tylko szach Reza zmarł, zostało rozwiązane. Drugie, z Sorayą Esfandiari-Bachtiari z arystokratycznej rodziny irańskiej, stanowiło nieustające źródło plotek i doniesień. Piękna Soraya była podobno miłością życia szacha, nie mogła jednak dać mu potomstwa i zapewnić sukcesji. Dlatego, choć z bólem serca, Mohammad Reza musiał się z nią rozstać. Zadbał jednak o to, by Sorayi, która przeniosła się do Rzymu i Paryża, niczego nie brakowało.

Trzecia żona, Farah Diba, spełniła oczekiwania: urodziła czworo dzieci, w tym dwóch synów. Dwoje najmłodszych już nie żyje. Oboje – syn Alireza i córka Leila – popełnili samobójstwo.

Tak się składa, że nie przeszły niezauważone również ostatnie chwile szacha. Nie dlatego, że leczenie w różnych krajach stwarzało problemy. I nie dlatego także, że w Ameryce pod oknami szpitala, gdzie leżał, irańscy studenci wykrzykiwali: „Śmierć szachowi" – czego nie mógł nie słyszeć. Chodziło o jugosłowiańskiego przywódcę Josipa Broza-Tito, który umarł parę miesięcy wcześniej niemal na oczach świata. Jego stan, w tym podtrzymywanie funkcji życiowych, był stałym tematem doniesień. Mohammad Reza prosił, by dano mu odejść w spokoju. – Nie chcę – miał powiedzieć – umierać jak Tito.

CHODZI O IRAN, NIE O TRON

W przeciwieństwie do ojca książę Reza ma mediom niewiele do zaoferowania. Prowadzi spokojne, rodzinne życie w Potomac w stanie Maryland, gdzie ma dom. Jego żona Yasmine, która wraz z rodziną opuściła Iran jako mała dziewczynka, jest adwokatem. W swej praktyce zajmowała się głównie sprawami dzieci i młodzieży, dziś natomiast pomaga księciu w jego działalności. Książęca para ma trzy córki: Noor, która również pracuje z ojcem, Iman i Farah.

Jakie są plany księcia? Czy chciałby, tak jak jego ojciec i dziadek, zasiąść na tronie? On sam niezmiennie powtarza, że nie jest to jego celem. Chodzi mu wyłącznie o Iran, o to, by stał się wolnym i demokratycznym krajem, w którym decyzje dotyczące państwa spoczywają w rękach obywateli.

Książę Reza chce wrócić do Iranu i wierzy, że wielu Irańczyków na to czeka. Jak wielu? To już trudno precyzyjnie ocenić, podobnie zresztą jak rozmiary poparcia dla ewentualnej restytucji monarchii. Z badań przeprowadzonych przed trzema laty w Iranie wynika, że wśród 34 kandydatów do tymczasowych władz, których nazwiska przedstawiono ankietowanym, książę zajął pierwsze miejsce, z poparciem na poziomie 33 proc.

Jaką jednak rolę chciałby odgrywać w nowym Iranie? Książę widzi dla siebie, przynajmniej na początku, ściśle określone zadanie: inspiratora zmian, które mają doprowadzić do ukształtowania się demokratycznego państwa irańskiego. Nie ma znaczenia, czy będzie ono monarchią czy republiką. Jeśli monarchią – to oczywiście konstytucyjną. Przed księciem mogłaby się wówczas otworzyć droga na tron. A jeśli republiką? Czy w takim wypadku chciałby być głową państwa, już nie jako król, lecz prezydent? Książę Reza niczego nie wyklucza.

Ukonstytuowanie nowego Iranu jest jednak o tyle trudne, że choć w potocznym odbiorze kraj ten kojarzy się z Persami, to składa się z wielu ludów. Azerowie (Azerem jest obecny prezydent Masud Pezeszkian), Beludżowie, Arabowie, nie mówiąc o Kurdach, którzy żywią własne aspiracje, niekoniecznie zgodne z tym, czego pragną inni... Dlatego książę Reza, zdaniem znawców tematu, uderza we właściwy ton, gdy podkreśla znaczenie wspólnoty – to, co Irańczyków łączy. Na razie w teorii – a kiedyś, być może, sprawdzi swe słowa w praktyce.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 75b7358ee2



List, który podzielił



Piotr Semka

Polscy biskupi zamiast cyzelować każde słowo listu poruszającego tak skomplikowany i niełatwy temat jak stosunek Kościoła do judaizmu i do Żydów, zaakceptowali życzeniowy i ocierający się o spore wątpliwości teologiczne dokument

Trudno wobec tego precedensu przejść obojętnie. Po raz pierwszy od wielu, wielu lat oficjalny list Episkopatu do wiernych nie został przeczytany w sporej części polskich kościołów. Do tego „cichego plebiscytu" mogło dojść wskutek znaczącej okoliczności. List KEP z okazji 40. rocznicy wizyty Jana Pawła II w synagodze rzymskiej opatrzony był klauzulą „do wykorzystania". Oznaczało to, że poszczególni proboszczowie mogą zarządzić odczytanie dokumentu lub z tego zrezygnować. Jak mogło dojść do sytuacji, która doprowadziła do czegoś w rodzaju cichego protestu wobec dokumentu, który budził spore kontrowersje? Jak dotąd tylko jeden list Episkopatu do biskupów niemieckich z 1965 r. wzbudził podobne poruszenie.

Teraz jednak kontrowersja nałożyła się na znaczne osłabienie znaczenia głosu Kościoła katolickiego w polskiej debacie publicznej i dodatkowo na szybko postępującą laicyzację w naszym kraju. Wydawałoby się, że w takiej sytuacji biskupi powinni działać z wyjątkową ostrożnością i roztropnością duszpasterską.

Kwestia akcentów, które wzbudziły cichy sprzeciw, była już szeroko omawiana na forach, choć, co charakterystyczne, część mediów katolickich bardzo oględnie wspomniała o różnicach zdań na temat listu. Najwięcej emocji wywołało zdanie zaczerpnięte z dokumentu Komisji Stolicy Apostolskiej do spraw Relacji Religijnych z Judaizmem sprzed ponad dekady. „Nie ma żadnych wątpliwości, że Żydzi są uczestnikami Bożego zbawienia, ale jak to może być możliwe bez wyraźnego wyznawania Chrystusa – jest i pozostanie niezgłębioną tajemnicą Bożą". Bardzo wielu teologów i księży wskazało, że zdanie to stoi w sprzeczności nie tylko z tradycyjnym nauczaniem Kościoła, lecz także z deklaracją „Dominus Iesus" i konstytucją „Lumen gentium". Bardzo trafnie problem z tym kontrowersyjnym zdaniem opisał Paweł Milcarek, były redaktor naczelny kwartalnika „Christianitas".

eprasa.pl 75b7358ee2



List KEP z okazji 40. rocznicy wizyty Jana Pawła II w synagodze rzymskiej opatrzony był klauzulą „do wykorzystania". Oznaczało to, że poszczególni proboszczowie mogą zarządzić odczytanie dokumentu lub z tego zrezygnować. Powszechnie się sądzi, że autorem listu jest kard. Grzegorz Ryś

FOT. BP KEP

„List nieszczęśliwy, biorący w nawias zarówno najprostszy imperatyw ewangeliczny głoszenia Chrystusa wszystkim, jak i pełniejszą naukę katolicką (także z soborowej konstytucji »Lumen gentium« i deklaracji »Nostra aetate«). List tworzący swoją konstrukcję na jednostronnych wyrażeniach wyjętych z przemówienia papieskiego w synagodze. Najbardziej niepotrzebny i gorszący jest w nim wrzucony na końcu tego listu fragmencik z dość drugorzędnego opracowania jednej z watykańskich komisji – w swoim najprostszym sensie sprzeczny z deklaracją »Dominus Iesus« i z »Lumen gentium«. Wstyd, że biskupi zechcieli sygnować dokument tak w sumie mylący i, biorąc pod uwagę spodziewany odbiór, oszukańczy – zapewne dlatego, że nikt z nich nie był rzeczą na tyle zainteresowany, żeby zobaczyć, że nie jest to po prostu słuszne ostrzeżenie przed antysemityzmem, lecz zachęta do zlekceważenia Ewangelii. Mści się jedna z podstawowych wad naszego czasu: brak zainteresowania prawdą, a zainteresowanie tylko tym, »jak nas zobaczą«, oraz reaktywność czysto polityczna".

Bardzo ostre słowa, ale wyjątkowo przykro mi to napisać – trafne.

Jak mogło dojść do takiego kiksu?

WYNIK KONFLIKTÓW W EPISKOPACIE

Już jakiś czas temu pisząc o sytuacji w polskim Kościele, wskazywałem, że narasta konflikt, który nie może przynieść niczego dobrego. Z jednej strony wyraźnie zarysowała się grupa metropolitów i biskupów, którzy bardzo wyraźnie reprezentują linię Kościoła otwartego. Dwaj najbardziej znani jej przedstawiciele to kard. Grzegorz Ryś i prymas Wojciech Polak. Od dłuższego czasu byli oni na linii kolizyjnej z większością Episkopatu, która jednocześnie ma problemy z otwartym polemizowaniem z tendencjami „progresistów". Całej sprawy nie ułatwia fakt, że przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski, metropolita gdański abp Tadeusz Wojda, delikatnie mówiąc, nie jest zbyt wyrazisty. Kardynał Grzegorz Ryś bardzo często wyjaskrawia pewne tendencje, niespecjalnie oglądając się na resztę Episkopatu. Tak było w zeszłym roku, gdy w liście skierowanym do parafii archidiecezji łódzkiej postawił bardzo dyskusyjną tezę, że imigranci mają prawo wyboru kraju zamieszkania. Na podobnej zasadzie obecny metropolita krakowski prezentował bardzo dyskusyjne tezy wiążące zagładę Żydów w czasie drugiej wojny światowej z tradycją nauczania Kościoła katolickiego, z której – jak twierdzi – można było wysnuć ideologię antysemicką, która potem doprowadziła do tragedii w czasie ostatniej wojny. Episkopat teoretycznie powinien wiedzieć, że jego stosunek do judaizmu będzie dyskutowany i oceniany bardzo dokładnie. Już tradycyjne dni judaizmu w Kościele wywołały bardzo duże dyskusje na temat kształtu tej inicjatywy, w których zabierali głos tak poważni badacze jak np. ks. prof. Waldemar Chrostowski.

Powszechnie sądzi się, że treść listu KEP z 22 marca 2026 r. wyszła jeśli nie spod pióra samego kard. Rysia, to z jego otoczenia. Widać w tym liście tradycję dialogu z judaizmem w stylistyce prezentowanej przez środowiska „Tygodnika Powszechnego", „Znaku" czy „Więzi". Zauważyć można echa nauk intelektualnego mentora kard. Rysia w osobie ks. prof. Jana Kracika. To styl, który bardzo często prezentuje np. ks. Adam Boniecki, puentujący ważne pytania teologiczne dowcipami o teologu, który trapiony jest wątpliwościami, czy judaizm i wiara w Jezusa to równoległe i równoważne drogi do zbawienia, i który po śmierci trafiwszy przed oblicze Przedwiecznego, zdobywa się na odwagę zapytania o to i otrzymuje okraszoną tajemniczym uśmiechem odpowiedź: No comments. Takie żarty są bardzo efektowne, ale nie zastąpią solidnej dysputy teologicznej.

Jak można się domyślić, list napisany przez kard. Rysia lub w jego kręgu trafił na stół bliżej nieokreślonego spotkania Episkopatu. Sprawy nie ułatwiała ustalona już od paru dekad zasada, że w wypadku listów KEP ich kształt nie jest ustalany w jakimś zespole biskupów reprezentujących różne wrażliwości, tylko panuje reguła: zajmująca się danym tematem komisja Episkopatu proponuje treść listu, a całość gremium zgromadzenia biskupów taki dokument akceptuje lub odrzuca. W sieci pojawiła się informacja, że przewodniczący KEP abp Tadeusz Wojda miał skonsultować tekst listu z wybitnym biblistą i teologiem ks. prof. Waldemarem Rakocym, który miał odradzić akceptację dokumentu. Dlaczego zatem list przyjęto? Znów można postawić jedynie hipotezę. Większość biskupów liczy się jednak z wyrazistą postacią kard. Rysia, który na dodatek jest członkiem watykańskiej Dykasterii do spraw Biskupów i ma pewne wpływy w Watykanie. Jednocześnie większość biskupów czuła, że z listem jest „coś nie tak". Jak się zdaje, doszło więc do koślawego kompromisu. Biskupi ulegli kard. Rysiowi, ale wywalczyli jedynie to, że dokument otrzymał klauzulę „do wykorzystania", która pozwalała proboszczom nie czytać listu bez żadnej konsekwencji. Zderzyły się więc z jednej strony bardzo daleko idący i wyrazisty styl entuzjazmu dla dialogu z judaizmem, prowadzący wręcz do sformułowań wątpliwych z punktu widzenia tradycji Kościoła, a z drugiej strony brak zdolności większości biskupów bądź do zatrzymania listu do czasu jego bardziej roztropnego sformułowania, bądź wprost do jego odrzucenia. To, co biskupom wydało się sprytnym kompromisem, w ocenie wielu

eprasa.pl 75b7358ee2



wiernych znacznie obniżyło autorytet Konferencji Episkopatu Polski. Co więcej, doszło do pewnego paradoksu. Po raz pierwszy od dawna Episkopat zderzył się z rozejściem opinii sporej części wiernych i księży z opiniami części Episkopatu. O ile jednak np. w Niemczech czy Austrii ten swoisty bunt wiernych idzie w kierunku poluzowania zasad doktryny, o tyle w Polsce ten sprzeciw wynikł z wierności wobec tradycyjnego nauczania Kościoła.

NEMA PROBLEMA?

Przepraszam za ten dość frywolny śródtytuł. Chcę jednak w tej części tekstu przejść do drugiego pytania. Czy Kościół, podejmując kwestie stosunku do Żydów, wybrał zły moment w aktualnej polityce światowej? I czy problem antysemityzmu przestał istnieć? Moim zdaniem wydaje się, że jest dokładnie odwrotnie. Zrozumiałe oburzenie dużej części opinii światowej brutalnością izraelskiej operacji w Strefie Gazy siłą rzeczy wzbudził u milionów ludzi na całym świecie krytycyzm wobec Państwa Izrael i konkretnie działań premiera Beniamina Netanjahu. Tworzy to jednak ważne pytanie. W jakim stopniu krytycyzm wobec tego, co robi Państwo Izrael, przekładać może się na niechęć wobec wszystkich Żydów? Przecież to bardzo zróżnicowana wspólnota. Wierzący i niewierzący. Żyjący w Izraelu i poza Izraelem. Akceptujący to, co się dzieje w Gazie, lub niekiedy bardzo ostro potępiający brutalność armii izraelskiej. I z tego punktu widzenia nauka moralna Kościoła jest aktualna i potrzebna właśnie teraz.

Kolejną okolicznością, która usprawiedliwia zajęcie się tym tematem, jest pojawianie się nowej fali antysemityzmu, którą zauważyć można wraz ze zwiększeniem się popularności Konfederacji Korony Polskiej Grzegorza Brauna. Lider Korony sięga po język, który ma prawo być uznawany za antysemicki. Braun ułatwia sobie sytuację, deklarując, że jest oskarżany o antysemityzm, bo po prostu odważnie wskazuje czy to na brutalną i często bezwzględną politykę Państwa Izrael, czy to np. na działania takich grup w obrębie judaizmu jak Chabad Lubawicz. Oczywiście Braun wykorzystuje to, że pałka oskarżenia o antysemityzm była w ciągu ostatnich paru dekad bardzo często nadużywana lub stosowana w sposób instrumentalny dla często wątpliwych interesów lub obrony jeszcze bardziej wątpliwych postaci. Wszystko to nie zmienia faktu, że Braun bardzo często używa retoryki, która jest obiektywnie antysemicka. To wtedy, gdy nazywa sąd, przed którym staje, sądem żydowskim lub gdy głosi groźbę zamienienia Polski w bliżej nieokreślony „ukropolin".

W jeszcze szerszym stopniu można to powiedzieć o zwolennikach Brauna. To oni produkują filmiki, w których pojawiają się karykaturalne postacie żydowskie z diabelskimi rogami i gwiazdą Dawida na czole lub – jak w wypadku „Braci Kamratów" – lżą oni Biblię w najplugawszy sposób właśnie z powodu jej żydowskiego charakteru. Skoro Braun pokazuje się w towarzystwie takich ludzi, to najwyraźniej taka retoryka mu nie przeszkadza. A skoro mówimy o polityku, którego partia zdobywa w sondażach blisko 10 proc. poparcia, to problem najwyraźniej nie jest wydumany.

Po raz pierwszy od dawna Episkopat zderzył się z rozejściem opinii sporej części wiernych i księży z opiniami części Episkopatu

I wreszcie kolejna kwestia. Czy pojawienie się listu Episkopatu w sprawie judaizmu właśnie w takiej treści, w jakiej się ukazał, jest „wprowadzaniem tylnymi drzwiami chrześcijańskiego syjonizmu do polskiego Kościoła katolickiego"? Czy „Kwestia chrześcijańskiego syjonizmu" jest kluczem do tego listu? Trudno zgodzić się z taką opinią.

ECHO SPRZED LAT

List powstał jako wynik tradycji sposobu myślenia o dialogu z judaizmem, który wyłonił się w środowisku polskiego Kościoła otwartego, czyli m.in. w środowisku krakowskim, ze wspomnianymi już redakcjami „Tygodnika Powszechnego" i „Znaku", i warszawskim środowisku „Więzi". Słynna wizyta Jana Pawła II w rzymskiej synagodze była efektem bliskich więzi papieża Polaka z tymi środowiskami. Ale oczywiście wynikała ze znacznie większej liczby imperatywów moralnych. Był to gest człowieka, który na własne oczy oglądał Holokaust w okupacyjnym Krakowie, i był to efekt myślenia duszpasterza, który głęboko ubolewał nad niezrozumieniem polskiej społeczności katolickiej i społeczności religijnych Żydów. To, że Bóg dał mu misję przewodzenia Kościołowi, uznał za okazję do czynnego zaangażowania w próby pojednania. Tak jak wiele inicjatyw wynikłych z najwyższych pobudek moralnych inicjatywa ta niekiedy była przez niektórych wykorzystywana instrumentalnie lub też kapitał dobrej woli wykazywany przez pontifexa oparty był na dość naiwnej wierze o dającym się przewidzieć horyzoncie przełamywania różnic.

Można dziś dyskutować, co w dziedzictwie wizyty papieskiej było chciejstwem lub złudną wiarą w symetryczność dialogu, ale nie można tego dziedzictwa i związanego z nim kapitału dobrej woli przekreślać w łatwy i bezceremonialny sposób. Jeżeli po prawej stronie słusznie krytykuje się fasadowość lub pozorność wielu nurtów dialogu chrześcijańsko-judaistycznego, to trzeba też próbować definiować, jak taki dialog powinien przebiegać. W lepszy i bardziej realistyczny sposób. Bo samo to, że religia katolicka musi mieć jakiś pogląd na stosunek do Żydów, jest rzeczą jak najbardziej normalną i pożądaną.

Problem w tym, że biskupi zamiast cyzelować każde słowo takiego listu poruszającego ten skomplikowany i niełatwy temat, zaakceptowali życzeniowy i ocierający się o spore wątpliwości teologiczne dokument. Natomiast kwestia syjonizmu chrześcijańskiego, choć w coraz większym stopniu dotycząca Polski z racji aktywności tego nurtu w amerykańskiej polityce, jednak nie odnosi się do sporu o list biskupów. W tym liście znajdujemy echo pewnych tendencji teologicznych doszukujących się związku między „1500 latami nauczania Kościoła" a hitlerowską ideologią, która doprowadziła do zagłady Żydów w czasie drugiej wojny światowej. Takie uogólnienia budzą i będą budziły zastrzeżenia. Zwolennicy Kościoła otwartego w najmniejszym stopniu nie zauważają problemu. Co więcej – głoszą, że negatywne reakcje na list wykazują jedynie, jak bardzo ten dokument był i jest potrzebny. Jeśli coś w całej tej sprawie mnie niepokoi, to właśnie triumfalizm publicystycznych kibiców tych, którzy ten niedobry i dzielący list napisali.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 75b7358ee2





Z Józefem Orłem, filozofem i ekonomistą, założycielem Klubu Ronina
rozmawia Karol Gac

Kaczyński Czarnkiem testuje Morawieckiego

KAROL GAC: PiS ogłosił, że jego kandydatem na premiera jest prof. Przemysław Czarnek. Jak pan ocenia tę kandydaturę? Czy to faktycznie będzie remedium na bolączki PiS? Czy tą decyzją Jarosław Kaczyński ugasił pożar w partii?

JÓZEF ORZEŁ: Nie ugasił i chyba nie ma takiej kandydatury, która by go ugasiła. Mamy dwa poziomy problemów, więc i odpowiedzi. Pierwszy, fundamentalny, jest taki, że PiS przestał być partią, która ma odpowiedzi na rzeczywiste problemy.

To znaczy?

Po pierwsze, imperializm rosyjski i załamanie się struktury bezpieczeństwa NATO. Aby się obronić przed imperialną Rosją, musimy stworzyć sojusz zagrożonych przez nią sąsiadów – od Grenlandii po Turcję i Grecję. Nazywam to Międzymorzem 2.0, w odróżnieniu od Międzymorza Piłsudskiego, a Andrew Michta – Korytarzem Północno-Wschodnim. Nie widzę, żeby PiS to dostrzegał i wpisał w swój program.

Ja pytam o problemy PiS, a pan mi opowiada o NATO.

Kwestia bezpieczeństwa jest najważniejsza i dopiero później możemy zacząć rozmawiać o innych rzeczach. Drugą kwestią jest spójność samego PiS. Jeśli politycy PiS czują, że partia nie odpowiada na główne wyzwania – np. bezpieczeństwa czy z kim i jak przejąć władzę z rąk szkodników – to mają problem z jednością działań i narracji i każdy mówi, co myśli.

Wydaje się, że PiS jako partia prawicowa i przeciwna obecnej koalicji powinna pod patronem prezydenta rozmawiać z Konfederacjami na temat – na początku – wspólnej listy senackiej, bo jeśli w tej sprawie się nie dogadają, to się nie dogadają w ogóle.

Jarosław Kaczyński mówi wprost – „nie dla koalicji z Braunem".

Pytanie, czy to słowa Kaczyńskiego czy ambasadora USA w Polsce. Problem w tym, że jeśli PiS myśli, że w ten sposób odzyska wyborców, którzy przepłynęli do Brauna, to się myli.

Nominacja dla Czarnka była obliczona chyba właśnie na to, że odzyska przynajmniej część utraconego elektoratu.

Kandydatura prof. Czarnka jest najlepsza, ale ten efekt jest nieosiągalny. Ci, którzy już powiedzieli sobie, że są elektoratem Brauna, zostaną tam, gdzie są, albo zostaną w domu. Mnie się wydaje, że zadanie prof. Czarnka powinno być inne – dogadanie się PiS ze wszystkimi Konfederacjami w celu zmiany władzy.

Pana zdaniem Jarosław Kaczyński wytrwa w tym postanowieniu?

Myślę, że zmieni zdanie, bo w sprawach taktycznych często to robi. Natomiast tu jest jeszcze jeden, bardzo ważny gracz, bez którego prawica nie odzyska władzy.

Prezydent Karol Nawrocki. Sławomir Mentzen mówi wprost, że nie będzie rozmawiał z Kaczyńskim, tylko może rozmawiać pod patronatem prezydenta.

Można się tego było spodziewać. Czekam na to, by prezydent z poparciem Kaczyńskiego i Czarnka sam się zgłosił do tej roli, bo przecież spotyka się i z prezesem PiS, i z Bosakiem, i Mentzenem.

O rozmowach z Braunem nic jednak nie wiemy.

To prawda, ale czy coś wiemy o spotkaniach z prezesem Kaczyńskim, poza tym, że się odbywają? A i o tym dowiadujemy się późno.

eprasa.pl 75b7358ee2


FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

PiS jest bardziej skonsolidowany po tej konwencji w Krakowie niż przed nią?

Nie. Było duże rozczarowanie części PiS tą konwencją. Na sali doskonale było widać spory, ale to jest normalne w tak dużej partii. Natomiast nie widzę oczekiwania na program z nadzieją, że on wyprowadzi PiS z kryzysu.

Od 2023 r. powtarza pan, że PiS się nie rozliczył ze swoich rządów i nie przeprosił za błędy.

Kierownictwo PiS nie ma zamiaru tego robić, a ta konwencja to był najlepszy moment, żeby tego dokonać. Można byłoby to przedstawić nie jako błędy personalne i taktyczne, ale jako powód do zmiany programu, do skrętu przez wielki statek PiS o 5 czy 10 stopni w prawo.

I nominacja prof. Czarnka byłaby tego najlepszym potwierdzeniem. I rozwiązaniem dwóch wielkich problemów – równoczesnej utraty części elektoratu po prawej stronie i w centrum. Można by ustanowić taki domyślny duumwirat: po prawej stronie – Czarnek, a w centrum – krok za oficjalnym kandydatem na premiera – były premier Mateusz Morawiecki ze swoim stonowanym programem. Jeśli obaj panowie będą lojalni wobec siebie, to stworzy się przestrzeń do programowego rozliczenia rządów PiS, które nie uderzy w kierownictwo partii.

Po konwencji Morawiecki był pytany przez Bogdana Rymanowskiego, czy chciałby być wicepremierem w rządzie Przemysława Czarnka, i odpowiedział, że „niezbyt".

Sądzę, że Mateusz Morawiecki dalej jest faworytem Jarosława Kaczyńskiego, ale ten wie, że większość partii i aparatu jest przeciwko byłemu premierowi, więc trzeba było na razie wyznaczyć kogoś innego. Proszę zwrócić uwagę, że Jadwiga Emilewicz, była wicepremier z obozu Morawieckiego, powiedziała, że jest sceptyczna wobec programu prezydenta SAFE, który poparł cały „niemorawiecki" PiS. A ostatnio nawet PSL jest za dyskusją na jego temat w Sejmie.

Otoczenie Mateusza Morawieckiego nieoficjalnie przyznaje, że obecny kurs PiS jest błędem i że powinniśmy wejść do programu SAFE.

To jest kluczowy punkt. SAFE jest najmocniejszą pułapką, jaką Tusk zastawił na prawicę i prezydenta. Jeśli w tej sprawie w PiS jest różnica stanowisk, to oznacza, że PiS może się rozpaść. Czyli SAFE Tuska może się okazać pułapką i na Morawieckiego – czy zachętą, jeżeli uzna, iż ma już dosyć bycia w PiS. Proszę pamiętać, że Mateusz Morawiecki powiedział kiedyś, że nie wyklucza rządu z Tuskiem w sytuacji zagrożenia wojną, a SAFE ma być sposobem na jej uniknięcie.

O co zatem Mateusz Morawiecki gra w tym momencie?

Zawsze o to samo. O przywództwo w PiS i w rządzie. I o Polskę Morawieckiego, która stawia na rozwój, negocjuje z UE, jest w niej i uzyskuje trochę lepsze warunki. A prezydencki SAFE to próba wyrwania się z politycznej, ekonomicznej i finansowej kontroli UE, Brukseli i Berlina.

Tylko czy w tych warunkach, w których jesteśmy, z takimi nastrojami Polska Morawieckiego jest w ogóle możliwa?

Polska w sytuacji narastającej kontroli przez UE w ogóle nie ma gwarancji bezpieczeństwa i rozwoju. UE nas przed Rosją nie obroni i chce nas pozbawić suwerenności niezbędnej do samodzielnej obrony czy w sojuszu np. Międzymorza 2.0.

Morawiecki przed wyborami zdecyduje na krok bardziej radykalny?

Myślę, że inaczej niż jego ludzie Mateusz Morawiecki liczy ciągle na więź

eprasa.pl 75b7358ee2



z Jarosławem Kaczyńskim i ma nadzieję, że zaprowadzi go to na wymarzone miejsce szefa partii, rządu i państwa. Będzie się więc tego trzymał do końca, bo lepsze jest 10 proc. szans na 100 proc. władzy, niż 90 proc. szans na 5–6 proc. dla własnej partii.

Ale rozmawialiśmy też o tym, że nawet optymistyczny scenariusz dla Mateusza Morawieckiego wcale nie oznacza, że PiS zaakceptowałby go jako szefa partii.

Powiem panu coś, o czym jeszcze nigdy nie mówiłem. Za rządów premiera Morawieckiego rozmawiałem z Jarosławem Kaczyńskim i zapytałem go: „Jarku, czemu ty codziennie wrzucasz Mateusza na pole minowe?". Popatrzył na mnie jak na idiotę i odpowiedział: „Nie rozumiem, o co ci chodzi. Wyobraź sobie, na jakie pole minowe wejdzie, kiedy mnie zabraknie i będzie musiał samodzielnie walczyć o władzę w partii".

Myślę, że Jarosław Kaczyński nominacją Czarnka przy okazji testuje lojalność, samodzielność i charakter Morawieckiego. I sprawdza przygotowanie do tej funkcji Przemysława Czarnka. Przeszłość pokazuje, że Jarosław Kaczyński czasem mylił się, jeśli chodzi o kandydatów drugiego czy trzeciego poziomu władzy, ale jego pierwszoplanowe decyzje były właściwe (poza premierem Marcinkiewiczem).

Spójrzmy w stronę rządu. Donald Tusk ma więcej powodów do optymizmu czy pesymizmu?

Tusk przełamał pewne trudności swojej sytuacji decyzją o SAFE, bo bardzo głęboko załatwił prawicę, o czym mówiłem. Kłamstwo może mieć krótkie nóżki, ale i krótką formę. Jedno zdanie wystarczy: Polacy, macie tu najlepszą i najtańszą pożyczkę dla wojska, jaką sobie można wyobrazić.

Kłamstwo powtórzone tysiąc razy staje się prawdą?

A z drugiej strony przegląd największych wad, ryzyk i niebezpieczeństw SAFE Tuska zabiera mi 20–30 minut. Naród nie ma czasu słuchać tego, jak ten SAFE jest zły. Tusk wie, że jego proste kłamstwo jest skuteczniejsze. W warstwie narracji, marketingu, psychologii i manipulacji jest lepszy, nie ma zahamowań ani wstydu.

Tylko czy to nie jest tak, że można opowiadać różne rzeczy, ale w pewnym momencie ludzie zderzają się z rzeczywistością?

Skonstruował pan niezwykle interesującą pułapkę na siebie i na PiS – jeśli sytuacja będzie już tak katastrofalna, że ludzie przejrzą na oczy, to PiS przejmie władzę. Tylko trzeba to teraz odwrócić – jeśli PiS przejmie władzę w katastrofalnych warunkach, to czy ją utrzyma? Da radę ją naprawić?

Pamięta pan, jak się kończyła druga kadencja rządu PO-PSL? Też było poczucie ogólnej beznadziei i marazmu.

Tylko to był marazm, a nie katastrofa. Zaryzykuję tezę, że Tusk nie jest kompletnym nieudacznikiem, a cynicznym graczem, który nie ma zamiaru realizować polskich interesów. Pogarsza sytuację, zadłuża kraj, ponieważ jego celem jest zabetonowanie Polski w UE, żeby już nie miała siły myśleć o wychodzeniu z niej ani o buntowaniu się, ani o radykalnej zmianie UE. Tak zadłuża Polskę, by w okolicach wyborów KE mogła grozić wprowadzeniem kontroli naszego budżetu i zadłużenia, jak w kryzysie greckim. Wtedy nawet jeśli PiS przejmie władzę, to nie będzie miał siły wyjść z tej pułapki.

Celem Tuska jest zabetonowanie Polski w UE, żeby już nie miała siły myśleć ani o wychodzeniu z niej, ani o buntowaniu się, ani o radykalnej zmianie Unii

Porozmawiajmy jeszcze o sprawach międzynarodowych. Po co Stanom Zjednoczonym wojna z Iranem? Na ile to sprawka Izraela, który – jak już coraz częściej się mówi – oszukał i zmanipulował USA?

To prawda, że Izrael wciągnął USA do wojny i Trump na to poszedł. Jeszcze bym rozumiał samą likwidację przywództwa Iranu, ale tego, że nie zatrzymali się potem i nie poczekali na reakcję Iranu, już nie rozumiem. Ale taka prosta antyżydowska czy antyizraelska perspektywa nie uwzględnia tego, że są dwa lobby proizraelskie w Ameryce. Jedno – żydowskie czy żydowsko-izraelskie i jest ono bardzo silne. Drugie to 60 mln ewangelikanów zwanych syjonistami chrześcijańskimi, z którymi Trump się musi liczyć, bo to jego elektorat. To 60 mln ludzi, którzy czytają Stary Testament słowo w słowo i wierzą, że Mesjasz przyjdzie (i chcą, żeby już przyszedł), gdy Izrael zwycięży. A to herezja, bo chrześcijanin nie powinien chcieć końca świata.

Czy Donald Trump i Stany Zjednoczone ugrzęzną w Iranie?

Wydaje mi się, że wyjście Ameryki z tego konfliktu nie jest wcale trudne. Po prostu Trump zakręci tym swoim towarzystwem, Internetem i telewizją i powie: „Wszystko wygraliśmy, wychodzimy" i zostawi Izrael. Iran będzie bardzo osłabiony bez floty, lotnictwa, z połową swojego kierownictwa. Tyle że reżim, ekspansjonizm irański i ideologia szyicka się utrzymają.

A co w takim razie z wojną na Ukrainie? Chwilowo zniknęła z czołówek mediów.

Rosja i Ukraina uważają, że dalszy ciąg wojny jest dla nich raczej korzystny. Nic się nie zmieniło, jeśli chodzi o amerykańską geopolitykę, i warto czytać obie strategie narodowe bezpieczeństwa i obrony. Tam wprost napisano, że Trump nie przestanie wciągać Putina w swoje gry, ale one mają granicę – by Rosja nie dogadała się strategicznie z Niemcami. I dlatego USA nie może wyjść z Europy. Jednak faktem jest, że to pierwsza ekipa w USA, która tak bezczelnie robi pieniądze na władzy.

Pesymistyczna ta nasza rozmowa. Może na koniec jakieś optymistyczne życzenia?

(Cisza). Obyśmy o polityce rozmawiali ze sobą, ze znajomymi, w rodzinach, ponieważ to wielkie kłamstwo rządu ciągle ma większość w społeczeństwie. Kłamstwo ma krótkie nóżki. Czy Tusk jest taki sprawny, że temu kłamstwu nóżki wydłużył? Oby się one skurczyły w kampanii wyborczej, bo tylko prawda nas wyzwoli.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 75b7358ee2



Rafał A. Ziemkiewicz

Nie ma żadnych „neosędziów" – orzekł Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Rozpędzona kontrrewolucja obozu rządowego straciła grunt pod nogami



FOT. JACEK SZYDŁOWSKI/FORUM

TSUE kontra Donald Tusk

Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej dał wiele dowodów życzliwości wobec polskich „proeuropejskich", lewicowo-liberalnych elit. Gdy np. na długich osiem lat zostały one odsunięte od władzy, TSUE, prawem kaduka, nie przyjął do swego składu sędziego delegowanego przez „niesłuszną" polską władzę, nadal uznając za swego członka prof. Marka Safjana, choć jego kadencja dawno już upłynęła. Uzurpując sobie kompetencje, których traktaty mu nie dają, przysyłał też w sukurs polskiej opozycji różne orzeczenia do propagandowego wykorzystania przeciwko „prawicowemu" rządowi. Nikt więc nie może członkom TSUE zarzucić braku poczucia kastowej solidarności i odpowiedzialności za utrzymanie w Unii Europejskiej władzy przez „proeuropejskie" elity oraz utrwalenia kursu na „pogłębienie integracji".

Ale każda uprzejmość ma swoje granice. Oczekiwanie ze strony liderów sędziowskiego rokoszu, że TSUE „klepnie" ich narrację o „neosędziach", których wszystkie wyroki są „nieistniejące", było jej przekroczeniem. TSUE jasno i wyraźnie dał to zrozumienia już kilka lat temu, w decyzji ogłoszonej ustami swego rzecznika, że sztandarowego postulatu Iustitii – wyrzucenia hurtem z zawodu jednej trzeciej polskich sędziów, wszystkich tych, którzy mianowani zostali po roku 2017, pod pretekstem „nieprawidłowego powołania" – nie zaakceptuje. Zbyt niebezpieczny byłby to precedens. Dał też czas, żeby „grupa trzymająca sądownictwo" wymyśliła coś bardziej finezyjnego. Rozpatrywanie pytania prejudycjalnego sędziego Przymusińskiego, przewodniczącego Iustitii, o status „neosędziów" przeciągnięto w Luksemburgu aż do pięciu lat – a wcześniej TSUE „odbiło" bez rozpatrzenia ze względów formalnych, identyczne co do istoty, tylko mniej zręcznie umocowane prawnie pytanie sędziego Tuleyi, co też było wyraźnym sygnałem dla „sędziów europejskich" z Polski.

SILNE WSPARCIE „Z EUROPY"

Tusk te lata zmarnował. Najpierw Bodnar, potem Żurek, na których postawił, uczynili go zakładnikiem grupy najbardziej radykalnych ultrasów „nadzwyczajnej kasty", przekonanej, że da się cofnąć czas i w 100 proc. restytuować system skonstruowany w Magdalence, gdy, jak zaręczył swym autorytetem Adam Strzembosz, „środowisko sędziowskie samo się oczyściło" i jako takie uznane zostało za godne tego, by zapewnić mu 100-procentową niezależność od kogokolwiek. A więc, że odsunięcie od władzy PiS musi oznaczać powrót do utraconego raju, zarządzanego „sędziowską KRS", wybieraną przez prezesów sądów, których sama wskazywała. Raju, gdzie, aby zostać sędzią, trzeba było zostać dokooptowanym od wewnątrz, ważne funkcje w aparacie sprawiedliwości były teoretycznie wybieralne, ale do wyborów stawał zawsze tylko jeden kandydat, ten ustalony wcześniej w gronie najwybitniejszych prawników, a jeśli mimo wszystko prześlizgnął się przez sita KRS jakiś sędzia nierozumiejący tych zasad, był szybko uczony moresu przez swojego prezesa sądu, który – dzięki prawu uznaniowego przydzielania spraw – mógł takiego na wieki utopić w najgorszej, czarnej robocie, podczas gdy sędzia szanujący reguły gry nie przepracowywał się, awansował i dostawał intratne „delegacje".

Zapewne wiele z tego było do odzyskania, gdyby liderzy rokoszu potrafili pogodzić się z faktami i określić bardziej realistyczne cele. Zjednoczona Prawica przez osiem lat swych rządów nie zdołała „grupie trzymającej prawo" odebrać wszystkich wpływów – po części dlatego, że ta dostała silne wsparcie „z Europy", która dostrzegła w sędziowskim „państwie w państwie" poręczne narzędzie do dekonstruowania polskiej odrębności i równania gruntu pod nasz udział w przyszłym „państwie europejskim". Ale głównie dlatego, że zamiast naprawdę otworzyć środowisko sędziowskie, pró-

eprasa.pl 75b7358ee2



bowała Zjednoczona Prawica na miejsce odsuwanego prawniczego establishmentu stworzyć własny i przejąć kontrolę. Jarosław Kaczyński zauważał wprawdzie, że „nie ma czegoś takiego w przyrodzie jak pisowski sędzia", ale najwyraźniej dał się przekonać do prób przewerbowania części establishmentu – doświadczenie z prokuratorem Januszem Kaczmarkiem, komendantem Konradem Kornatowskim i mecenasem Jaromirem Netzlem najwyraźniej zostało zapomniane.

Niemniej zdołał PiS w znacznym stopniu pomagdalenkowy system rozszczelnić, czego głównym przejawem było wejście do stanu sędziowskiego kolejnych sędziów, rekomendowanych przez nowy KRS, a więc poza jakąkolwiek kontrolą dotychczasowych „baronów" sądownictwa. I choć to, że ktoś przeszedł tę, a nie inną procedurę rekomendacji, wynikało po prostu z rocznika, z przypadku, sam fakt, że „nowi" nie musieli mieć, jak o kilka roczników starsi, towarzysko-mafijnej akceptacji, uczynił ich w oczach liderów Themis i Iustitii „PiS-owcami", których hurtem uznać należy za niesędziów i usunąć.

Zważywszy, że wskutek odchodzenia starszych roczników w stan spoczynku „neosędziowie" po ośmiu latach rządów PiS stanowili już jedną trzecią wszystkich, zajadłość, z jaką Markiewicze, Przymusińscy i Gąciarkowie domagali się ich usunięcia, zakrawa na obłęd. Tym bardziej że od początku wiadomo było, iż nie da się do tego wymyślić żadnej uczciwej podstawy prawnej. Pomijając już, że zarzut „niekonstytucyjności" KRS wzięty był z żółtych pasków TVN, a nie z konstytucji i kodeksów, to nawet gdyby było inaczej – to nie rekomendacja KRS czyni sędziego sędzią, ale decyzja prezydenta, który rekomendacją tą nie jest związany. Prezydent Aleksander Kwaśniewski, wykorzystując swe prerogatywy, odmówił kiedyś przyjęcia ślubowania od jednego z sędziów rekomendowanych przez KRS, ten odwołał się do Trybunału Konstytucyjnego – w efekcie mamy od dawna orzeczenie niezostawiające wątpliwości, że KRS pełni tylko rolę doradczą.

Aby bunt miał się do czego odwoływać, antypisowscy sędziowie Sądu Najwyższego, zwołani przez prezes Małgorzatę Gersdorf w składzie arbitralnie przez nią ustalonym, wydali uchwałę, uznającą sędziów rekomendowanych przez nowy KRS za „niespełniających wymogów" i niebędących sędziami. Oczywiste bezprawie, jakim było uzurpowanie sobie przez grupę „starych" sędziów prawa do zmieniania orzeczeń TK, nie spotkało się wtedy z należytą reakcją władzy, zastraszonej kampanią medialną i pohukiwaniami z zagranicy (na znak protestu przeciwko tej bezczynności złożył godność sędziego SN Jan Majchrowski). I tak powstał w sądownictwie chaos, utrzymujący się do dziś.

Dodać należy, że zwolennicy rugowania „neosędziów" uczepili się, poza wspomnianą uchwałą sędziowskiego wiecu zwołanego przez panią Gersdorf, jednego z orzeczeń TSUE, z którego bynajmniej nie wynikało potwierdzenie ich tezy, iż „neosędziowie" nie są sędziami, a ich wyroki nie są ważne – ale tak to zostało przedstawione w propagandzie coraz bardziej upartyjnionych sędziowskich stowarzyszeń, która stała się oficjalną strategią obozu władzy. Sygnały ostrzegawcze – komunikaty rzecznika TSUE, iż wątpliwości dotyczące KRS nie mogą być podstawą do kwestionowania statusu rekomendowanych przez nią sędziów, miażdżąca opinia Komisji Weneckiej o projektach ustaw, dzielących sędziów na tych właściwych, tych do zdegradowania, ale z szansą na wkupienie się w układ w przyszłości, i tych do wyrzucenia, równie krytyczne opinie na ten temat ciał takich jak Fundacja Helsińska czy fundacja Court Watch zostały zignorowane. Zwłaszcza po tym, jak Tusk uznał Adama Bodnara za zbyt miękkiego i zastąpił go Waldemarem Żurkiem. Żurek, kość z kości sędziowskiej sitwy, a przy tym potrafiący odgrażać się równie gromko jak Stefek Burczymucha ze starego wierszyka, uznany został za rękojmię całkowitego przywrócenia w sądownictwie stanu sprzed roku 2015, i jeszcze ukarania wszystkich tych, którzy przez osiem lat przysporzyli establishmentowi tylu stresów.

Jarosław Kaczyński dał się przekonać do przewerbowania części establishmentu

Jako strategię, która miała wzmocnić poparcie dla Żurka, wybrali upolitycznieni sędziowie demonstracyjne uwalnianie najbardziej zwyrodniałych przestępców, morderców, gwałcicieli i pedofilów, sądzonych przez „neosędziów" (mieliśmy też przypadek nieuznania rozwodu). Nie były to indywidualne decyzje jakichś skołowanych medialnym szumem przypadkowych sędziów – ujawnione przez media e-maile, m.in. sędziego Pawła Juszczyszyna, dowodzą, iż rzecz była omawiana w upolitycznionych stowarzyszeniach jako strategia wywarcia nacisku, przyśpieszającego rozprawę z „neosędziami". Skutkiem tych narad było najwyraźniej przekonanie, że spektakularne unieważnienia skazań wstrząsną społeczeństwem i wywołają jego gniew na PiS, wskazywany jako przyczyna tego, że skazani degeneraci wychodzą na wolność. Można rzec, im więcej wątpliwości narastało wobec przyjętej linii, tym bardziej narastała zajadłość, z którą ludzie, którym Tusk oddał bez reszty tę sprawę, rozpędzali się na ścianę.

ORDYNARNE KŁAMSTWO

I właśnie w momencie, gdy Waldemar Żurek, z bezwarunkowym poparciem Donalda Tuska, przepycha przez Sejm ustawę, na mocy której tysiące sędziów mają zostać usunięte bądź poddane represjom – TSUE odpowiada na pytanie szefa Iustitii sprzed pięciu lat. Odpowiada jednoznacznie: nie, nie ma żadnych „neosędziów", nie wolno kwestionować ich wyroków ani podważać ich statusu, bez względu na ewentualne zastrzeżenia co do konstytucyjności KRS.

Kolejne z fundamentalnych haseł kontrrewolucji Tuska okazuje się ordynarnym kłamstwem i niczym innym niż kłamstwo – podobnie jak „600 tysięcy wiz sprzedanych na afrykańskich jarmarkach", „inwigilacja pegasusem" czy „100 mld zł ukradzione przez funkcjonariuszy PiS". Rozpędzona kontrrewolucja straciła grunt pod nogami.

Czy to ją zatrzyma? Na razie jedyny oficjalny komentarz to głupkowate stwierdzenie ministra Żurka, że „wyrok TSUE potwierdził, że po roku 2017 mamy w polskim sądownictwie systemowy kłopot". Można odnieść wrażenie, że Tusk z Żurkiem i sędziowskimi partiami zamierzają ogłosić, że TSUE to „neo-TSUE", i potęgować chaos dalej, w nadziei, że jakoś uda się sprawę przykryć, strasząc Putinem, Orbánem i polexitem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 75b7358ee2

Suwerennościowy lewar



Łukasz Warzecha

Czy powinniśmy świadomie dążyć do polexitu? Na pewno – piszemy o tym w „Do Rzeczy" od dawna – powinniśmy taki wariant działania opracować i mieć go pod ręką także jako argument w naszych sporach z innymi krajami członkowskimi



W czasach dawno już minionych w różnych wersjach krążył dowcip o towarzyszu Stalinie. Jedna z wersji mówi, że do przywódcy Związku Sowieckiego, spacerującego sobie z Berią, niespodziewanie podbiegł chłopczyk i krzyczy: „Towarzyszu Stalin, dajcie cukierka!". „Won, gówniarzu!" – powiada towarzysz pierwszy sekretarz, zaciągając się fajką. Chłopczyk uciekł. Beria z podziwem myśli o wspaniałomyślności przywódcy: „A mógł zabić!".

KLIMATYCZNI KONFORMIŚCI

Ten żarcik przypomniał mi się, gdy czytałem tekst Konrada Szymańskiego „Polska weszła na drogę do polexitu" („Plus Minus" 14–15 marca 2026 r.). Diagnozując stan polskich resentymentów wobec UE, Szymański opisuje jej działania, tak jakby była ona towarzyszem Stalinem ze wspomnianego dowcipu. Stwierdza m.in., że w Polsce eurosceptycyzm zaczyna paradoksalnie rosnąć akurat w momencie, gdy Unia Europejska łagodzi swoją politykę klimatyczną czy wyciąga wnioski z imigracyjnej klęski. Jest to twierdzenie podwójnie fałszywe.

Po pierwsze – to „łagodzenie" ma wymiar kunktatorski i fragmentaryczny. Morderczy nie tylko dla Polski system ETS2 został jedynie przesunięty o rok, a Komisja Europejska nadal twardo trzyma się jego podstawowych założeń. Cel, którym jest eliminacja nowych samochodów spalinowych od 2035 r. – radykalnie ograniczający obywatelom możliwość wyboru i będący przykładem centralnego planowania rodem jak z komuny – został „złagodzony": poziom redukcji emisji w sektorze zmniejszono ze 100 do – uwaga – 90 proc., dodatkowo wprowadzając mnóstwo ograniczeń, takich jak konieczność „zazielenienia" firmowych flot pojazdów. Wejście w życie rozporządzenia EUDR – absurdalnego biurokratycznego obowiązku raportowania o wylesianiu w powiązaniu z importem niektórych towarów spoza UE – zostało tylko przesunięte w czasie. Dyrektywa budynkowa EPBD, której koszt dla Polski jest szacowany na 2,5 bln zł, trwa w niezmienionej postaci. Przykładów można by dawać mnóstwo. Jeśli jakieś złagodzenia się zdarzają, to mają najczyściej polityczną motywację – chodzi o to, aby uniknąć wpływu wprowadzania mechanizmów takich jak ETS2 na wybory.

Po drugie – w polityce wobec UE, zwłaszcza od momentu jej wejścia na obłędny kurs klimatyczny, istniały dwie postawy. Pierwsza, którą reprezentowali Konrad Szymański, Mateusz Morawiecki, Michał Kurtyka (były minister klimatu) i PiS jako rządząca partia (ówczesną opozycję pomijam jako siłę gotową zaakceptować każde unijne rozwiązanie), polegała na generalnej akceptacji proponowanych systemów z założeniem, że można je będzie trochę złagodzić i coś na nich ewentualnie skorzystać, pokazując to wyborcom jako korzyść. Zwolennicy drugiej postawy wskazywali, że dla przyjmowanych regulacji nie ma żadnego uzasadnienia i nie powinny one podlegać korektom czy „urealnianiu", ale powinny zostać po prostu wyrzucone do kosza. Dzisiaj Szymański obóz Morawieckiego nazywa „klimatycznymi realistami". Ja powiedziałbym raczej: klimatyczni konformiści. Polityka klimatyczna UE nie ma żadnych racjonalnych podstaw z punktu widzenia oficjalnie głoszonych celów, pomyślności obywateli UE czy rozwoju Unii. Jest racjonalna jedynie z punktu widzenia konkretnych grup interesu gospodarczego i politycznego.

IGNOROWANIE FAKTÓW

W sprawie sporu o praworządność Szymański usprawiedliwia Komisję Europejską, winę za sytuację zrzucając na Zbigniewa Ziobrę. To zadziwiająca teza, wziąwszy pod uwagę, że mówimy o byłym ministrze do spraw europejskich, który widział przecież działanie unijnych trybów z bliska. Poczynania byłego ministra sprawiedliwości można oceniać bardzo krytycznie, ale twierdzenie, że decyzje KE w sprawie KPO miały podstawę merytoryczną, a nie były po prostu sposobem na osłabianie niewygodnego politycznie rządu, jest zwyczajnie ignorowaniem faktów. Dość porażające jest, że kilka lat po tych faktach Szymański nadal trzyma się jak pijany płotu tej narracji. Nawiasem mówiąc, były minister do spraw europejskich pomija niewygodny dla jego byłego szefa fakt, że to Mateusz Morawiecki podpisał się w grudniu 2020 r. pod konkluzjami Rady Europejskiej, które pozwoliły wprowadzić mechanizm warunkowości, który dzisiaj ma być zastosowany do „zwykłego" budżetu UE.

Pisząc o korzyściach z członkostwa w UE, stwierdza Szymański, że nie można

eprasa.pl 75b7358ee2



ich sprowadzać po prostu do transferów finansowych. Ma oczywiście rację. Nie pisze już jednak, że z kolei kosztów nie można sprowadzać do płaconej przez nas składki. Dostęp do unijnych rynków jest faktycznie ogromną korzyścią dla Polski (choć mają go również państwa będące jedynie członkami Europejskiego Obszaru Gospodarczego, a nie Unii Europejskiej). Ale kosztem jest również konieczność dostosowania się do coraz bardziej sklerotycznego unijnego ustawodawstwa. Weźmy choćby system niefinansowego raportowania ESG – kolejny absurdalny biurokratyczny wytwór, wymuszający na firmach prowadzenie polityki równościowej, „inkluzywnej" czy ściganie się w „ekologii". W przeciwnym wypadku nie będą otrzymywały kredytów. Aby sprostać wymogom ESG, firma musi do obsługi tego nonsensu zaangażować jakąś liczbę osób. Jeśli są to ludzie specjalnie w tym celu zatrudnieni – bądź specjalnie kontraktowana jest zewnętrzna firma – to przedsiębiorstwo ponosi koszty całkowicie zbędne. Jeśli zatrudnia się do tego pracowników już będących w firmie, to marnują oni czas na obsługę tego nonsensu, zamiast zajmować się tym, czym powinna zajmować się firma w warunkach rynkowych: obmyślaniem, jak zwiększyć zysk. To także są koszty członkostwa. I da się je policzyć. Raport napisany przez Damiana Olkę w 2023 r. dla Warsaw Enterprise Institute szacował coroczny koszt sprostania wymogom ESG na 2,6 mld zł.

Przewodnia teza Szymańskiego brzmi tak: prawica (przez prawicę Szymański rozumie także PiS) jest na prostej drodze do powtórzenia błędu, którym było zorganizowanie przez rząd torysów pod wodzą Davida Camerona referendum brexitowego w 2016 r. Sprawa, zdaniem Szymańskiego, wymknęła się już w Polsce spod kontroli za sprawą dwóch czynników: nieuczciwego przedstawiania i wyolbrzymiania win UE oraz nadmiernie optymistycznego prezentowania tego, czym faktycznie jest członkostwo w Unii, w czym Szymański widzi podobieństwo do dyskusji, która swego czasu rozgrywała się w Wielkiej Brytanii. W obu tych kwestiach trudno się zgodzić, jakkolwiek nie w tym samym stopniu.

W drugim twierdzeniu jest trochę racji, ale Szymański pomija to, jak bardzo i jak radykalnie Unia zmieniła się od momentu finalizacji naszych negocjacji, gdy dyskusja o korzyściach i kosztach była intensywna. Sceptycy wskazaliby zapewne, że nasiona obecnego stanu rzeczy były obecne już w momencie naszego przystąpienia i można je znaleźć nawet w traktacie z Maastricht (z 1992 r.), jednak da się obronić tezę, że degeneracja rozpoczęła się na dobre w chwili, gdy Polska do Unii wstępowała w 2004 r. i ruszały negocjacje dotyczące zmiany traktatu z Nicei na traktat lizboński. Trzeba być doprawdy ślepym, żeby nie dostrzegać, że motywacją dla stworzenia tego ostatniego była chęć ochrony własnego interesu przez większe kraje Unii przede wszystkim poprzez zmianę systemu głosowania na niekorzystną dla mniejszych państw, co powinno było dawać jasny sygnał: Unia nie jest jakimś idealistycznym tworem, a jedynie instytucjonalną ramą dla brutalnej walki narodowych interesów. Pamiętać trzeba, że zgoda na traktat lizboński to decyzja Lecha i Jarosława Kaczyńskich, a więc dzisiaj prezes PiS niejako broni własnego dziedzictwa.

Stąd nieprawdziwe jest kolejne twierdzenie Szymańskiego, że dopiero w ostatnim czasie następuje renacjonalizacja polityki krajów członkowskich, a my błędnie przypisujemy ją sposobowi działania UE. To nieprawda – co najmniej od momentu wdrożenia traktatu z Lizbony mechanizmy Unii sprzyjają nacjonalistycznemu podejściu, z tym że nie w przypadku wszystkich państw, a jedynie tych największych.

Pierwsze twierdzenie Szymańskiego jest jednak już wprost oparte na manipulacji, polegającej na wybiórczym traktowaniu faktów, co wcześniej pokazałem. Dodać można tyle, że polityka obecnie realizowana przez Unię – a konkretnie Komisję Europejską – z jej obłędnym klimatycznym kierunkiem na czele nie jest już nawet emanacją tego, czego chcą najważniejsze kraje. Wszak przymusowa rezygnacja z aut spalinowych uderza w największy na kontynencie niemiecki przemysł motoryzacyjny, a francuski Stellantis – producent marek takich jak Jeep, Citroën czy Peugeot – entuzjastycznie przyjmując kierunek na elektryfikację, wpakował się w gigantyczne problemy. Konsumenci bowiem zwyczajnie nie chcą masowo kupować takich aut, co tylko dodatkowo pokazuje, jak antyrynkową, antywolnościową, centralistyczną i paternalistyczną politykę forsuje Bruksela – czyli KE.

UNIA NIE JEST WIECZNA

Czy wszystko to oznacza, że były minister do spraw europejskich ma rację, ostrzegając przed narastaniem polexitowych nastrojów? Tak – ale całkowicie źle stawia diagnozę co do ich źródła. Przypomina w tym wczesnych euroentuzjastów, którzy ponad półtorej dekady temu pomstowali na sukcesy Declana Ganleya, poprzednika Nigela Farage'a w brexitowym nurcie, nie widząc, że sami się do nich przyczynili. Jeśli ktoś dzisiaj pomstuje na Grzegorza Brauna – którego recepty na rozwiązanie problemów są faktycznie absurdalnie proste, by nie powiedzieć: prostackie – to znaczy, że nie dostrzega, iż sama Unia przekształciła się w potworka, na każdym kroku wpychającego nas w coraz większą kontrolę, odbierającego nam swobodę decydowania, narzucającego nowe, absurdalne obowiązki. Szymański zapomina, że inicjatywa ustawodawcza w UE należy wyłącznie do Komisji Europejskiej – niewybieranego gremium praktycznie pozbawionego demokratycznej legitymacji.

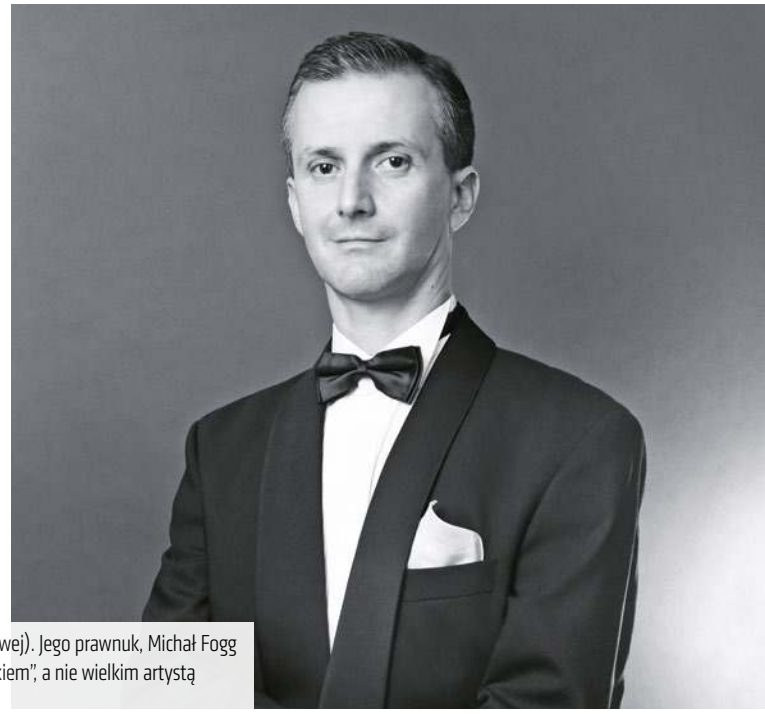
Czy zatem powinniśmy świadomie dążyć do polexitu? Nie ma prostej odpowiedzi. Na pewno – piszemy o tym w „Do Rzeczy" od dawna – powinniśmy taki wariant działania opracować i mieć go pod ręką także jako argument w naszych sporach z innymi krajami członkowskimi. Polska bowiem jest w tej układance potrzebnym elementem. Nasze wyjście z UE byłoby wyzwaniem nie tylko dla nas samych, lecz także dla całej Unii i groziłoby uruchomieniem lawiny. W tym sensie wzrost eurosceptycznych nastrojów w naszym kraju jest dla nas korzystny. Gdyby do władzy doszedł rząd sformowany przez obecną opozycję, ale faktycznie suwerennościowy – a więc niepowielający wzorców Mateusza Morawieckiego – argument nastrojów wrogich UE i polexitu powinien być przez jego członków wykorzystywany jako lewar.

Przy tym wszystkim zaś pamiętajmy, że żaden ponadnarodowy konstrukt nie jest wieczny i wieczne nie musi być członkostwo w nim. Kto uważa inaczej, ten jest szkodliwym doktrynerem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 75b7358ee2





„Jeden artysta w rodzinie wystarczy" – taką zasadę wyznawał Mieczysław Fogg (z lewej). Jego prawnuk, Michał Fogg (z prawej), mówi, że pradziadek nigdy nie śpiewał w domu. Tam był po prostu „Mietkiem", a nie wielkim artystą

FOT. JAN TYMIŃSKI/CAF/PAP, MAGDALENA FRANCZUK



Z Michałem Foggiem, popularyzatorem muzyki i kultury dwudziestolecia międzywojennego, prawnukiem Mieczysława Fogga

rozmawia Radosław Wojtas

Skrzynia złota Mieczysława Fogga

RADOSŁAW WOJTAS: Irena, żona Mieczysława Fogga, pańska prababcia, zbierała wszystkie wycinki o mężu do specjalnego albumu. Ma pan go jeszcze?

MICHAŁ FOGG: To nie album, tylko kilka albumów. Prababcia dokumentowała wszystko od 1927 r. do końca lat 70. Za rok pierwsze pamiątki z najstarszego albumu będą miały 100 lat. Mój pies, kiedy był szczeniakiem, dorwał jeden z albumów i trochę pogryzł, ale na szczęście nie zniszczył. Trzymam je razem z większością pamiątek po pradziadku. W garażu.

W garażu?

Tak. W mieszkaniu nie mam na to miejsca. A żeby było śmieszniej, nie jest to nawet mój garaż. Wynajmuję go od sześciu lat, płacę po kilkaset złotych miesięcznie, żeby tylko zachować spuściznę po pradziadku. Który zresztą w latach 50. własnymi rękoma postawił garaż, ale po otwarciu Trasy Łazienkowskiej stał się bezużyteczny z racji braku dogodnego dojazdu i ostatecznie babcia musiała się go zrzec.

Co dokładnie pan tam trzyma? Przecież to muszą być historyczne skarby.

To są perły, bezcenne rzeczy. Chociażby zasuszona róża od marszałka Piłsudskiego, którą pradziadek dostał jako dowód wdzięczności za występy. Przekazała mu ją małżonka Marszałka, gdyż w 1933 r. stan zdrowia Naczelnika nie pozwalał mu już na osobiste przekazanie pamiątki. Są odznaczenia, klucze do kilku amerykańskich miast, jeden szczerozłoty... Mamy meble z czasów Księstwa Warszawskiego, wspaniałe przedwojenne pianino Sommerfeld z Bydgoszczy, które przeżyło powstanie warszawskie. Stało w Cafe Fogg i jest u nas prawie od 100 lat. Pięknie gra do dziś!

A gdyby w Warszawie było muzeum albo chociaż izba pamięci Mieczysława Fogga, to czy zgodziłby się pan na użyczenie tych pamiątek?

Zabiegam o to od lat. Było jedno takie miejsce, które mi strasznie chodziło po głowie. Na Placu Unii Lubelskiej, zaraz obok Skweru im. Mieczysława Fogga, są dwie stare rogatki. Jedna z nich należała do komunikacji miejskiej i długo stała pusta. Ale ostatecznie postanowiono tam otworzyć muzeum Sue Ryder.

Czyje?

Ano właśnie, reaguje pan tak samo, jak większość osób, którym o tym mówię. Pełen szacunek dla tej brytyjskiej działaczki charytatywnej. Ale komuś widocznie zależało bardziej na uhonorowaniu tej postaci niż na izbie pamięci Mieczysława Fogga w tym akurat miejscu – tak związanym z moim pradziadkiem. Ta izba jednocześnie odgrywałaby

eprasa.pl 75b7358ee2



ważną rolę w kultywowaniu dorobku kulturalnego dwudziestolecia międzywojennego.

Pomnika też nie ma.

Na pomnik zbieram od 10 lat, bo mi powiedzieli w ratuszu, że pomnik może stanąć, ale jak przyjdę z pieniędzmi. Wszyscy urzędnicy z najwyższych stanowisk odsyłają mnie do jakichś konkursów, prowadzą rozmowę jak z kimś, kto ma 15 lat i zajmuje się kulturą od wczoraj. Ewentualnie doradzają mi otwarcie prywatnego muzeum, będąc święcie przekonanymi, że Fogg zakopał gdzieś skrzynię złota, którą ja już dawno odkopałem, tylko jestem skąpy i szkoda mi na to wydawać. Ludziom się wydaje, że z racji nazwiska opływam w luksusy. Pytali mnie nawet o rzekomego złotego Mercedesa pradziadka, którym ponoć jeździł. A pradziadek nie znosił Mercedesów!

Dlatego jeśli czytają ten materiał mecenasi sztuki, to rzucam otwarty apel: szukamy lokalu. Zależy nam na zabezpieczeniu tych bezcennych pamiątek. Nie muszę ich mieć koniecznie w Warszawie, byleby tylko mieć gwarancję, że to miejsce będzie suche i zabezpieczone.

Po prababci odziedziczył pan nie tylko bezcenne albumy, lecz także rolę rodzinnego archiwisty?

W mojej rodzinie kultywowanie tradycji od zawsze było ważne. W naszym szeroko pojętym rodzie Foglów ta pasja przejawiała się w różny sposób – od rozmów przy niedzielnym podwieczorku, po działania takie jak moje. Znam ludzi, którzy nie potrafią wymienić imion swoich dziadków, a u nas już kilkadziesiąt lat temu zaczęliśmy budować drzewo genealogiczne. Kiedy obchodzono 600-lecie stolicy, w domu mówiło się, że nasza rodzina jest tu obecna od połowy tego czasu. Postanowiłem to sprawdzić, działając jeszcze zupełnie analogowo, bez programów, które dziś robią to za ludzi. Wyszło, że jesteśmy w Warszawie od ponad 320 lat. Podobno przybyliśmy z Saksonii. Mieliśmy w rodzinie stolarza, który zresztą zginął, spadając z budowanego przez siebie dachu.

Ta bliższa, udokumentowana historia, od XIX w., to już dzieje rodziny kolejarskiej. Naszym „hetmanem rodu" jest dziadek Mieczysława Fogga, Adolf Fogiel. Pracował jako kolejarz, a przy tym był przedwojennym gospodarzem domu – w dobrym tego słowa znaczeniu, czyli raczej administratorem niż dozorcą. Zresztą sam Mieczysław Fogg w pewnym okresie też pełnił taką funkcję w zamian za upusty w czynszu, żeby było go stać na pierwsze własne mieszkanie po urodzeniu syna. Śladem Adolfa poszedł ojciec Mieczysława, mój prapradziad Antoni. Był kolejarzem na linii Warszawa – Petersburg. Miał 10 rodzeństwa i właściwie wszyscy byli związani z koleją.

Rok 2026 został ustanowiony Rokiem Mieczysława Fogga uchwałą Sejmu RP, co upamiętnia 125. rocznicę urodzin artysty. Także Sejmik Województwa Mazowieckiego wskazał Mieczysława Fogga jako jednego z patronów 2026 r. na Mazowszu. O wszystkich wydarzeniach w roku patronackim Mieczysława Fogga dowiedzą się państwo ze strony Festiwal Piosenki Retro na Facebooku: facebook.com/61576087676682.

Skąd w ogóle wzięły się te kolejarskie tradycje? Z tego, co pan mówi, to był wręcz rodzinny etos.

Mój prapradziadek był rocznikiem 1869, zmarł jeszcze przed wojną. Jego ojciec był de facto jednym z pierwszych przedstawicieli zupełnie nowej, prężnej klasy społecznej, jaką pod koniec XIX w. stali się kolejarze. Ponieważ mówimy o czasach zaboru, linia Warszawa – Petersburg była najważniejszą trasą w kraju, więc praca na kolei stanowiła ogromny zaszczyt. Kolejarzem był ojciec chrzestny mojego pradziadka, kilku innych krewnych, a także wspomniany już Adolf Fogiel. Adolf mieszkał przy samym Dworcu Petersburskim – dzisiejszym Wileńskim – przy ulicy Folwarcznej na Pradze-Północ. Podejrzewam, że to były specjalne budynki kolejarskie, odpowiednik śląskich familoków przy kopalniach. Ludzie osiedlali się wtedy bardzo blisko miejsc pracy.

Mieczysław Fogg też miał zostać kolejarzem?

Życzeniem jego ojca było, by został inżynierem budującym superszybkie tory, po których on sam, jako maszynista, mknąłby Luxtorpedami. I do pewnego momentu to się sprawdzało. Pradziadek przepracował na kolei aż 16 lat, tam zresztą poznał prababcię Irenę Jakubowską. Był zatrudniony jako kasjer, ale nie sprzedawał biletów pasażerskich. W biurze na rogu ulic Koziej i Miodowej wypisywał frachty, czyli dokumenty na transport towarów, głównie do Rosji. Co ciekawe, nawet w momencie, gdy nagrał piosenkę „To ostatnia niedziela" i odniósł wielki sukces, wciąż pracował na kolei.

Nie chciał rzucić posady dla wielkiej sceny?

W naszej rodzinie mamy we krwi wręcz chorobliwą sumienność. Czy człowiek chory, czy zdrowy – do pracy trzeba iść, żeby nikogo nie zawieść. Poza tym pradziadek po prostu chciał być w porządku wobec własnego ojca, który bardzo długo nie wierzył w jego karierę. Kiedy kilkunastoletni Miecio oznajmił w domu, że chce śpiewać, ojciec odparł krótko: „Prędzej mi na dłoni wyrośnie Lasek Buloński!".

Rozumiem, że kariera estradowa dla poważnej rodziny kolejarskiej była nie do pomyślenia?

W latach 20. posiadanie w domu kogoś, kto występuje w kabaretach i teatrzykach rewiowych typu Qui Pro Quo, było szokujące. Oni byli pionierami we wszystkim, co robili na tej scenie. Z tego też wzięła się zmiana nazwiska. Pradziadek chciał zaoszczędzić rodzinie konotacji ze światem rozrywki, nie chciał kalać dobrego imienia rodu Foglów. Jednocześnie wolał uniknąć sytuacji, w której w dokumentach ma jedno nazwisko, a na afiszu drugie – jak robiła to Hanka Ordonówna czy – w latach późniejszych – Czesław Niemen. Ostatecznie zmienił więc nazwisko urzędowo na Fogg. Co ciekawe, mój dziadek na dokumencie z pierwszej komunii wciąż figuruje jako Andrzej Fogiel. Zmiana w papierach nastąpiła dopiero dwa lata później.

Pradziadek miał poczucie, że robi coś, czego rodzina może się wstydzić?

Miał tego pełną świadomość i wszyscy to rozumieli. Pradziadek jako młody człowiek chodził z rodzicami do filharmonii i na operetki, tam chłonął muzykę i śpiew. Ponadto na prowincji słuchano muzyki ludowej. Nie było niczego pośrodku, a nowego ludzie zazwyczaj się boją. Powodów zmiany było kilka, ten rodzinny był na pewno jednym

eprasa.pl 75b7358ee2

z ważniejszych. Ale chodziło też o nadanie nazwisku bardziej zachodniego brzmienia. Nie miało to nic wspólnego z wypieraniem się polskości, ale to były lata 30., czas zachłyśnięcia się Ameryką i Nowym Światem. Wszyscy przybierali wtedy krótkie pseudonimy: Bodo, Harris, Aston. Rzadko kto w tej branży występował pod własnym nazwiskiem.

Kiedy Mieczysław Fogg zrezygnował z pracy na kolei? Gdy dostał błogosławieństwo swojego ojca?

Kiedy mój pradziadek z Chórem Dana dostali – jako pierwsi polscy artyści rozrywkowi – angaż na tournée do Stanów Zjednoczonych w 1936 r., to dopiero wtedy zrezygnował z pracy na kolei. Wiedział, że ponadczteromiesięcznej absencji nie da się już zastąpić żadnym urlopem. Po jego powrocie, to był 1936 albo 1937 r., ojciec poprosił Mietka, żeby zaśpiewał na pogrzebie jednego ze znajomych kolejarzy. Pradziadek oczywiście poszedł. I wyobrazi pan sobie, że dopiero po tym pogrzebie – czyli w momencie, gdy był już artystą znanym na całym świecie i szykował się do drugiego tournée po USA – ojciec wreszcie przyznał mu rację i stwierdził, że to śpiewanie całkiem dobrze mu wychodzi? Trochę musiał na to poczekać.

A jak pan wspomina pradziadka? To on opowiadał panu te wszystkie rodzinne historie i anegdoty o koncertach?

Proszę przypomnieć sobie samego siebie w wieku 13 czy 15 lat. Uważałem się za normalnego chłopaka ze zwykłej rodziny i miałem zupełnie inne zajawki niż mój pradziadek. Wynikało to z tego, że nikt nas nigdy nie uczył i nie wychowywał w świadomości, że mamy w domu wielkiego Mieczysława Fogga. W domu był po prostu „Miecio". Mieczysław Fogg funkcjonował na estradzie, w radiu, telewizji i na plakatach. Proszę nas nie posądzać o rozdwojenie jaźni – to było wyraźne życzenie pradziadka i jego celowy zabieg. Scena to była jego praca, a on pracy do domu nie przynosił. W domu mieliśmy swoje zwykłe, rodzinne sprawy.

Większość tego, co wiem o pradziadku, o przedwojennej Warszawie i okupacji, usłyszałem później – od dziadka i moich babć. Musiało minąć kilka lat od śmierci pradziadka, żebym w wieku 20 lat sam do tego dojrzał i zaczął na poważnie zajmować się tymi sprawami. Reszta to po prostu, nieskromnie powiem, dekady mojego własnego grzebania w archiwach, czytania, pytania i rozmów z historykami czy badaczami.

Pański dziadek, syn Mieczysława, posłuchał swojego ojca? Trzymał się od sceny z daleka czy po prostu nie miał talentu?

Mój dziadek w czasie wojny uczestniczył w tajnych kompletach Gimnazjum Batorego, a potem poszedł do Szkoły Wawelberga i uczył się na inżyniera akustyka. Nie śpiewał, na niczym nie grał, ale miał słuch absolutny. Jego wykształcenie miało związek z uruchomieniem przez pradziadka w 1946 r. wytwórni Fogg Record. Pradziadek śpiewał, a dziadek, jako młody chłopak, to nagrywał.

Kiedy dekret Bieruta pozbawił pradziadka wytwórni Fogg Record i wszystko mu zabrano, te większe sprzęty trafiły do instytucji, która później przeistoczyła się w Polskie Nagrania „Muza". I tam dziadek znalazł pracę. Pojawiały się takie artykuły w tamtym czasie: „Ojciec śpiewa, syn nagrywa". Dziadek był nadwornym realizatorem dźwięku, skończył studia inżynierskie i opracował innowacyjną metodę srebrzenia płyt szelakowych, żeby wydłużyć ich żywotność. Szybko jednak wynaleziono płyty winylowe i szelaki odeszły do lamusa. Z Polskich Nagrań w końcu odszedł, poszło o kwestie stricte polityczne. Nie chodził na zebrania partyjne. Potem pracował w ciekawych miejscach, m.in. w Unitrze czy w zakładach im. Róży Luksemburg, a przez długie lata zajmował się handlem zagranicznym. Znał perfekcyjnie cztery języki. Niestety, zmarł za wcześnie, bym dowiedział się wszystkiego, ale zdążyłem jednak bardzo dużo się od niego dowiedzieć; potrafił opowiedzieć historię o każdej starej kamienicy w Śródmieściu.

Z kolei pański ojciec, wnuk wielkiego Mieczysława, marzył o aktorstwie. Jak to przyjęto w domu?

Ojciec był strasznie zapatrzony w swojego dziadka. Zna pan na pewno tę niezbyt chlubną tendencję, stosowaną chyba na całym świecie, że sławni rodzice czy dziadkowie załatwiają komuś pracę czy szkołę. U nas w rodzinie również tak było! Tylko że to załatwianie wyglądało zgoła inaczej. Kiedy pradziadek dowiedział się, że mój ojciec zdaje do szkoły filmowej, wziął telefon, zadzwonił do rektora, z którym świetnie się znał, i powiedział krótko: „Ten pan do tej szkoły się nie dostaje. Okej?".

Bezlitośnie...

To pokłosie tego, o czym mówiłem na początku – pradziadek wyznawał jedną złotą zasadę: „Jeden artysta w rodzinie wystarczy". Trzymamy się tego do dzisiaj. Grubą, czarną kreską oddzielano pracę od domu. Dlatego pradziadek nigdy w domu nie śpiewał. Nie było żadnych kolęd, nie było żadnego „Sto lat". Tata wylądował ostatecznie na SGGW jako mechanizator rolnictwa, ale przez całe życie miał w sobie pasję niespełnionego aktora.

Ale w końcu odnalazł drogę do świata kultury?

Miał duszę artysty. Organizował studenckie festiwale i koncerty, w których jako małe dziecko uczestniczyłem. Zawsze marzył, żeby pracować w radiu i udało mu się to kilka lat przed śmiercią – trafił do Radia Jazz. Zaczął też grać na saksofonie. Ale muzyka pradziadka w naszym domu nie rozbrzmiewała. Nie mieliśmy żadnych rytualnych odsłuchów płyt Mieczysława Fogga, nawet nie wiem, czy mieliśmy jego płyty poza tymi, które sam sobie później kupiłem.

Pana nie ciągnie na scenę? Przywracanie kultury dwudziestolecia i prowadzenie fundacji to dziś pańska praca na pełen etat?

Od pięciu lat to moja pełnoetatowa praca. Przez ponad 15 lat godziłem to z codziennymi obowiązkami, nieraz na dwa etaty. Kiedy ten limit zaczął przekraczać 14 godzin dziennie, musiałem wybrać. I jakoś ciągniemy tę fundację. Trzymam się zasady pradziadka o jednym artyście w rodzinie. Swojemu 10-letniemu dziecku daję jednak pełną swobodę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Michał Fogg *– prezes Fundacji Retro im. Mieczysława Fogga oraz patron i współorganizator Ogólnopolskiego Festiwalu Piosenki Retro im. Mieczysława Fogga. Prowadzi wydawnictwo muzyczne Fogg Record zajmujące się propagowaniem i promocją kultury okresu dwudziestolecia międzywojennego. Prawnuk Mieczysława Fogga.*

eprasa.pl 75b7358ee2



Marian Koral – najmłodszy z czterech braci Koral – zmarł w wieku 74 lat. Jego pogrzeb odbył się 11 marca w Nowym Sączu FOT. JAKUB ADAMCZYK/EAST NEWS

Lodowe imperium Koralów



Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Historia braci Koral to opowieść o sile rodziny i przywiązaniu do lokalnej społeczności. Wspólnymi siłami zbudowali lodowe imperium, a dzięki smykałce do biznesu wyprzedzili swoje czasy

Marian Koral – najmłodszy z czterech braci Koral – zmarł w wieku 74 lat. Jego pogrzeb odbył się 11 marca w Nowym Sączu. „Zmarł po ciężkiej chorobie otoczony najbliższymi" – poinformował portal starosadeckie.info. „Na miejscu stawiły się poczty sztandarowe straży miejskiej. Prezydent RP nadał biznesmenowi pośmiertnie odznaczenie – Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, jedno z najwyższych odznaczeń państwowych. Przyznano je w związku z wkładem w rozwój polskiej gospodarki i przedsiębiorczości, a także jako hołd dla wieloletniej działalności społecznej i charytatywnej. Doradca głowy państwa przekazał odznaczenie wdowie po Marianie, pani Marii Koral" – tak pogrzeb przedsiębiorcy opisywały lokalne media.

– W niedzielę wczesnym rankiem odszedł kochany mąż, kochany brat, wujek, człowiek, który mówił o miłości i tą miłością żył. Kiedy odchodzi człowiek tak dobry, trudno stać w ciszy – mówił podczas Mszy pogrzebowej duchowny. W trakcie uroczystości odczytano list od biskupa diecezji tarnowskiej Andrzeja Jeża. Marian Koral spoczął w okazałym grobowcu rodzinnym, w którym niecały rok wcześniej pochowano najstarszego z braci, Jana (zmarł w maju 2025 r. w wieku 81 lat). Oficjalny charakter pogrzebu nie był przypadkowy. Bracia Koral, twórcy lodowego imperium, byli dla lokalnej społeczności kimś więcej niż tylko pracodawcami.

SMYKAŁKA DO BIZNESU

Braci Koral było czterech. Ich ojciec pochodził z Piwnicznej, a w czasie wojny był kurierem polskiego podziemia. Przeprowadzał ludzi przez granicę na Słowację i dalej na Węgry. Według relacji synów stracił nogę, wpadając w zasadzkę. Po wojnie przeprowadził się do Nowego Sącza, gdzie kupił kamienicę w obrębie starego miasta, tuż obok rynku. Rodzina zajmowała się drobnym handlem, a synowie od małego pomagali rodzicom – handlowali na rodzinnych straganach w pobliskich miejscowościach. Najstarszy Władysław postanowił zostać nauczycielem. Drugi w kolejności, Jan, uczył się na cukiernika w magazynach państwowych zakładów gastronomicznych, które mieściły się w jednym z pomieszczeń kamienicy Koralów. W 1968 r. otworzył Cukiernię Bajka. Miejsce nie tylko kusiło słodkimi przysmakami, lecz także stało się lokalnym centrum spotkań. Hitem były rzemieślnicze lody z naturalnych składników (choć trzeba przyznać, że w tamtych czasach znane dziś „ulepszacze" żywności nie istniały, więc lody z prawdziwego mleka i dodatków smakowych były standardem).

Dwaj młodsi bracia, Józef oraz Marian, odbywali praktyki zawodowe i uczyli się fachu u Jana. W końcu postanowili pójść na swoje. Marian miał 24 lata, a Józef 21 lat. Nie dostali jednak zgody od naczelnika miasta na otwarcie zakładu w Nowym Sączu. Media spekulowały, że powodem mógł być ich młody wiek i obawa, czy podołają, albo względy ideologiczne – w komunistycznym reżimie źle wyglądałby przecież „klan prywaciarzy". W 1979 r. przenieśli się zatem do oddalonej o ok. 25 km Limanowej, gdzie otworzyli Koktajlbar Kubuś.

eprasa.pl 75b7358ee2

Działał w kamienicy przy rynku, a bracia produkowali lody w piwnicy. Właścicielka lokalu opowiadała po latach „Gazecie Krakowskiej", że dzierżawili też mały pokoik. Tam mieli odpoczywać w czasie, gdy akurat nie pracowali. „Lody robili świetne. Prawdziwe, na śmietanie. A nawet jak im trochę zostało, to nigdy nie sprzedawali ich na następny dzień. Rozdawali dzieciakom z okolicy, a resztę wyrzucali" – wspominała z kolei Anna Hańska, której teściowa wynajmowała Koralom wspomnianą piwnicę.

Podobnie jak cukiernia Józefa lodziarnia młodszych Koralów rozwijała się bardzo prężnie. Już wtedy było widać ich ponadprzeciętną smykałkę do biznesu. „Zapadła decyzja o zakupie białego malucha, którego przerobili na pierwszy w Polsce »lodowóz«. Marian i Józef wymontowali przednie siedzenie, a w jego miejsce wstawili olbrzymi termos. Tak przygotowani wozili lody na festyny i odpusty w lokalnych wsiach, sprzedawali je też pod kościołami oraz chętnie oblegany mi boiskami sportowymi" – opisywał magazyn „Viva!".

EKSPANSJA

Przez ponad 10 lat produkowali lody ręcznie. W 1992 r., gdy w Polsce nastał „dziki kapitalizm", bracia poczuli, że to ten moment – albo rzucą się na głęboką wodę biznesu na dużą skalę, albo wolny rynek ich zatopi. Zaryzykowali. Dzięki kredytowi w wysokości 1,5 mln marek („Według archiwalnych notowań kursów walut z NBP w 1990 r. 1 marka niemiecka była warta mniej więcej 5,5 tys. ówczesnych złotych. Koralowie pożyczając 1,5 mln marek, zadłużyli się więc na 8 mld 250 mln »starych złotych«" – opisywał Onet) zbudowali pierwszą fabrykę. Do zakładu w Limanowej kupili włoskie maszyny do produkcji lodów. To był przełom – produkcja stała się masowa, wzrosła do 300 lodów na minutę.

Konkurencja rosła w siłę, ponieważ na polskim rynku pojawiły się zagraniczne firmy lodowe – włoska Algida i niemiecki Schöller. Zachodnie marki nie rozpoznały jednak potrzeb polskiego konsumenta. Obie stawiały bowiem na lody w tzw. kuwetach (pudełkach), które były droższe. Był to towar postrzegany jako luksusowy, który kupowało się od święta i na specjalne okazje. Tymczasem Koralowie postawili na tzw. lody impulsowe (kupowane pod wpływem nagłej chęci na coś słodkiego) – pojedyncze, na patyku, a co najważniejsze – w przystępnej cenie. Lody marki Koral można było dzięki temu jeść codziennie i było na nie stać każdego. Marian i Józef mieli nosa. Drugim elementem strategii promowania „lodów codziennych" było oparcie sieci dystrybucji przede wszystkim na małych sklepach, w tym słynnych GS-ach. „W każdym z takich punktów stała chłodnia z logo »Koral«. Firma najczęściej sklepikarzom udostępniała ją za darmo" – zauważył Onet. W tym czasie zagraniczna konkurencja skupiła się na hipermarketach, których zaczęło przybywać w całej Polsce.

Bracia wiedzieli, jak ważny jest marketing. Ich działania w tym obszarze wyprzedziły swoje czasy. To samo niebiesko-żółto-czerwone logo od lat, które na stałe wpisało się w polski krajobraz, to jedno. Wypracowali łatwo wpadające w ucho hasło reklamowe: „Zawsze jest pora na lody Koral!", które dzieci powtarzały tak po prostu, bez okazji, nieświadomie robiąc lodom reklamę wśród rówieśników i w domach. Koralowie jako jedni z pierwszych w kraju zatrudnili do reklam gwiazdy rozrywki. Lody tej marki reklamowały m.in. Dorota Rabczewska „Doda" (która o współpracy z Koralami mówiła, że negocjacje są twarde, ale warunki uczciwe), Maryla Rodowicz, Daniel Olbrychski, Joanna Liszowska, Natasza Urbańska, Katarzyna Figura, Beata Kozidrak, Arka Noego, Katarzyna Zielińska, Joanna Krupa, Joanna Koroniewska oraz Zbigniew Wodecki.

Wyczucie rynku Koralowie mają do dziś – to oni weszli we współpracę z „Frizem", czyli Karolem Wiśniewskim, jednym z najpopularniejszych influencerów dla młodzieży, który zgromadził wokół siebie grupę twórców, tzw. Ekipę Friza. Wypuszczona w 2021 r. seria lodów stała się hitem. Niektóre sklepy, nie nadążając za potrzebami klientów, wywieszały na szybach kartki: „Lodów Ekipy brak". Konieczna była dodatkowa produkcja. Obiektem pożądania stały się także same opakowania produktów z tej serii. Później firma chwaliła się, że nawet w marcu, który nie jest zazwyczaj miesiącem z największym popytem na zimne smakołyki, osiągnęła rekordowe zyski.

W 2014 r., z okazji 35-lecia firmy, stworzono markę Bracia Koral. W ten sposób firma weszła na rynek lodów premium. Seria „Lody jak dawniej" jest reklamowana jako nawiązująca do rzemieślniczych tradycji. Firma Koral produkuje obecnie trzy rodzaje produktów – lody „impulsowe", familijne (w dużych opakowaniach) oraz lody HoReCa (dla branży gastronomiczno-hotelarskiej). W 2023 r. Jan i Marian Koralowie znaleźli się na 73. miejscu listy najbogatszych Polaków magazynu „Forbes". Ich majątek szacowano wtedy na nieco ponad miliard złotych. Żyli tak, jak na bogaczy przystało. „Lubią bardzo dobre samochody. Widuje się ich w pojazdach marki Maybach czy Lamborghini. Domy ich i ich dzieci to piękne rezydencje" – zauważały media (co do oceny wilii, szczególnie tej należącej do Józefa, można się spierać; bije po oczach złotem, a ustawione przed wejściem kamienne lwy nie każdy uznałby za wyraz dobrego gustu).

Dziś firmą Koral zarządzają dzieci Józefa – Izabela, Monika i Michał Koral. W ostatnim rankingu „Forbesa" znaleźli się na 70. miejscu, z majątkiem szacowanym już na 1,79 mld zł. Koral jest największym producentem w kraju i jednym z największych w Europie.

NA STRAŻY PRYWATNOŚCI

Bracia mocno strzegli swojej prywatności. Na próżno szukać wywiadów z nimi w ogólnopolskich mediach.
W 2016 r. Marian i Józef odebrali tytuł Honorowych Obywateli Miasta Nowego Sącza. W uzasadnieniu inicjatywy podjętej przez radnych miejskich czytamy, że „bracia Koral są wiodącymi postaciami sądeckiego życia gospodarczego". „W trzech zakładach – w Nowym Sączu, Rzeszowie i w Limanowej – firma zatrudnia licznych mieszkańców naszego miasta i regionu […]. To dzięki finansowemu wsparciu ze strony firmy Koral w roli platynowego sponsora może odbywać się kulturalna chluba Nowego Sącza – Jesienny Festiwal Teatralny. Przedsiębiorstwo braci Koralów wspiera także inną imprezę o ponadlokalnym znaczeniu, Międzynarodowy Festiwal Święto Dzieci Gór. Na imprezę są zapraszane grupy folklorystyczne z górskich regionów całego świata, dzięki czemu lachowski folklor i wspomnienia z Nowego Sącza wędrują daleko za granice kraju" – wyjaśniono.

– Z radością, a zarazem z zaskoczeniem, przyjęliśmy wiadomość o na-

eprasa.pl 75b7358ee2

szej nominacji. Przez wszystkie lata działalności kierowaliśmy się zasadą przede wszystkim uczciwa praca. Ciężką pracą dochodziliśmy do poszczególnych etapów w rozwoju naszej firmy. Zaczynaliśmy skromnie, od przysłowiowych Warszaw kombi i Maluchów. Nie było łatwo, ale wyniesione z domu poczucie obowiązku wobec naszych rodzin, głęboka wiara w Bożą Opatrzność przyniosła oczekiwane owoce – powiedział, odbierając wyróżnienie, Józef Koral. – Pomagając innym, kierowaliśmy się egoizmem w czystej postaci – po prostu pomaganie sprawia nam niesamowitą satysfakcję i radość. Wielokrotnie robiliśmy to anonimowo [...]. Zarobione pieniądze tylko wtedy przynoszą radość, gdy możemy się nimi podzielić, a nie przechowywać. Wtedy człowiek staje się w pełni człowiekiem i ma w życiu satysfakcję z dobrze spełnionego obowiązku – dodał.

„W ciągu ostatnich lat przynajmniej dwa razy kupowali dla pogotowia ratunkowego z Nowego Sącza nowoczesne karetki z napędem na cztery koła. Pojazdy trafiały do służby w latach 2009 i 2016. Na początku pandemii twórcy lodowego imperium przekazali 800 tys. zł do nowosądeckiego szpitala" – opisywała „Gazeta Krakowa". Sprawa karetek jest ciekawa. „Gazeta Krakowska Plus" przekazała szczegóły po rozmowie z Józefem Zygmuntem, dyrektorem Sądeckiego Pogotowia Ratunkowego w Nowym Sączu. W obliczu trudności finansowych zaapelował do mieszkańców o zbiórkę pieniędzy na niezbędny sprzęt medyczny. Kwestowano przed kościołami. Gdy sprawa dotarła do braci Koral, odezwali się do ówczesnego starosty Jana Golonki i zaproponowali, że kupią karetkę. Pojazd wykonano na zamówienie w Izraelu, a jej koszt z pełnym wyposażeniem przekroczył 600 tys. zł. „Sponsorzy zastrzegli, że to musi być Mercedes, bo mają do tej marki zaufanie. Wszystko musiało być o najwyższym standardzie, tak jak w ich prywatnych samochodach [gdy pogotowie straciło karetkę w wypadku, Koralowie już następnego dnia zadeklarowali, że kupią nową, co też zrobili – przyp. red.]. W ciągu siedmiu lat swoim prezentem uratowali życie setkom osób i teraz znów dzięki nim Sądeczanie mogą czuć się bezpieczniejsi. To chyba wystarczający powód, by uznać ich zasługi i wyróżnić tytułem honorowych obywateli" – wspominał Józef Zygmunt.

Trudno wykluczyć, że podobnych „akcji" Józef i Marian mają na swoim koncie więcej. Wiadomo, że wspierali drużynę piłkarską Sandecja Nowy Sącz. Onet zauważył: „Pomagają z dobroci serca, ale nie chcą rozgłosu. Dlatego umowa jest prosta. Także to, co sponsorują instytucjom publicznym, wychodzi na jaw tylko, gdy taką wiedzę zdobędzie któryś z lokalnych dziennikarzy".

O przywiązaniu braci do wiary może świadczyć fakt, że w 2005 r. ufundowali pomnik św. Jana Pawła II, a także fontannę stojące na rynku w Nowym Sączu. Wodotrysk uruchomiono w pierwszą rocznicę śmierci Ojca Świętego. Całość miała kosztować ponad 2 mln zł. Według mieszkańców pomnik papieża Polaka ma być dziękczynieniem za zdrowie członków rodziny. W cokole figury umieszczono zamurowaną tuleję, a w niej dokument z podpisami Koralów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



eprasa.pl 75b7358ee2



Autoportret Antona Raphaela Mengsa, 1760–1761

FOT. MADRID, FUNDACIÓN CASA DE ALBA, PALACIO DE LIRIA, P.260

W pogoni za doskonałością



Wiesław Chełminiak

Europejskie muzea składają hołd klasycyzmowi

W 1764 r. Johann Joachim Winckelmann, od lat mieszkający w Rzymie, opublikował „Dzieje sztuki starożytnej". Naukowa dysertacja stała się kamieniem, który poruszył lawinę. Świat czekał na mędrca, który publicznie ogłosi, że „prawdziwe piękno jest tylko jedno" i trzeba go szukać w gruzach grecko-rzymskich miast.

Powiedzmy sobie szczerze, idea nie była nowa. Postulat kulturowego resetu od stuleci powracał niczym fale, z których każda przewyższała poprzednią. Jak na ironię apogeum nastąpiło w epoce, gdy językiem elit nie była już łacina, lecz francuski. Drugim filarem europejskiej tożsamości miało stać się idealizowane dziedzictwo antyku. Chrześcijaństwo znalazło się w ogniu krytyki, również dlatego, że obwiniano je za upadek imperium cezarów.

Żądanie „odnowienia sztuk", które w średniowieczu odeszły od pierwotnej doskonałości, padło na podatną glebę. Zrodziło jednak inne owoce niż w czasach starożytnych. Jak zwykle zawiódł człowiek. Gdyby artyści, literaci i architekci niewolniczo podążyli za myślą Winckelmanna, zasługiwaliby co najwyżej na miano zręcznych kopistów. Szczęśliwie twórców co bardziej utalentowanych antyczny gorset uwierał. Dzięki temu neoklasycyzm nie był martwy od chwili poczęcia, tliła się w nim odrobina życia.

WSZYSTKO NA BIAŁO

Dla poetów, budowniczych czy rzeźbiarzy sprawa była prosta. Archiwalne kwerendy i wykopaliska dostarczały gotowych wzorów. Malarze mieli problem. Żadne z dzieł Apellesa, którymi zachwycali się Grecy i Rzymianie, nie przetrwało. Resztki dekoracyjnych fresków, znajdowane w ruinach, były słabą pożywką dla wyobraźni. Rozwiązanie znalazł urodzony w 1728 r. Anton Raphael Mengs. Półkrwi Francuz, półkrwi Niemiec, w duszy kosmopolita. Wolno mniemać, że jego prawdziwą ojczyzną był antyk (oczywiście taki, jakim go sobie wyobrażali luminarze oświecenia).

Ojciec zaplanował mu przyszłość jeszcze przed narodzeniem. Imiona wybrał w hołdzie dla Corregia i Santiego. Głodził potomka, by zachęcić do bardziej wytężonej pracy. Brutalne metody wychowawcze ukształtowały charakter Mengsa, który nie potrafił się cieszyć sukcesami. Pierwszym z nich było „Wniebowstąpienie", zdobiące główny ołtarz drezdeńskiego Hofkirche. Saska dynastia miała słabość do artystów. Anton malował portrety Wettynów. Wcześniej czy później zawędrowałby z nimi do Warszawy, lecz król August III wysłał go do Rzymu z poleceniem kopiowania tamtejszych arcydzieł.

Młodzian znalazł się w swoim żywiole. „Caput mundi" jawiła się permanentnym źródłem natchnienia i chłonnym rynkiem zbytu. Kuria i europejscy arystokraci, dla których Rzym był obowiązkowym punktem „grand tour", prześcigali się w zamówieniach. Mengs umiał dostosować się do wymagań klientów, zmiennych gustów i okoliczności. Wziął za żonę Włoszkę, zaprzyjaźnił się z Winckelmannem (również pobierającym pensję z Saksonii) i tak jak on przeszedł na katolicyzm. Awans do artystycznej pierwszej ligi zapewnił mu fresk „Parnas" w rezydencji kard. Alessandra Albaniego, zapalonego kolekcjonera antyków.

Obejrzawszy zbiory papieskie i ruiny Herkulanum, Mengs uznał, że wzorem dla neoklasycznego malarstwa mogą być starożytne płaskorzeźby i mozaiki. Szlachetna biel kolumn oraz portyków tak urzekła XVIII-wiecznych pięknoduchów, że artyści rekonstruktorzy (nawet jeśli domyślali się, że Grecy od krzykliwych barw nie stronili) oszczędnie dawkowali kolory. Nowa moda sprawiła, że kościoły zaczęły przypominać pogańskie świątynie (vide: katedra w Wilnie). Salony dekorowano w stylu pompejańskim, damy zaś nosiły się jak westalki, co jednak rzadko przekładało się na ich moralność.

SZTUKA KONTRA ARCHEOLOGIA

Rola współakuszera estetycznej rewolucji, jakkolwiek zaszczytna, nie gwarantowała stałych dochodów. Mengs przyjął zatem zaproszenie do Neapolu, gdzie rządził Karol III Burbon. Największą pasją księcia było myślistwo, lecz polubił swego portrecistę na tyle, że gdy musiał przejąć hiszpański tron po zmarłym bracie, zabrał go ze sobą.

W Madrycie nasz bohater ponownie zasłynął jako freskant. Ozdobił sklepienia

eprasa.pl 75b7358ee2



pałacu królewskiego „Triumfem Jutrzenki", „Chwałą Herkulesa" i „Apoteozą Trajana" – cesarza rzymskiego o iberyjskich korzeniach. W XVIII w. takie dzieła były najbardziej prestiżowe, dziś wzbudzają umiarkowane zainteresowanie. Na domiar złego technika, której hołdował Mengs, okazała się nietrwała, część malowideł z czasem zniknęła. Coś podobnego stało się ze sławą Mengsa. Poza Hiszpanią jest pamiętany wyłącznie jako patron młodego Goi. Robert Hughes nie zostawił na nim suchej nitki: „Beznamiętny, poprawny, pozbawiony uroku, powściągliwy tam, gdzie należałoby okazać siłę, dogmatyczny w sytuacjach, gdzie przydałoby się trochę fantazji".

Słowa australijskiego krytyka sztuki tak naprawdę odnoszą się do neoklasycyzmu. Przypadek Mengsa jest bardziej skomplikowany, co potwierdziła wystawa jego prac w muzeum Prado. Był dzieckiem epoki, która trzymała artystów na krótkiej smyczy. Sam talent nie wystarczał, warunkiem sukcesu było trzymanie się narzuconych przez autorytety konwencji. Ten fakt rzuca dodatkowe światło na konflikt z Winckelmannem. Anton podłożył przyjacielowi świnię, czyli malowidło „Jowisz i Ganimedes", rzekomo greckiej proweniencji. Johann wpadł w ekstazę, nie podejrzewając, że prawdziwym autorem jest Mengs. Naukowa reputacja „ojca archeologii" legła w gruzach.

Dlaczego artysta zachował się tak perfidnie? Zapewne doktrynerstwo Niemca działało mu na nerwy i postanowił sprowadzić go na ziemię. Praktyk upokorzył teoretyka, sztuka wygrała z archeologią. Twórca „Parnasu" imponował pracowitością. Oddano mu w zarząd królewską manufakturę tapiserii tudzież Akademię Sztuk Pięknych, którą gruntownie zreformował. Hiszpanie twierdzą, że wypełnił pustkę, powstałą po śmierci Velázqueza i malarzy „złotego wieku".

Mengsa trudno nazwać stuprocentowym klasycystą. Nieustannym wyzwaniem była dlań twórczość gigantów renesansu. „Opłakiwanie martwego Chrystusa" prezentowano na wystawie w zestawieniu z „Lo Spasimo di Sicilia" Rafaela. Kuratorzy skonfrontowali też ulubieńca Karola III z drugim idolem: Corregiem. Od wymuskanych podobizn Burbonów i dworaków ciekawsze są autoportrety, tworzone w swobodniejszej manierze. Z kolei religijne obrazy Mengsa dobrze ilustrują wypraną z emocji pobożność epoki oświecenia. Ten ogień nie parzy, krew nie przeraża. Trudno jednak odmówić wdzięku „Adoracji pasterzy", gdzie autor występuje w roli jednego z gapiów.

NAKARMIĆ ARTYSTĘ!

„Malarz filozof" zakończył życie w ukochanym Rzymie. Przyjaciele zadbali, by jego popiersie znalazło się w Panteonie, blisko grobu Rafaela. Wydali eseje Mengsa. Rozprawa „Rozważania o pięknie i smaku w malarstwie" cieszyła się sporym powodzeniem. W tamtych czasach twórca nie mógł osiągnąć więcej. Dziś jego dokonania streszcza się w jednym zdaniu: położył fundamenty, na których wyrósł neoklasycyzm, i wywarł wpływ na artystów europejskich następnej generacji.

Jednym z nich był Jacques-Louis David. Retrospektywę piewcy rewolucji i Napoleona jeszcze niedawno można było oglądać w Luwrze (pisał o niej na tych łamach w numerze 4/2026 Piotr Semka). Burzyciele dawnego porządku lubili o sobie myśleć jako o nowych Grekach czy Rzymianach. I podobnie jak oni zapragnęli stworzyć imperium. Mengs jeszcze żył, gdy armia francuska, dowodzona przez młodego gen. Bonapartego, wkroczyła do północnej Italii. Na zajętych terenach powstały uzależnione od Paryża państwa efemerydy.

Napoleon jako Korsykanin znał naturę Włochów i wiedział, jak ich podejść. Zapraszał do swojej kwatery intelektualistów, rozwijając przed nimi wizję zjednoczonej Italii. Inwestował krocie w sztuki plastyczne, które miały dodać blasku jego rządom. Aby zaoszczędzić czas, miał zwyczaj pozować jednocześnie malarzowi i rzeźbiarzowi. Zaraz po zajęciu Mediolanu pisał do Antonia Canovy: „Jako słynny artysta ma Pan prawo do specjalnej ochrony ze strony mojej armii. Wydałem już rozkazy, aby niezwłocznie opłacono Pańskie wyżywienie i zakwaterowanie".

Pozując na wyzwoliciela, wyciskał kraj jak cytrynę, domagając się haraczu również w dziełach sztuki. Mimo to wielu chciało mu wierzyć. Do orszaku zwycięzcy mimo wahań przyłączył się Giuseppe Parini – literat, pedagog i moralista. Za czasów austriackich nie działo mu się źle. Wręcz przeciwnie – Habsburgowie podzielali reformatorskie i estetyczne poglądy księdza krytykującego ekstrawagancje baroku. Panaceum na kryzys włoskiej sztuki miał być powrót do prostoty, czyli antyku.

Idealnym wykonawcą planu Pariniego okazał się młodszy o pokolenie Andrea Appiani, nazywany „malarzem Grecji". Posłuszny woli mentora, który wprowadził go na salony, z zapałem ilustrował grecko-rzymską historię i mitologię. Był artystą wszechstronnym: projektował dekoracje dla Teatro alla Scala, medale, meble, drzwi i powozy. Upiększał rezydencje arystokratów, nie gardził też zamówieniami Kościoła. Gdy 15 sierpnia 1795 r., w dniu Wniebowzięcia, w sanktuarium Santa Maria dei Miracoli usunięto rusztowania, całe miasto przybyło podziwiać wspaniałe efekty świetlne i kolorystyczne w kopule ozdobionej freskami mistrza.

JOWISZ Z KORSYKI

Gdy rok później wojska Bonapartego wtargnęły do Lombardii, Appiani długo się nie zastanawiał. Ubiegając francuskich konkurentów, sporządził całopostaciowy konterfekt 27-letniego generała, w asyście skrzydlatego geniusza zwycięstwa. Nagrodą był tytuł „notre premier peintre" („nasz pierwszy malarz") i zaproszenie do Paryża. Włochowi pozowali przedstawiciele nowej elity, w tym żona Napoleona – Józefina, którą wystylizował na starożytne bóstwo. W Mediolanie pochlebca, odznaczony Orderem Legii Honorowej, otrzymał intratne zlecenie. Miał przekształcić w duchu neoklasycznym Palazzo Reale. Budowla, odbudowana po wojennych zniszczeniach, wegetuje w cieniu katedry i galerii Wiktora Emanuela II. Turyści zaglądają do niej, by obejrzeć sezonowe wystawy.

Trzeba trafu, ostatnią z nich poświęcono właśnie Appianiemu. Jednym z eksponatów był wypożyczony z Luwru wielki karton przygotowawczy do fresku „Apoteoza Napoleona". Korsykanin dziwnie przypomina Jowisza. Ta praca zwiastuje opus magnum Mediolańczyka, czyli 100-metrowy fryz w Sali Kariatyd. Składa się on z 35 płócien malowanych techniką en grisaille, dającą złudzenie trójwymiarowości. Cykl, dla którego inspiracją były płaskorzeźby z Kolumny Trajana w Rzymie, sławił militarne i polityczne dokonania Małego Kaprala. Wzbudzał podziw Stendhala oraz innych XIX-wiecznych koneserów.

eprasa.pl 75b7358ee2

Oryginalne malowidła spłonęły w 1943 r., przetrwała jedynie seria rycin, dokumentujących kompozycję tego dzieła, tudzież przedwojenne fotografie Sali Kariatyd. Na ich podstawie zrekonstruowano fryz. Władze Mediolanu, który w epoce napoleońskiej był stolicą Włoch, zamierzają przywrócić świetność całemu pałacowi. Część eksponowanych dzieł zostanie w nim na stałe.

A co z Appianim? Wiosną 1813 r. nagły wylew krwi do mózgu uczynił z niego inwalidę. Żył jeszcze cztery lata, jednak nie był w stanie dokończyć dekoracji Palazzo Reale. Uczynili to inni artyści w zmienionych już politycznych warunkach: Lombardia wróciła pod panowanie Habsburgów. Wraz ze zmierzchem napoleońskiej legendy zgasła sława „włoskiego Davida". Dziś Appiani broni się jako portrecista, wpisujący się w tradycję zapoczątkowaną przez mistrzów renesansu. Chętnie uwieczniał swoich bliskich: od żony Costanzy do ośmiorga dzieci, które wspólnie spłodzili.

PATRIOCI BAŁWOCHWALCY

Wystawa w Palazzo Reale jeszcze nie dobiegła końca, gdy w Gallerie d'Italia zadebiutowała ekspozycja pt. „Wieczność i wizja. Rzym i Mediolan – stolice neoklasycyzmu". Tylko te miasta uniknęły upadku, który stał się udziałem wielkich ośrodków artystycznych: Florencji, Wenecji, Genui czy Neapolu. Rzym, choć ograbiony z arcydzieł masowo wywożonych do Francji, dzięki obfitości swojego dziedzictwa zachował atrakcyjność. Eksmisja papieża zmartwiła wiernych, ale nad Tybr nadal przybywali po naukę artyści z całego świata i pielgrzymki snobów z wypchanymi portfelami.

Mediolan, prosperujący pod rządami Austriaków, wyprzedził Wieczne Miasto pod względem zaludnienia (150 tys. mieszkańców). Zaczął też uchodzić za kolebkę „dobrego smaku". Ton nadawała świecka elita wyznająca ideały oświecenia. Neoklasycyzm, triumfujący w salonach Paryża, Londynu, Wiednia i Berlina, jawił się tu stylem narodowym, esencją włoskiej tożsamości opartej na wspólnym dziedzictwie kulturowym podzielonego kraju.

Cichymi bohaterami wystawy są dwaj wybitni twórcy: rzeźbiarz Antonio Canova i Giuseppe Bossi, malarz erudyta, założyciel Pinakoteki Brera, która do dziś jest dumą Mediolanu. Byli przyjaciółmi, pisali do siebie niemal codziennie. Bossiego gubił nadmiar ambicji. Zgłębiał heroiczne tematy, brane z antycznej historii oraz literatury, lecz z reguły kończyło się na szkicach. „Bądźcie wreszcie jak Leonardo – wszechstronni i samotni; wszechstronni w studiach, samotni zaś w twórczej medytacji" – apelował do współczesnych. Bardzo przyczynił się do rozsławienia nadgryzionego zębem czasu fresku „Ostatnia wieczerza".

Gdy Bonaparte ogłosił się cesarzem, bałwochwalstwo jego włoskich fanów sięgnęło zenitu. Canova wyrzeźbił go w marmurze jako Marsa Czyniącego Pokój. Przy okazji poprawił proporcje ciała Napoleona i wyposażył go w muskulaturę godną atlety. Ujrzawszy nagi posąg, imperator polecił zasłonić artefakt parawanem i zakazał jego eksponowania. Pomniejszone kopie z brązu cieszyły się jednak znacznym zainteresowaniem, nie tylko wśród bonapartystów. Z kolei Bossi popełnił portret, na którym cesarz jest łudząco podobny do Aleksandra Macedońskiego.

Z czasem entuzjazm osłabł. Gdy epopeja napoleońska wchodziła w ostatnią fazę, malarz stwierdził gorzko: „Ten wielki człowiek zbudował imperium w gwałtowny sposób, a żadna przemoc nie jest trwała. Każdy naród może chlubić się tym, że go wydał, żaden nie powinien pragnąć, by ktoś podobny narodził się ponownie". Kuratorzy wystawy cytują Bossiego, lecz najwyraźniej pozostają pod wrażeniem legendy Boga Wojny. Chwalą się bowiem komodą, która według tradycji stała w sypialni Korsykanina, oraz odrestaurowanymi regaliami użytymi podczas jego koronacji na króla Włoch.

Uroczystości odbyły się w katedrze mediolańskiej. Z tej okazji postanowiono dokończyć wreszcie budowę fasady świątyni. Fakt, że Napoleon wybrał projekt przewidujący 240 posągów, ucieszył włoskich rzeźbiarzy. Camillo Pacetti był odpowiedzialny za wykonanie alegorii Nowego Prawa, dla której zarezerwowano prestiżową miejscówkę obok dużego okna nad portalem centralnym. Postać nosi promienną koronę, lewym ramieniem obejmuje krzyż spoczywający na głazie reprezentującym trwałość Wiary, prawym zaś wznosi kielich eucharystyczny. Ciekawostka: ów monument pod koniec wieku natchnął francuskiego artystę do stworzenia Statui Wolności, symbolu Nowego Jorku i Ameryki.

KOŃ BEZ JEŹDŹCA

Mimochodem wystawa w Gallerie d'Italia przypomina o jednym z najambitniejszych projektów architektonicznych w historii. Boloński architekt Giovanni Antonio Antolini, wychodząc naprzeciw gigantomanii władzy, zaproponował, by na obrzeżach Mediolanu wznieść Foro Buonaparte: nowe centrum miasta w stylu neoklasycznym. Olbrzymi, kolisty plac, otoczony dorycką kolumnadą, miał pomieścić budynki użyteczności publicznej, magazyny, sklepy, termy, muzeum, teatr oraz świecki panteon. Wcześniej należało jednak zburzyć średniowieczny zamek Sforzów i otaczające go fortyfikacje.

Położeniu kamienia węgielnego w 1801 r. towarzyszyła wielka feta. Mediolańczykom uśmiechała się wizja przekształcenia ich miasta w pseudantyczną metropolię. Spodziewali się, że Rzymianie zżółkną z zazdrości. Po wstępnych pracach inwestycja została jednak zaniechana jako zbyt kosztowna i niepraktyczna. Poprzestano na liftingu placu apelowego i zasadzeniu drzew. Jedynymi pamiątkami po utopijnym projekcie są podarowane cesarzowi wizualizacje tudzież model konia z brązu autorstwa samego Canovy.

Rumak, po przejściu intensywnej kuracji odmładzającej, pręży mięśnie w centralnym punkcie wystawy. Bonapartyści chcieli go ustawić na środku Forum, oczywiście z imperatorem na grzbiecie. Autor wzorował się na monumencie Marka Aureliusza – jedynym antycznym konnym pomniku, który dotrwał do czasów nowożytnych. Poza Napoleona miała być jednak bardziej dynamiczna niż cesarza filozofa. Canova wymyślił, że zwycięzca spod Austerlitz będzie wzywał do boju ociągających się podkomendnych. Po deportowaniu Korsykanina na Wyspę św. Heleny pojawił się nowy kandydat na jeźdźca – król Neapolu Ferdynand. Tym razem w finalizacji zamówienia przeszkodziła śmierć rzeźbiarza.

Mediolański łuk triumfalny miał więcej szczęścia. Udało się go dokończyć, gdy zmieniono nazwę na Arco della Pace, czyli Łuk Pokoju. Chłodny i pompatyczny klasycyzm wcale nie odszedł do lamusa. Symbolizował wszak siłę i porządek, czyli fetysze władzy. Każdej władzy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 75b7358ee2

Lustereczko, powiedz przecie



Scena ze spektaklu „Magiczna rana" na podstawie zbioru opowiadań Doroty Masłowskiej FOT. NATALIA KABANOW



Grzegorz Kondrasiuk

Od kilku lat prowadzę badania nad obyczajami warszawskich autochtonów. Są to badania terenowe w publicznych teatrach. Ciągle działa tu wspaniały mechanizm lustereczka podstawianego widowni w oknie sceny, udoskonalony do perfekcji w XIX w. „Z czego się śmiejecie? – z samych siebie się śmiejecie"… Dlatego niezmiernie śmieszą mnie utarte, wygłaszane tu i ówdzie poglądy o nowoczesnym, eksperymentalnym charakterze scen wielkomiejskich, bo najczęściej są one aktualizacjami poczciwego teatru mieszczańskiego. Dostrzeżenie istoty sprawy utrudnia ideologiczny sos, jakim obficie polewa się podawane tam potrawy, ale to właśnie iluzja jednomyślności i normalizacja jednego zestawu poglądów (tzw. lewicy obyczajowej) jest spoiwem dla widowni, pozwala jej odczuć „poczucie przynależności".

W literaturze i filmie lustereczko sprawnie potrafią podstawiać, z tych znanych, np. Jakub Żulczyk („Ślepnąc od świateł"), Paweł Demirski („Artyści", „Udar"). No i Dorota Masłowska. To ona była prekursorką i nadal jest w tej niszy królową. Jest Bronisławem Malinowskim wielkich miast i całej tej naszej turbo-korpo-epoki. Rozbiła swój literacki namiot w warszawskim interiorze, przybrała miejscowy kostium i maniery, nieobce są jej okładki w „Vogue" i w „Wysokich Obcasach" – ale nawet celebrytyzm nie zagłuszył w niej tego „czegoś", co kiedyś nazywano talentem, a nawet, o zgrozo, „palcem bożym". Pisarka, która potrafi pisać… W pozornie płaskim, satyrycznym skrócie zmierza do puent, które są boleśnie prawdziwe, które mówią ludkowi warszawskiemu (i ogólnie – wielkomiejskiemu) coś dotkliwego o nim samym.

Teatr Studio jest od dawna domem Masłowskiej, nic więc dziwnego, że tu wystawiono adaptację jej najnowszej książki, zbioru opowiadań „Magiczna rana". Szczęśliwy traf, wziął się za to Radosław Maciąg, reżyser, który sam pisze (i mu to wychodzi), pracujący z dramaturgiem Konradem Hetelem. Drugą szczęśliwą koincydencją jest zespół Teatru Studio, bo któż, jak nie oni może zagrać satyrę na warszawski światek? Właśnie jak w lustereczku uchwycone to dziwne plemię dobrze i niedbale ubrane, zagonione, narcystyczne, euforyczne i depresyjne na zmianę, terapeutyzowane, naćpane, wysportowane, w drodze na siłkę albo jogę, kochające tak samo dobrostan jak karierę itd. Miasto samotnych ludzi… Niezależnie od miejsca w hierarchii wzajemnej konsumpcji wszyscy są tu jednakowo oszukani, wydymani, jakby napisała Masłowska. Pasuje do tego forma teatralna uprawiana w Studiu, snująca się postmelancholia. Wizualizacje Natana Berkowicza i scenografia Łukasza Misztala na równi z frazą Masłowskiej malują pejzaże mentalne martwego, wypalonego świata.

Wydawałoby się, że autorka ta, karmiąca się językiem z telewizyjnej pulpy, zdezaktualizowała się razem z telewizją, której spadają słupki oglądalności, a język jej przestał być uniwersalny. Nic bardziej mylnego. Komiczna para, niejaki Młody, neuroróżnorodne dziecko o bystrym darze obserwacji (grane przez Roba Wasiewicza, aktora o koszykarskiej posturze), i jego nie całkiem żywy wujek Damian (Marcin Pempuś), podróżuje przez wyobrażony, halucynacyjny zaświat – i tak oto spotykamy galerię warszawskich osobliwości: korpoludków, artystów, cwaniaków i ludzi zwykłych, nadążających lub nie, za aktualną czołówką wyścigu szczurów. Część postaci jest naszkicowana zaledwie kilkoma zdecydowanymi kreskami, w groteskowym skrócie, do czego dochodzi język, specjalność zakładu adaptowanej autorki, podsłuchany, wulgarny, wykoślawiony, pełen złośliwych obserwacji i cynicznych sentencji. Artyści nie mają litości do mnożących się portretów rozmaitych pustaków, środowisk właściwie już patologicznych, jak para celebrytów, gwiazda telewizyjnego serialu historycznego (Dominika Biernat) i niespełniony artystycznie reżyser, tłukący reklamy (Tomasz Nosiński) czy właścicielki modnej piekarni, ucieleśnienie „grania na siebie", w doli i niedoli (przezabawna Sonia Roszczuk). Szkice te dają pole do popisu, szarż z dziedziny aktorstwa charakterystycznego, pokazujących, jak świetny w te klocki potrafi być zespół Teatru Studio. A kiedy telenowelowate scenki mnożą się, i w pewnym momencie zaczynają się dłużyć, w drugiej połowie wieczoru zaczyna nabierać znaczenia tych kilka figur prawdziwych, które ma tutaj prawo do życia wewnętrznego, do swojego małego tragizmu. Wreszcie w końcówce spektaklu pojawia się postać Gabi, dziewczyny z dzielnicy (wielka Maja Pankiewicz). Jest to właściwa protagonistka tego dramatu, z której rozpaczą w sprzedanym świecie, i zdrowym dystansem wobec całej tej menażerii, łatwo się utożsamić. ©℗

TEATR STUDIO W WARSZAWIE
DOROTA MASŁOWSKA, „MAGICZNA RANA"
REŻYSERIA: RADOSŁAW MACIĄG
PREMIERA: 19 GRUDNIA 2025 R.

eprasa.pl 75b7358ee2

Pożegnanie z mistrzami



Piotr Gociek

Wajda, Kieślowski, Żuławski – do filmów całej tej trójki powracam coraz częściej, odwracając się od tego, co dziś w kinach



Senat ogłosił rok 2026 Rokiem Andrzeja Wajdy (na zdjęciu spogląda przez kamerę na planie „Człowieka z żelaza" obok operatora Edwarda Kłosińskiego)

FOT. RENATA PAJCHEL/EAST NEWS

Setna rocznica urodzin Andrzeja Wajdy (6 marca), 30. rocznica śmierci Krzysztofa Kieślowskiego (13 marca), 10. rocznica odejścia Andrzeja Żuławskiego (17 lutego) – w ostatnich miesiącach kumulacja rocznic dawała okazję do spojrzenia na polskie kino inaczej, niż wymusza to rytm pośpiesznie promowanych premier.

Wajda zgarnął największą część uwagi mediów, nie mogło być inaczej. Senat w maju 2025 r. ogłosił rok 2026 Rokiem Andrzeja Wajdy, droga do licznych obchodów ku czci została zatem otwarta. Najbardziej przykładają się do tego przejęte przez rząd PO (obecnie KO) media państwowe. Czemu skądinąd dziwić się nie można, bo oprócz zasług na polu sztuki filmowej miał Andrzej Wajda wielkie zasługi na polu wspierania opcji słusznej w walce z opcją niesłuszną. Symbolem tego zaangażowania były słynne słowa z kampanii prezydenckiej 2010 r., gdy jako członek komitetu honorowego wsparcia Bronisława Komorowskiego Wajda domagał się większej uwagi dla kandydata od TVP, argumentując: „My możemy mieć oczywiście przyjaciół w TVN, nas może wspierać i druga telewizja" (chodziło o Polsat).

MISTRZ, WAMPIR I LAWIRANT

Polityczne manewry Wajdy w czasach PRL i takie, a nie inne wybory polityczne w czasach III RP to temat na osobne rozważania, zostawmy je jednak w tle rozmyślań o kinie. Bo ta otrzymana zrządzeniem losu trójca artystycznych żywotów do przemyślenia przypomina nam o czasach zaskakująco szybko minionych: o czasach, kiedy polscy reżyserzy mieli światu coś ciekawego do powiedzenia i do pokazania. Dziś nie jest to już oczywiste.

Spójrzmy na najlepsze polskie filmy ubiegłego roku. Chwaliłem „Ministrantów" Piotra Domalewskiego (mimo kilku zastrzeżeń), bronię filmu „Franz Kafka" Agnieszki Holland, uważając go za bardzo ciekawy eksperyment. Debiutem roku okrzyknięto „Nie ma duchów w mieszkaniu na Dobrej" Emi Buchwald – też jestem na tak, ale dlatego, że widzę w nim cenny dokument stanu ducha generacji Z, a nie dlatego, że to wybitne dzieło sztuki filmowej. Wielkie kino? Nie tutaj, nie pod tą szerokością geograficzną. Zresztą kto miałby je robić? Z twórców osobnych, upartych i oryginalnych zostali nam tylko wspomniana Holland i Lech Majewski, którego jednak bardziej ciągnie (zawsze ciągnęło) w stronę wideo-artu niż typowej narracji filmowej.

Zestawienie „Wajda – Kieślowski – Żuławski" uważam za bardzo ciekawe w szerszym kontekście nie tylko dlatego, że pierwsi dwaj dali polskiej kinematografii tak wiele nominowanych do Oscara filmów, a ostatni stał się w świecie europejskich kinomanów postacią kultową. Dopełniają się, pozostając różni, pozostając wyjątkowi, poszukując w kinie zupełnie innych rzeczy.

Andrzej Wajda – mistrz, wampir i lawirant. W wywiadzie dla francuskiej telewizji udzielonym w latach 80. Andrzej Żuławski oceniał, że jest Wajda mistrzem w wyczuwaniu tego, gdzie aktualnie w PRL wytyczona jest granica

eprasa.pl 75b7358ee2

tego, co dozwolone. I w kręceniu filmów na tej granicy, ale bez jej przekroczenia. Bez wątpienia twórca „Ziemi obiecanej" pretendował też do miana inżynierów dusz ludzkich, aczkolwiek nie w szeregach budowniczych nowego ustroju (no, może na początku kariery), ale widząc swą rolę podobnie do tej, którą odgrywali polscy klasycy literatury najpierw pod zaborami w XIX w., a potem – już jako krytycy współczesności – w II RP. Wajda żywił wielką atencję wobec polskiej literatury, co zresztą widać po jego wyborach scenariuszowych, od Mickiewicza do Reymonta, od Żeromskiego do Iwaszkiewicza.

Wiele jego filmów zapadło nam w pamięć, ale nie tylko dlatego, że je Wajda obmyślił i nakręcił. Nie był bowiem twórcą filmowym o własnym, wyjątkowym charakterze pisma, rzekłbym, że bardziej go interesowało, co ma do powiedzenia, niż jak to powiedzieć na ekranie. Ale miał ogromny talent wyławiania do współpracy najlepszych z możliwych operatorów, aktorów, kompozytorów. I nosa do ważnych tematów. Pod tym względem można nawet powiedzieć, że był Wajda najbardziej hollywoodzkim z polskich reżyserów, choć nigdy nie pracował w Hollywood.

„Talenciarz pierwszej wody z wdziękiem ślicznej i dobrze urodzonej panienki" – kpił Kazimierz Kutz w swoim filmowym alfabecie „Klapsy i ścinki" (1999). Znał Wajdę dobrze, bo pracowali przecież razem przy „Pokoleniu" i „Kanale". „Ma niezrównane wyczucie koniunktury, zwłaszcza politycznej, i mody. Jest zawsze tam, gdzie być powinien – na europejskich zgiełkach i reprezentacyjnych targowiskach" – oceniał dalej Kutz. „Uważa, że wszyscy i wszystko powinno mu służyć, i nigdy nie przychodzi mu do głowy myśl, że coś może być niedopuszczalne lub niemoralne. Plagiat, cytat, nielojalność czy niedochowanie umowy – nie istnieją u niego. Jest to u niego tak autentyczne, że aż moralne. Wajda to geniusz od wysysania cudzych miodów – i tyle".

Kutz za Wajdą nie przepadał, ale jego krytyka jest zarazem hołdem – wybitnych artystów poznajemy po tym, że biorą bez pytania i czynią coś swoim, nowym, unikatowym, lepszym. I tak przecież jest z filmami Wajdy. To nie jakieś nadzwyczajne umiejętności reżyserskie poniosły „Pana Tadeusza" – tylko muzyka Wojciecha Kilara i słowa Mickiewicza. „Ziemia obiecana" nie byłaby arcydziełem, gdyby nie genialna obsada aktorska. Podobnie trafił z „Weselem", gdzie nawet aktorzy uważani (niesłusznie) za drugą ligę, jak Marek Perepeczko, tworzyli życiowe kreacje. „Brzezina", „Panny z Wilka" czy „Tatarak" zawdzięczają swą delikatność prozie Iwaszkiewicza. A gdy nie było za bardzo z czego soków wysysać – jak choćby w przypadku „Panny Nikt" na podstawie książki przereklamowanej i przeciętnej – to okazywało się, że i reżyser zostawał bezradny.

Doskonałym wglądem w to, jak funkcjonowała kreatywna machina w głowie Wajdy, są jego „Notesy" zawierające zapiski z lat 1942–2016. Czterotomowy zbiór, tysiące stron – książka wydana w ubiegłym roku przez Universitas jest ważniejsza od wszelkich uroczystości „ku czci" przygotowanych w roku wajdowskim. Tak, był Wajda artystycznym potworem, potworem fascynującym, bezlitośnie

REKLAMA



eprasa.pl 75b7358ee2

oceniającym innych, a zarazem wchłaniającym na skalę niespotykaną wszystko to, co uważał za ciekawe, inspirujące, ważne, przydatne do wykorzystania w przyszłych projektach. I to wyniosło go do wielkości.

CZY JEST COŚ WIĘCEJ?

Krzysztof Kieślowski zawsze więcej szczęścia miał do admiratorów i krytyków poza Polską. Nawet jego decyzję o porzuceniu kręcenia filmów (ogłoszoną w Cannes, po premierze filmu „Trzy kolory. Czerwony") obracano nad Wisłą przeciwko niemu. Że niby w głowie mu się przewróciło. Zazdroszczono mu, że na Zachodzie obwołują go nowym Bergmanem, szydzono, że prezentuje „metafizykę dla kucharek" (określenie Agnieszki Holland). A jednocześnie jest przykładem niezwykłej ewolucji artysty, który zaczynał od prób pokazania, jaki świat jest – w filmach dokumentalnych ze szkoły Kazimierza Karabasza – by skończyć pytaniem: „Czy jest coś więcej?".

W obszernej rozmowie, którą przeprowadziłem, jego przyjaciel i współpracownik, operator Jacek Petrycki, wskazuje na dwa punkty zwrotne u Kieślowskiego. Pierwszy to niedoceniany, trochę pęknięty formalnie film „Bez końca" (1984), chwila, kiedy twórca „Amatora" zaczyna rozumieć, że musi być coś więcej niż to, co nas otacza. Symbolika zaczyna wkraczać do jego filmów, sygnały nie z tego świata. I punkt drugi: „Dekalog". Jak mówi Petrycki, tym przedsięwzięciem Kieślowski wyszedł z PRL, a wszedł do ludzkiej duszy. O tym, jak niezwykła jest to pochwała, niech świadczy fakt, że przecież ten sam Petrycki początkowo „Dekalog" odrzucił, nie chciał przy nim pracować, zarzucając Kieślowskiemu, że w czasach ostrej walki z komuną zamiast filmów zaangażowanych chce robić opowiastki o facecie zamykającym się w szafie.

Spuścizna Kieślowskiego jest niezwykła i niestety coraz bardziej zapomniana. Kariera podwójnie przedwcześnie skończona (najpierw decyzją o porzuceniu kina, potem śmiercią w wieku zaledwie 55 lat). Jego filmy dokumentalne to wciąż dzieła wybitne – „Gadające głowy", „Z punktu widzenia nocnego portiera" i wiele innych. Wciąż wielkie wrażenie robi „Przypadek" (1981), o który kłócono się po premierze (opóźnionej przez cenzurę do roku 1987) i o który warto pokłócić się dziś. Reżyser Ryszard Bugajski wytykał Kieślowskiemu, że to nie ślepy los decyduje o naszych wyborach, że są to wybory moralne, których dokonujemy sami. Oczywiście ma rację. Ale rację ma też Kieślowski, bo – patrząc szerzej – to nie przypadek ostatecznie kształtuje życiorys bohatera filmu, ale otoczenie, w którym kształtuje się jego postawa. A tu już sprawa nie jest tak oczywista. Bo tak jak w życiu czasem przypadkowy wybór szkoły, pracy, która miała być na chwilę, a wyszła na dłużej, niespodziewana relacja miłosna, potrafią pchnąć człowieka w kierunku miejsca, w którym dojrzewał będzie inaczej.

Tak czy inaczej, szukał Kieślowski w innych rejonach niż Wajda. Ten ostatni chciał nauczać, ten pierwszy stawiał pytania, na które nie znał odpowiedzi. Ale bardzo poznać chciał – jak my wszyscy. Przejmującym, szczerym portretem Kieślowskiego, chyba najciekawszym pozostaje film dokumentalny „Krzysztof Kieślowski: I'm so-so…" (1995), nakręcony przez Krzysztofa Wierzbickiego, ze zdjęciami Jacka Petryckiego. To właściwie spowiedź twórcy, który jeszcze nie wie, że rok później nie będzie go już wśród żywych.

Historia, społeczne emocje, polityka – czyli Wajda. Pytania o prawdę i pytania o Pana Boga (pamiętacie okrzyk z „Przypadku": „Boże, bądź!") – czyli Kieślowski. A gdzie w tym trio sytuuje się Andrzej Żuławski? Kąśliwie (ale zauważmy, że i z zazdrością) mówił o nim niedawno na swoim kanale YT Krzysztof Zanussi: był tak przystojny, że nie musiał kręcić filmów.

Najbardziej z tego grona był artystą kina, którym bardziej targały instynkty i demony niż zimne kalkulacje i estetyczne wybory. A zarazem ta dzikość i uczuciowość są najsilniejszą stroną jego filmów. Jego „Błękitna nuta" (1990) jest najlepszym filmem o Chopinie, bo jest filmem o geniuszu, o namiętnościach, o mękach twórczych – i włożył w to wszystko Żuławski wiele od siebie. Debiutancka „Trzecia część nocy" (1971, debiut kinowy, bo wcześniej były realizacje telewizyjne) to wciąż jeden z najbardziej poruszających filmów o wojnie i niemieckiej okupacji. Unikatowy, bo brutalnie pokazujący potęgę, z jaką historia miażdży człowieka i jego wybory. Jest to też film wywiedziony z rodzinnych doświadczeń reżysera, o czym w fascynujący sposób opowiada w filmie dokumentalnym „Żuławski o Żuławskim" (2000).

UMYSŁ NIEPOSPOLITY

Andrzej Żuławski byłby na miejscu, pewnie prowadząc hulaszcze eskapady u boku Oscara Wilde'a albo Charles'a Baudelaire'a, zapisując wiersze na serwetkach, malując obrazy na drugich stronach plakatów zrywanych ze słupów ogłoszeniowych. Umysł niepospolity, zainteresowany wszystkim i wszędzie, po którym oprócz intrygujących filmów zostały świetne książki, mistrzowskie sylwy. Najbardziej z trójki Wajda – Kieślowski – Żuławski zasługuje na miano artysty kina, najbardziej też jest osobny i kabotyński. Ale talentu nikt mu nie odmówi. Zresztą nikomu z tej trójki odmówić go nie można – tyle że każdy był odmienny.

Uzupełniają się zatem na firmamencie polskiego kina te trzy jakże odmienne gwiazdy, które wspominać nam przyszło w ostatnich tygodniach. Uzupełniają także w spojrzeniu na Polskę po roku 1989.

Żuławski to outsider, który nie czuł się u siebie ani w PRL, który opuścił, ani na emigracji, ani po powrocie do III RP. W nowoczesności transformacji ustrojowej było mu nieswojo, a system nie znalazł dla niego miejsca, więc za czasów III RP już nigdy wielkiego filmu nie nakręcił. Został za to pisarzem i trochę celebrytą. Skandalistą nie musiał zostawać, bo zawsze nim był. Kieślowski nie krył swojego sceptycyzmu wobec kierunku, który obrała Polska czasu przemian, czemu dał wyraz w gorzkich słowach w filmie „I'm so-so…". Myślę, że sedno jego obaw oddaje termin, który zapożyczę z powieści Waltera Millera jr. „Kantyczka dla Leibowitza": epoka Wielkiego Sprostaczenia. Wajda okazał się beneficjentem i pupilem ustroju – tak jak poprzedniego, żadna niespodzianka.

Do filmów całej tej trójki powracam coraz częściej, bo te, które lansowane są jako polskie arcydzieła XXI w., zazwyczaj śmiertelnie mnie nudzą i rozczarowują. Być może w kinie jak w literaturze: wszystkie ważne rzeczy zostały już napisane, a teraz powstają już tylko przypisy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 75b7358ee2

Pokolenie nadziei

Młodzi ludzie z natury pełni są marzeń i wielkich ideałów. Chcą realizować swoje pasje, osiągać sukcesy i zmieniać świat. Niestety na ich drodze często pojawiają się przeszkody. Wśród nich pochodzenie z niezamożnej rodziny i niewielkiej miejscowości, które mogą wydawać się barierą w drodze do sukcesów naukowych i zawodowych. Od ponad 25 lat Fundacja „Dzieło Nowego Tysiąclecia" dokłada wszelkich starań, żeby ten czarny scenariusz nie miał miejsca w życiu młodych ludzi.

TYSIĄCE TWARZY

Jakub, młody wynalazca, choć jeszcze uczeń szkoły średniej, z południowej Polski. Amelia, marząca o medycynie i pilnie przygotowująca się do matury i studiów lekarskich. Kacper, dziś studiujący w Warszawie, rozwijający swoje medialne pasje, o których realizacji kiedyś mógł tylko pomarzyć (tak, to moja historia). To tylko 3 sylwetki stypendystów z tysięcy historii Fundacji „Dzieło Nowego Tysiąclecia".

WŁĄCZ DOBRO

W czasach, kiedy wszystko wydaje się być na wyciągnięcie ręki, a może dzisiaj bardziej na kilka uderzeń w ekran smartfonu, chciałoby się mieć jeszcze przycisk „Włącz dobro". Taki, który sprawi, że wokół świat będzie lepszy, a ludzie szczęśliwsi. Nie mam takiego narzędzia, ale znam drogę, która daje szczęście. To wędrówka, po której kroczy wielu młodych ludzi, dzięki obecności w ich życiu Fundacji „Dzieło Nowego Tysiąclecia". Gdy są na etapie szkoły podstawowej bądź średniej, zostają stypendystami. Rozpoczyna się przygoda życia. Otrzymują comiesięczne wsparcie finansowe (na bilety, zajęcia czy książki). Równolegle rozpoczyna się ważny proces formacji duchowej i ludzkiej. Pogłębiają swoją wiarę. Mierzą się z nauczaniem św. Jana Pawła II. Zadają sobie fundamentalne pytania. Gdy wyjeżdżają na obozy wakacyjne, organizowane przez Fundację, poznają ważne miejsca Polski, dzielą się świadectwem wiary i budują relacje, które zostają z nimi na długo.

DZIELIĆ SIĘ DOBREM

Na studiach ta przygoda się nie kończy. Zaczyna się jej nowy etap. Stypendyści mają więcej okazji do budowania relacji z Bogiem i ludźmi. Otrzymanym dobrem dzielą się z innymi. Dają dobre świadectwo w niełatwych środowiskach rówieśniczych. Przyznają się z dumą do wyśmiewanego św. Jana Pawła II. Podejmują się dzieł wolontariatu: pomagają w lekcjach młodszym kolegom czy spędzają czas z osobami starszymi w Domach Pomocy Społecznej.

OBUDŹ W NICH NADZIEJĘ

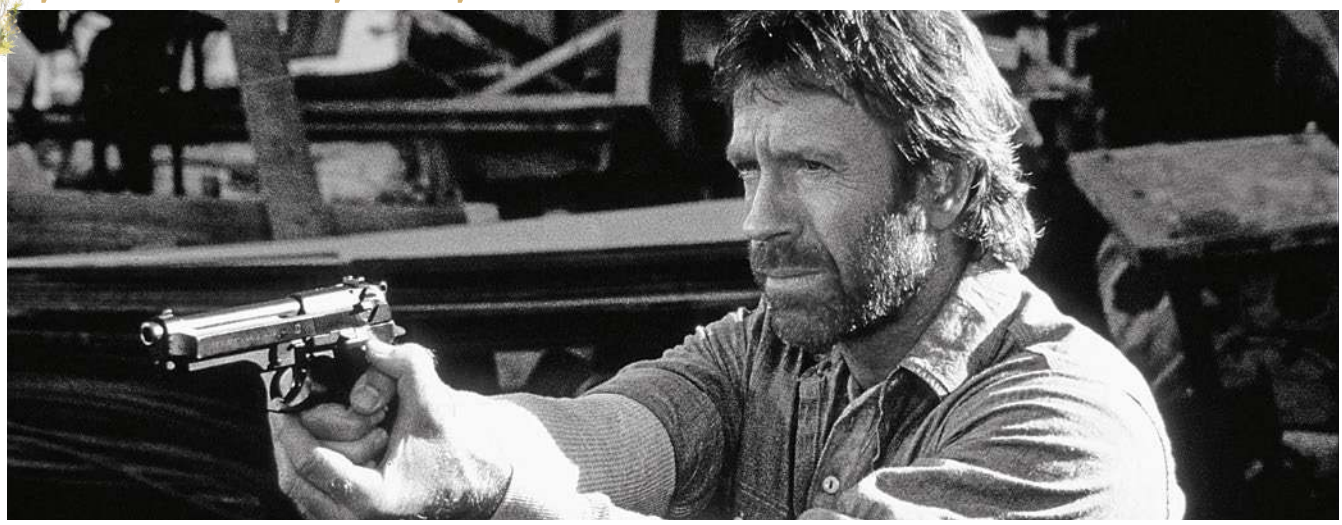
Fundacja „Dzieło Nowego Tysiąclecia" to żywy pomnik św. Jana Pawła II. Aby mógł dalej budzić nadzieję w tworzących go młodych ludziach, potrzebuje wsparcia. Jedną z jego form może być przekazanie 1,5% swojego podatku na rzecz Fundacji. Wystarczy w rocznym zeznaniu podatkowym wpisać odpowiedni numer KRS: **0000 150 776.** Więcej szczegółów na temat życia Fundacji i innych możliwości wsparcia jest można znaleźć na stronie **dzielo.pl**. W imieniu swoim i tysięcy stypendystów za każde słowo modlitwy, wiarę w naszą przyszłość i przekazane środki finansowe z serca dziękuję.

Kacper Kowalczyk



ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl 75b7358ee2



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

POŻEGNANIE:

Sam przeciw wszystkim

Ci, którzy uważają, że żarty typu: „Tylko Chuck Norris umie lecieć samolotem na wstecznym" wyczerpują temat, nie mają pojęcia, że jego poradnik „Sekret wewnętrznej mocy" jest – całkiem na serio – jedną z najbardziej poszukiwanych książek o samodoskonaleniu na polskim rynku. Ci, którzy podśmiewają się z jego postury i kwestionują umiejętności, nie wiedzą, że w 1967 r. tytułu mistrzowskiego w karate gratulował mu Bruce Lee. Ich przyjaźń przerodziła się w ich wspólny występ w filmie „Droga smoka" (1972). Ci, którzy lekceważą jego filmowe dokonania, zapominają, że po prostu znał swoje miejsce – wiedział, że nie jest materiałem na gwiazdę pokroju Schwarzeneggera. Ale w B-klasowym kinie akcji nie miał sobie równych.

Za młodu wychodził przed szkołą na ulice, by zbierać butelki i oddawać pieniądze mamie. Na jedzenie, bo w domu się nie przelewało. Gdy w rewanżu dostawał 10 centów na weekend, wydawał je na bilet do kina. Uwielbiał bohaterów granych przez takich aktorów jak John Wayne czy Roy Rogers. Bo byli szlachetni, prawi, dzielni. I takie postacie sam chciał odtwarzać na ekranie.

Żołnierz, sportowiec, instruktor sztuk walki (lekcje pobierał u niego Steve McQueen) był przede wszystkim człowiekiem dobrej roboty, który wszystko, co w życiu zdobył, zawdzięczał sobie. Dziękować wolał Bogu, a nie hollywoodzkim producentom, a w podróże ruszać z żoną zamiast z kumplami od kieliszka. Fan Reagana i Gingricha, przeciwnik Obamy i tzw. małżeństw homoseksualnych. Miłośnik broni. W Hollywood – ciało obce. Swą autobiografię zatytułował „Against All Odds" („Wbrew wszystkiemu", 2004).

Dla mojego pokolenia pozostanie legendą czasów kaset VHS, kiedy to w ponurych latach ostatniej dekady PRL oglądaliśmy wytarte kopie „Zaginionego w akcji", „Delta Force" czy „Inwazji na USA". Kinowa premiera filmu „Samotny wilk McQuade" z Chuckiem Norrisem pod koniec 1988 r. była jednym ze zwiastunów nadchodzącej odwilży i transformacji. Wcześniej Norris był nad Wisłą zakazany. Potem serial „Strażnik Teksasu" był jednym z hitów w pierwszych latach Polsatu, a filmy z jego udziałem ścigały się w wypożyczalniach kaset na popularność z filmami kuszącymi popisana Van Damme'a. Zmarł 19 marca 2026 r. Nie będzie zapomniany. Nie tylko dlatego, że „tylko Chuck Norris umie wyjść z domu dzisiaj i wrócić wczoraj". ©℗

GRA TYGODNIA: „RESIDENT EVIL REQUIEM"

★★★★★★

Jedna z najlepszych odsłon serii, w której spotyka się to, co najlepsze z tych części, które skręcały w stronę survival horrorów, jak i tych, w których więcej było strzelania i akcji. Bo „Requiem" to na swój sposób dwie gry w jednym. Dwoje bohaterów – stary znajomy Leon Kennedy i debiutantka Grace – dwa style rozgrywki, dwie perspektywy (FPP i TPP) do wyboru. Weterani docenią liczne nawiązania do poprzednich gier serii oraz klasyczny sposób budowy i odkrywania lokacji. Na plus także oprawa audiowizualna i optymalizacja, która pozwala cieszyć się grą także na Nintendo Switch 2.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

©℗ **Radosław Wojtas**

- **Gatunek: akcji, survival horror**
- **Platforma: PS5, XSX, NS2, PC**
- **Producent, wydawca PL: Capcom, Cenega**

eprasa.pl 75b7358ee2

Kot z Recife

KINO



★★★★★★

REŻ. KLEBER MENDONÇA FILHO
„TAJNY AGENT” („O AGENTE SECRETO”)
BRAZYLIA 2025

wyst. Wagner Moura, Maria Fernanda Cândido, Gabriel Leone

Takie rzeczy powinny być karane. Kleber Mendonça Filho jednym ruchem obrócił wniwecz wysiłek tysięcy ludzi zaangażowanych w tworzenie mitu słonecznej i beztroskiej Brazylii. Kraju żyjącego futbolem, sambą tudzież wyborami Miss Pupy. 160-minutowy „Tajny agent” to jeden z tych filmów, które chciałoby się odzobaczyć, ponieważ udowadnia, że w ziemskim edenie zalęgły się węże. Przyzwyczajeni do sielankowej wizji epoki Gierka i spodni z szerokimi nogawkami rzadko zdajemy sobie sprawę, że w Ameryce Południowej te czasy kojarzą się głównie z korupcją oraz przemocą.

Rekonstrukcja Recife AD 1977 udała się Filho nad wyraz. Wszyscy palą papierosy, w kinach straszą „Szczęki” i „Omen”, w telewizorach „Niewolnica Isaura”. Chcesz dłużej pogadać przez telefon, musisz mieć kieszeń pełną monet. Sprawiedliwości nie szukaj w sądach. Pogódź się z faktem, że bogatym wolno więcej, a najgorszymi kanaliami są stróże prawa i porządku. Doświadczeni i rozsądni żurnaliści o trudnych sprawach nie piszą. Malkontentom przylepia się łatkę komunistów. Podpadłeś? Musisz zniknąć, bo inaczej oni znikną ciebie. Tymczasem wkoło jest wesoło. Trwa karnawał, czyli narodowe bachanalia. Brazylia przypomina kota o janusowym obliczu, który plącze się w domostwie pani Sebastiany. Przyciąga uwagę, ale trudno spojrzeć jej w oczy.

„Tajny agent” jest ambiwalentny również w formie. Konwencję telenoweli przełamuje czarnym humorem, z objęć politycznego dreszczowca ucieka w groteskę. Filho igra sobie z oczekiwaniami publiczności. Mnoży wątki, potem je porzuca. Gdy spodziewasz się, że akcja przyspieszy, ona perfidnie zwalnia. Nawet główny bohater w pewnym momencie zostanie przez reżysera scenarzystę potraktowany po macoszemu. Puenta może wydać się ironiczna, lecz akurat polski widz powinien ją przyjąć ze zrozumieniem. Od ataku Włochatej Nogi minęło pół wieku, w dotarciu do prawdy nic (oprócz RODO) już nie przeszkadza. Problem w tym, że przeszłość jest martwa, a życie toczy się dalej. Dzisiejsi Brazylijczycy też mają kogo kochać i nienawidzić. Warto dodać, że w „Tajnym agencie” ostatni raz pojawił się przed kamerą Udo Kier – aktor o rentgenowskim spojrzeniu. ©℗ ***Wiesław Chełminiak***

MAGICZNE POWIŚLE

Nadwrażliwa generacja Z nie zmieni świata, bo za często gapi się w lustro. Jest to na swój sposób urocze, w dodatku pasuje do światowych trendów. Pełnometrażowy debiut Emi Buchwald ma dobrą prasę i passę, choć po prawdzie z jego bohaterami utożsamiać się trudno. Czworo rodzeństwa tworzy wspólnotę, z której matka i ojciec są wykluczeni. Ich rola ogranicza się do sponsoringu. Siłą rzeczy problemy Jany, Franka, Nastki i Benka mają podłoże nie finansowe, lecz egzystencjalne. Rozklejają się na zmianę. Gdy jedno wpada w dołek, pozostała trójka mniej lub bardziej ochoczo przybywa z odsieczą. W tytułowym, nawiedzonym domu grasuje zaś Dusiołek. Nie ten leśmianowski, tylko z obrazu romantycznego Szwajcara. Füssli wyprzedził Freuda, może historia o warszawskich dzieciakach też zwiastuje coś znacznie poważniejszego? ©℗



KINO

★★★★★★

REŻ. EMI BUCHWALD
„NIE MA DUCHÓW W MIESZKANIU NA DOBREJ”
POLSKA 2025

wyst. Bartłomiej Deklewa, Karolina Rzepa, Izabella Dudziak



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Humanistyczny modernizm

Związanie architektury z człowiekiem, dla którego jest przeznaczona, można by nazwać humanizmem naszej sztuki” – rozumował Maciej Nowicki, polski architekt, który wraz z żoną Stanisławą działał między Europą a Stanami Zjednoczonymi. On w swoim krótkim, zakończonym tragicznie w katastrofie lotniczej życiu współtworzył z najlepszymi architektami swojej epoki prestiżowe projekty, takie jak siedziba główna Organizacji Narodów Zjednoczonych w Nowym Jorku, nowe miasto Czandigarh w Indiach. Ona była utalentowaną graficzką i projektantką, pierwszą w historii USA kobietą, która zdobyła profesurę z architektury.



FOT. JERZY WYPYCH

Wystawa „Humanistyczny modernizm. Maciej i Stanisława Nowiccy” pierwszą odsłonę miała w siedzibie ONZ w Nowym Jorku, prezentowano ją także w Warszawie. Jej wrocławska odsłona wzbogacona jest m.in. o szeroką kolekcję oryginalnych szkiców i projektów ze zbiorów Muzeum Architektury we Wrocławiu, Muzeum Warszawy oraz kolekcji rodzinnych. ©℗

GDZIE? ***Muzeum Architektury we Wrocławiu***
KIEDY? ***do 14 czerwca***

eprasa.pl 75b7358ee2



MOJA PÓŁKA

Kryzys za progiem

KRZYSZTOF MASŁOŃ

W marcu 1929 r. ówczesny polski premier Kazimierz Bartel, odnosząc się do niepokojów o stan gospodarki, orzekł, że „idąca wiosna przyniesie potrzebne odprężenie w […] gałęziach produkcji sparaliżowanych dotąd jeszcze warunkami kończącej się wyjątkowo surowej zimy" i zapewnił, że „ze spokojem przeżywać będzie można każdy dzień i oczekiwać następnego". Słowem, miało być super, prawie tak samo jak jesienią roku 2024, kiedy to inny prezes Rady Ministrów, lepiej znany czytelnikom „Do Rzeczy", Donald Tusk, stwierdził, że „nie ma powodów do paniki", a „prognozy nie są przesadnie alarmujące". Bartel był o tyle bardziej od Tuska ostrożny w swoich optymistycznych przewidywaniach, że spodziewany okres szczęśliwości uzależniał jednak od tego, czy „nie wejdą w grę czynniki nieznane i nieprzewidywalne". A te akurat – któż by się spodziewał! – weszły!

Oto 24 października 1929 r., w dzień nazwany na pamiątkę tego, co przyniósł, „czarnym czwartkiem", załamały się kursy na nowojorskiej giełdzie, a następnie w kolejny „czarny" dzień, wtorek 29 października, na Wall Street odnotowano jeszcze większe spadki. Firmy bankrutowały jedna za drugą, wyprzedawano aktywa, rosło bezrobocie, obroty w handlu zagranicznym uległy załamaniu, a ceny błyskawicznie spadały. „Krach – czytamy w książce Kamila Piskały »Zredukowani« – nie oszczędził żadnego europejskiego państwa z wyjątkiem Związku Sowieckiego, którego gospodarka funkcjonowała w oparciu o inną logikę i była powiązana ze światem kapitalistycznym w sposób ograniczony oraz reglamentowany".

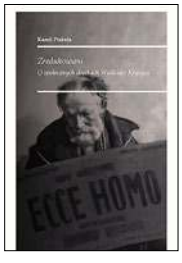
Jeśli chodzi o II Rzeczpospolitą, to liczby nie mówią wszystkiego, ale trudno się bez nich obyć. Gdyby przed drugą wojną światową posługiwano się wskaźnikiem PKB, to porównując rok 1928 z 1933, spadek wyniósłby 22 proc., a w przeliczeniu na jednego mieszkańca 26 proc. W przemyśle najgorzej działo się w roku 1932, kiedy produkcja była niższa o 36–46 proc. względem ostatniego roku pomyślnej koniunktury. Te liczby przekładały się, niestety, na tak drastyczne obniżenie poziomu życia Polaków, że trudno się dziwić skądinąd trudnej do zweryfikowania tezie Marcina Zaremby, że „gdyby nie kataklizm drugiej wojny światowej, być może najbardziej traumatycznym, najgłębiej zapisanym w pamięci polskiego społeczeństwa doświadczeniem XX w. byłby właśnie Wielki Kryzys".

Ten właśnie pisany dużą literą kryzys jest tematem książki Kamila Piskały, będącej swoistą przeciwwagą choćby „Sztafety" Melchiora Wańkowicza, a i – trudno zaprzeczyć – dzisiejszej oceny II Rzeczypospolitej widzianej głównie poprzez pryzmat tworzenia COP, budowy Gdyni, powstawania takich osiedli jak warszawski WSM na Żoliborzu, gdy tymczasem – dobitnie przedstawia swoje racje autor „Zredukowanych" – przedwojenna Polska była krajem biednym. A w dobie kryzysu ludzie popadali w nędzę.

Piskała sięga po poruszające dokumenty i świadectwa. Oto budowlaniec z Poznania deklaruje: „Ofiarowuję swoją pracę za jedną czwartą dawnego wynagrodzenia". Pozbawiony pracy, innymi słowy „zredukowany" łódzki włókniarz zabiega o wsparcie: „Komitet dla najbiedniejszych. Postanowiłem napisać prośbę o jakąkolwiek pomoc. Choćby trochę opału, obiady […]. Po dziesięciu dniach przychodzi kontroler. Pyta się jakoś dziwnie. To kanapy pan nie ma. Nie, sprzedałem – odpowiadam. A tremo, biżuteria, szafa, może pan to wyniósł? Ile dzieci? Nie mam. Żona pracuje? Tak, dwa dni w tygodniu. Proszę pana, jak tu wyżyć za 9 zł tygodniowo – pytam się. Opowiada, że nie wie, nie ma pojęcia. Każe przyjść do biura na drugi dzień. Poszedłem. Kierownik odpowiedział odmownie. Panu żadna zapomoga nie przysługuje, ponieważ żona pańska pracuje dwa dni i nie macie dzieci. Nie mamy dzieci, to prawda, ale ja pragnę żyć".

Miała miejsce kartelizacja właściwie każdej produkcji (powstały np. Biuro Sprzedaży Srebrnych Łańcuszków i Konwencja Produkcji i Sprzedaży Torebek Papierowych), na Śląsku na chleb zarabiano w biedaszybach, a na wsi – to nie wyłącznie antysanacyjna propaganda z lat PRL – zdarzało się, że zapałki kupowano na sztuki (cztery za grosz). W tej sytuacji aktywizowali się komuniści, np. na Białostocczyźnie, gdzie przychody z hektara spadły w porównaniu z okresem przedkryzysowym o 60 proc. Wyzyskiwaczy chłopi widzieli w kartelowych dygnitarzach i Żydach.

Przesada? Na pewno jest to obraz jednostronny, ale też wielka szkoda, że tak długo zwlekały władze z podjęciem radykalnych kroków w polityce gospodarczej i walutowej. Stało się to dopiero w 1935 r. za sprawą nowego ministra skarbu, Eugeniusza Kwiatkowskiego. Z tym że na zmiany na lepsze było już mało czasu, jako że we wrześniu roku 1939 r. stało się to, co się stało. Choć w latach 1935–1936 wydatki na armię pochłaniały już prawie 40 proc. całego budżetu. ©℗



★★★★★★
KAMIL PISKAŁA „ZREDUKOWANI. O SPOŁECZNYCH SKUTKACH WIELKIEGO KRYZYSU" MUZEUM HISTORII POLSKI, WARSZAWA 2025

eprasa.pl 75b7358ee2





PIOTR GOCIEK

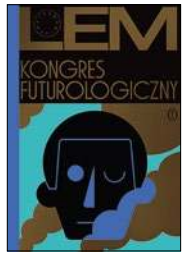
POCZYTANKI

Lem, czyli kanon

Zdarzyło się podczas jednego z konwentów miłośników SF, bodaj na spotkaniu z redakcją miesięcznika „Fantastyka", że z sali padło pytanie: Którą książkę Stanisława Lema uważacie za najlepszą? Lech Jęczmyk, Maciej Parowski i Marek Oramus niemal jednocześnie odpowiedzieli: „Kongres futurologiczny". Wydawnictwo Literackie uruchomiło niedawno nową serię wznowień Lema opatrzoną hasłem „Kanon". „Kongres futurologiczny" został w niej wydany, podobnie jak „Solaris", a ja przypominam o tym wszystkim, bośmy kilka dni temu (27 marca) obchodzili 20. rocznicę jego śmierci.

Dołączam się do opisanego wcześniej chóru: nie wiem, czy „Kongres…" jest najlepszym dziełem Lema, ale na pewno moim ulubionym. W dodatku z każdym kolejnym dziesięcioleciem nabiera aktualności, co zdarza się jedynie dziełom, które zasłużenie nazywamy klasyką. Za każdym razem, gdy wracam do jego lektury, uśmiecham się z podziwem nie tylko nad językową zręcznością pisarza, lecz także nad jego szczodrością. Rzuca pomysłami, jakby wyjmował je z sakiewki, która nigdy się nie opróżni. Gwiezdny podróżnik Ijon Tichy tym razem wybiera się nie w daleki kosmos, lecz do luksusowego hotelu w Costaricanie, gdzie bierze udział w Ósmym Światowym Kongresie Futurologicznym, podczas którego uczeni radzić mają, jak uratować świat. A ratunek jest pilnie potrzebny, bo przeludnioną Ziemią wstrząsają konflikty polityczne, gospodarcze i społeczne, środowisko jest coraz bardziej zanieczyszczone i ogólnie rzecz biorąc, nasza ojczysta planeta przypomina cyrk skrzyżowany z domem wariatów. Tyle że domy wariatów zwykle wolne są od zamachów terrorystycznych.

Potem pandemonium się pogłębia, bo do tłumienia zamieszek użyte zostają silne halucynogeny. Lem każe swemu bohaterowi przedzierać się przez kolejne warstwy rzeczywistości, bo tracimy orientację: co jest prawdą, a co jedynie sobie Ijon Tichy wyhalucynował? „Kongres futurologiczny" okazuje się jednocześnie satyrą, antyutopią, utopią oraz fantazją fantomatyczną. Sam jestem ciekaw, czy pisząc tę minipowieść, znał już Lem „Ubika" Philipa K. Dicka. Nie wiem, czy jest to dobry punkt do tego, by zacząć dorobek Lema poznawać, jeśli ktoś go dotąd nie znał; na pewno jest to doskonały punkt, by do niego wrócić. ©℗

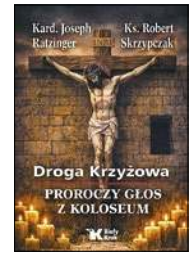


★★★★★★

STANISŁAW LEM „KONGRES FUTUROLOGICZNY" WYDAWNICTWO LITERACKIE 2025

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Rozważania kard. Josepha Ratzingera wygłoszone w Wielki Piątek w roku 2005, gdy zastępował ciężko chorego Jana Pawła II podczas nabożeństwa drogi krzyżowej w Koloseum. Plus komentarz ks. Roberta Skrzypczaka.



KARD. JOSEPH RATZINGER „DROGA KRZYŻOWA" BIAŁY KRUK

„Jak można żyć bez praktykowania Bożej obecności?" – pyta w jednym z listów brat Wawrzyniec. „Gdy z Nim przebywam, nie boję się niczego". Czas, by jego duchowość została na nowo odkryta" – pisze we wstępie Wojciech Ciak OCD.



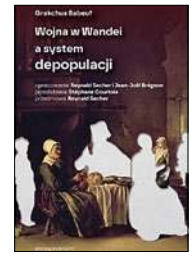
BRAT WAWRZYNIEC OD ZMARTWYCHWSTANIA „O PRAKTYKOWANIU BOŻEJ OBECNOŚCI" ESPRIT

Szósty tom bestsellerowej serii omawiającej znaczenia kryjące się w dziełach mistrzów malarstwa. W niezwykłą podróż z klasykami zapraszają, i ze znawstwem ją objaśniają, Przemysław Barszcz oraz Joanna Łenyk-Barszcz.



AUTORZY RÓŻNI „ARCYDZIEŁA SZTUKI I TAJEMNICA ŚMIERCI" ZONA ZERO

Zdławienie powstania w Wandei, buntu przeciw francuskiej rewolucji, było ludobójstwem i pamięciobójstwem – piszą francuscy historycy, którzy zapis Babeufa z epoki komentują i ukazują na tle późniejszych zbrodni komunizmu. ***Piotr Gociek***



GRAKCHUS BABEUF „WOJNA W WANDEI A SYSTEM DEPOPULACJI" ANDEGAVENUM

KOMIKS TYGODNIA:
SŁOWO. I OBRAZ

Wznowienie monumentalnej graficznej adaptacji Pisma Świętego – niemal 900 stron narysowanych przez Sergia Cariella, twórcę współpracującego z Marvelem i DC, a znanego polskiemu czytelnikowi także z komiksów „Jezus" oraz „Historia Bożego Narodzenia". Najwierniejsza w dziejach komiksowa wersja Biblii. Imprimatur Kurii Metropolitalnej w Krakowie.

Piotr Gociek



SERGIO CARIELLO „BIBLIA. KOMIKS" WYDAWNICTWO AA 2026

eprasa.pl 75b7358ee2



Xi Jinping (w środku) podczas XIV Narodowego Komitetu Ludowej Politycznej Konferencji Konsultatywnej Chin, 4 marca 2026 r. FOT. YAN YAN/XINHUA NEWS AGENCY/FORUM

Komunizm Chin Xi Jinpinga



Adam Wielomski

Chiny całkowicie odrzuciły ideologię marksistowską i stały się państwem nacjonalistycznym. Mao jest dziś bardziej symbolem walki o potęgę Państwa Środka niż komunistycznym przywódcą

Chińska myśl polityczna to dla polskiego czytelnika autentyczna ziemia nieznana. Bariera językowa jest w przypadku myśli Dalekiego Wschodu tak wielka, że zwykle nie tylko nie znamy tamtejszych koncepcji, lecz także nazwisk ich autorów. Zastępujemy tę wiedzę szczegółową ogólnikowymi stwierdzeniami. Jednym z nich jest popularny na polskiej prawicy charakterystyczny pogląd, że Chiny są państwem komunistycznym i marksistowskim. Chciałbym się dziś nad tym wyobrażeniem pochylić.

MARKSIZM NASKÓRKOWY

W rzeczywistości Chińska Republika Ludowa już dawno przestała być państwem komunistycznym, acz formalnie nadal jest „ludowa" i pełna portretów Marksa, Lenina i Mao. Krajem rządzi Komunistyczna Partia Chin (KPCh), utrzymująca archaiczną komunistyczną frazeologię o budowie „socjalizmu". Kiedy dostałem książkę stanowiącą anglojęzyczny zbiór przemówień Xi Jinpinga „Chińska modernizacja" („Chinese modernization"), wydaną w 2024 r. przez Partyjny Instytut Historii i Literatury Centralnego Komitetu Komunistycznej Partii Komunistycznej (sic!), to w pierwszej chwili miałem wrażenie, że czytam dzieło wydane w Polsce za Władysława Gomułki. Wrażenie to wywołał specyficzny marksistowski język tej publikacji. Ale to wszystko pozór, dziedzictwo epoki maoistycznej, z którym nigdy formalnie nie zerwano. Chiny nie odrzuciły wprost marksizmu, wybierając dość konserwatywny model zmiany ewolucyjnej przy zachowaniu symboli z poprzedniej epoki. Gospodarka, polityka i światopogląd współczesnych Chin nie mają już nic wspólnego z komunizmem. Porzucenie marksizmu zaczęło się od zmiany polityki ekonomicznej z centralnego planowania na wolnorynkową, acz z kontrolną rolą państwa, które nie tylko tworzy ramy prawne działalności gospodarczej, lecz także sprawuje nadzór nad wielkim kapitałem.

Gdy na przełomie lat 2012 i 2013 Xi Jinping przejął władzę nad partią ko-

eprasa.pl 75b7358ee2



munistyczną i, w konsekwencji, funkcję głowy państwa, KPCh rozrywana była przez trzy sprzeczne tendencje. Na lewicy partyjnej (chiń. Xin zuopai) funkcjonowali zwolennicy demokratyzacji kraju, przerwanej przez masakrę opozycjonistów na Placu Tiananmen (1989). Lewica partyjna chciała połączyć demokratyzację ustroju z dalszymi reformami rynkowymi, westernizacją kraju i narodu. Jakkolwiek nie głoszono tego wprost, to dalekosiężnym celem było rozmontowanie istniejącego systemu politycznego i zastąpienie go wielopartyjnym i demokratycznym, na wzór zachodni. Frakcja ta przypomina mi funkcjonujący w PRL KOR, czyli demokratyczną lewicę, tyle że w chińskim przypadku grupa ta utrzymywała się w składzie partii komunistycznej i nie przeszła do opozycji.

Na drugim skrzydle mieliśmy partyjny beton, tzw. autorytarystów (chiń. Xin quanweizhuyi) dążących do zachowania przez KPCh pełni władzy, włącznie z utrzymaniem maoistycznej ideologii. Jednak we frakcji tej maoizm postrzegany już był nie jako ideologia klasowa i marksistowska, lecz jako chińska doktryna nacjonalistyczna, antyzachodnia, dowodząca, że Państwo Środka nie może pójść drogą westernizacji i naśladownictwa. Siermiężne hasła socjalistyczne schodziły zatem na drugi plan, zresztą musiały schodzić, od kiedy partia otworzyła się na wolny rynek i państwo zaczęło szybko się bogacić. Maoizm stawał się tym samym ideologią antyzachodnią, skierowaną nie przeciw kapitalizmowi w ogóle, lecz przeciwko zachodniemu kapitalizmowi.

Trzecią frakcję stanowili kulturowi konserwatyści (chiń. Xin rujia sixiang), dążący do jawnego odrzucenia ideologii marksistowskiej i powrotu do tradycjonalistycznej chińskiej kultury polityczno-prawnej opartej na Konfucjuszu i tzw. legizmie. Ten nurt był jawnie antymarksistowski, głosząc starą naukę Konfucjusza o zachowaniu harmonii w życiu publicznym i prywatnym. Przypomnijmy, że przez ortodoksję maoistyczną konfucjanizm uznawany był za filozofię reakcyjną, gdyż harmonia stanowiła zaprzeczenie rewolucyjnych metod walki i proletariackiego dynamizmu. Tradycjonaliści odwoływali się też do nauk tzw. legistów (proszę nie mylić z legizmem Jeana Bodina!), nauczających, że władzę powinna pełnić profesjonalna biurokracja rządząca zgodnie z prawem, co miało zmniejszyć uznaniowość urzędniczą, skutkującą korupcją. Legiści głosili centralizm władzy i stali na antypodach demokratyzacji. Byli technokratami, co czyniło ich niepodatnymi na ideologizację polityki w duchu marksistowskim lub liberalnym.

Z typologii tej wynika, że poza zapatrzoną w zachodnie wzorce lewicą partyjną pozostałe nurty chętnie podkreślały chińską cywilizacyjną wyjątkowość. Równocześnie westernizację przedstawiały w negatywnym świetle, kojarząc ją z XIX-wiecznym „stuleciem upokorzenia" (chiń. Bainian guochi), gdy Chiny stały się pionkiem w grze mocarstw kolonialnych, raz za razem były upokarzane przez Europejczyków i Amerykanów, zbrojnie wymuszano na nich import opium (tzw. wojny opiumowe), w wyniku czego ok. 10 proc. społeczeństwa popadło w narkomanię, doświadczały rasizmu i permanentnej pogardy, utraciły Hongkong, a narodowe powstania (np. tajpingów i bokserów) były brutalnie tłumione przez zachodnie wyprawy ekspedycyjne. To historyczne doświadczenie jest nadal przeżywane w świadomości zbiorowej, co wytwarza (zdrową) obsesję obrony narodowej suwerenności przed światem zachodnim.

Drugim ciągle rozpamiętywanym wrogiem jest Japonia i popełnione przez Japończyków zbrodnie wojenne w latach 30. i 40. XX w., na czele z kilkutygodniową masakrą mieszkańców Nankinu. Biorąc pod uwagę, że Tokio jest obecnie sojusznikiem USA, „stulecie upokorzenia" i wspomnienie japońskiej okupacji zlewają się w jeden atak obcych ludów na Chiny.

ŚWIATOPOGLĄD XI JINPINGA

Przejmujący na przełomie lat 2012 i 2013 władzę Xi Jinping był przeciwnikiem partyjnej lewicy, demokratyzacji i westernizacji, godząc ze sobą partyjne skrzydła autorytarystów i tradycjonalistów. Doszedł do władzy z programem zachowania przez KPCh absolutnego monopolu na władzę polityczną, przy jednoczesnym stopniowym eliminowaniu marksizmu na rzecz neokonfucjanizmu i neolegizmu. Obydwie frakcje połączył też hasłami o narodowej wyjątkowości i zapowiedziami marginalizacji traumy po „stuleciu upokorzenia" poprzez budowę mocarstwa o randze światowej. Nową doktrynę zawarł w dwóch pojęciach: „odmłodzenia" Chin (chiń. Zonghua minzu weida fuxing) i spełnienia się „chińskiego marzenia" o narodowym dobrobycie i potędze (chiń. Zhongguo meng).

W stosunkach międzynarodowych odrzucenie marksizmu na rzecz kategorii narodowych widać w toczących się w Państwie Środka dyskusjach, czy ekonomia jest narzędziem polityki i służy budowie własnej potęgi wobec innych graczy czy też polityka winna być podporządkowana ekonomii? Nauka marksistowska o polityce dawała tutaj zawsze odpowiedź jednoznaczną: skoro ekonomia jest „bazą", a polityka „nadbudową" do materialnej bazy, to polityka winna służyć rozwojowi gospodarczemu i powiększaniu produkcji. Tymczasem w chińskich sferach rządowych i naukowych artykułowane jest stanowisko przeciwne, zakładające, że gospodarcza wymiana ze światem znajduje się w służbie polityki zagranicznej państwa. Słowem, gospodarka staje się narzędziem polityki państwa narodowego. W aspekcie nacjonalistycznym, a nie antyreligijnego nastawienia charakterystycznego dla marksistów należy spojrzeć na politykę Chin wobec miejscowych katolików. Władze przykładają dużą wagę do podtrzymywania schizmy tutejszego Kościoła wobec Watykanu, co jest jednym z elementów chinizacji miejscowych chrześcijan i oddzielenia ich od zagranicznego i w dodatku zachodniego ośrodka wpływu. Państwo marksistowskie zwalczałoby religię jako taką, a nie międzynarodowy charakter katolicyzmu.

Biorąc pod uwagę wyliczone powyżej elementy, zgadzam się z upowszechniającym się w literaturze naukowej poglądem, że Xi Jinping nie jest ani komunistą, ani marksistą, lecz nowoczesnym chińskim nacjonalistą o skłonnościach autorytarnych i konserwatywnych. W głoszonej przezeń wizji Chin rewolucyjnego Marksa zastąpił starożytny konserwatysta Konfucjusz, walkę klas – idea jedności narodu próbującego zostać światową potęgą, a tradycję marksistowską – przepracowywanie narodowych traum historycznych. Gdy dla marksistów tzw. podmiotem historycznym

eprasa.pl 75b7358ee2

(siłą napędzającą dzieje) jest rewolucyjna klasa społeczna, to dla Xi Jinpinga jest nią chiński wieloetniczny naród, walczący o swoje miejsce z zachodnimi „kapitalistami" i „imperialistami". Prawdę mówiąc, przypomina mi to „italianizację marksizmu" przeprowadzoną przez Benita Mussoliniego i jego zwolenników, gdy pierwsi twórcy torujący drogę faszyzmowi ogłosili, że Włosi są „narodem proletariackim" i walczą z „narodami kapitalistycznymi", czyli Francuzami i Brytyjczykami. Było to podobne przekształcenie ideologii klasowej w doktrynę nacjonalistyczną.

Xi Jinping ogłosił, że chińska potęga winna zostać oparta na kilku zasadach: 1) zjednoczenie wszystkich ziem chińskich z macierzą (Hongkong, Macao i Tajwan) przy jednoczesnej obronie państwa przed ruchami secesjonistycznymi w Tybecie i mniejszości islamskiej w części północno-wschodniej kraju; 2) szerokie wyjście na Morze Południowochińskie, a za jego pomocą na Pacyfik i Ocean Indyjski; 3) przejście ze świata jednobiegunowego do wielobiegunowego, gdzie o sprawach całej planety decydowałyby ciała „arystokratyczne", czyli Rada Bezpieczeństwa ONZ, G7 i G20 oraz ewentualne podobne ciała powstałe w przyszłości.

Równocześnie cechą charakterystyczną chińskiej koncepcji stosunków międzynarodowych jest chęć osiągnięcia wyżej wymienionych celów i stworzenia świata wielobiegunowego w oparciu o Kartę Narodów Zjednoczonych, odbudowę nadwątlonego autorytetu ONZ, wolny handel światowy i współpracę z rozmaitymi państwami. Chiny raz za razem odrzucają politykę międzynarodową realizowaną za pomocą gróźb i wojen, jak to ustawicznie czynią Amerykanie, i właśnie dlatego, że jest to polityka cechująca Waszyngton. Szczególne znaczenie ma tutaj głoszona odbudowa autorytetu ONZ, podnoszona przez tutejszych dyplomatów i szefa MSZ Wanga Yi'a.

CHIŃSKI PACYFIZM

Można się spierać, dlaczego Chiny są pacyfistyczne, pomimo że ich potęga ekonomiczna, polityczna i militarna szybko rośnie? Spotykamy kilka odpowiedzi na to pytanie: 1) wynika to z konfucjańskiej tradycji ceniącej harmonię, czyli z esencji cywilizacji chińskiej; 2) postawa ta ma mocne przyczyny materialne, ponieważ Pekin militarnie nadal jest jeszcze słabszy od Stanów Zjednoczonych, które zbroją się od dziesięcioleci; 3) Chiny wcale nie odstają od potęgi USA, ewentualnie szybko mogłyby je dogonić militarnie, lecz dzieje się tak z powodu XIX-wiecznych upokorzeń ze strony mocarstw zachodnich i wciąż nie mogą uwierzyć we własne siły; 4) Chiny z kraju neokolonialnego dopiero co przekształciły się w państwo czerpiące krociowe zyski dzięki globalizacji ekonomicznej, a równocześnie ich rynek wewnętrzny wciąż jest zbyt mały i rozwijają się dzięki eksportowi, gdy polityka sankcji, siły i wojny utrudniają handel. Osobiście przypuszczam, że wszystkie te czynniki razem powodują niechęć Pekinu do angażowania się w sprawy świata i prowadzenia wojen. O ile w zachodniej literaturze zdecydowanie dominuje odpowiedź pierwsza, wskazująca na aspekty cywilizacyjne, o tyle w chińskiej literaturze naukowej odpowiedzi pierwsza i trzecia występują obok siebie.

Chińczycy słusznie widzą w polityce amerykańskiej słabo zamaskowany rasizm i przekonanie o własnej wyższości nad ludźmi i narodami z innych kultur

Popierając globalny wolny rynek, Pekin nie akceptuje jednak globalizacji i ułomnego neoliberalnego handlu światowego mającego miejsce pod politycznym i militarnym parasolem USA i z licznymi profitami dla Waszyngtonu wynikającymi z pozycji hegemonicznej i praktycznego monopolu na stosowanie przemocy wobec innych państw. Globalizmowi ekonomicznemu nie może towarzyszyć globalistyczna ideologia jednego rządu czy zarządu światowego (w rozumieniu Klausa Schwaba), lecz polityczna wielobiegunowość, gdzie koncert mocarstw dba o pokój na świecie. W takim porządku międzynarodowym ani Amerykanie, ani Zachód nikomu niczego nie będą mogli samowolnie i bezprawnie narzucić, cynicznie twierdząc, że takie są obiektywne „reguły". Chińczycy są świadomi, że ludzie zachodni rasy białej, klasyczni amerykańscy WASP-owie, wciąż w głębi duszy nimi gardzą, co wynika z mieszanki obaw przed rosnącą potęgą Chin i stereotypów rasowych z epoki kolonialnej, ze „stulecia upokorzenia". Pekin podobną trudność natrafia przy chęci współpracy gospodarczej z Unią Europejską. W Europie Zachodniej ma miejsce antybiznesowe podporządkowanie polityki zagranicznej i współpracy ekonomicznej ideologii szerzenia demokracji, praworządności i praw człowieka, gdzie każdego, kto żyje w innym systemie uważa się za gorszego człowieka, dzikusa, którego Zachód musi nauczyć swoich wartości i pouczać, jak powinien żyć lub jaki posiadać system polityczny. Chiny absolutnie nie zgadzają się na przyjęcie roli ucznia Komisji Europejskiej, gdy dla zideologizowanej dyplomacji europejskiej są to podstawowe kategorie. Chińczycy słusznie widzą w tej postawie, podobnie jak w polityce amerykańskiej, słabo zamaskowany rasizm i przekonanie o własnej wyższości nad ludźmi i narodami z innych kultur, wyznającymi inne wartości podstawowe i inaczej postrzegającymi relacje jednostki ze wspólnotą instytucjonalizowaną w postaci państwa.

Reasumując te rozważania, dochodzę do wniosku, że Chiny całkowicie odrzuciły ideologię marksistowską, stając się państwem nacjonalistycznym, gdzie Mao jest dziś bardziej symbolem walki o potęgę Państwa Środka niż komunistycznym przywódcą. Z ideologii marksistowskiej pozostały liczne frazesy i pojęcia, którymi posługują się elity wywodzące się z partii zwącej się jeszcze komunistyczną, lecz treść stała się nacjonalistyczna, bliższa Kuomintangowi niż maoistom. Mowa o przełamaniu traum z XIX w., o zdobyciu dla Chin potęgi światowej, o stworzeniu nowego porządku międzynarodowego z Pekinem jako jednym z kilku wielkich graczy. W państwie dominują tradycjonalistyczne chińskie idee konfucjanizmu i legizmu. Oto autorytarne narodowo-konserwatywne państwo, zazdrośnie broniące swojej suwerenności przed państwami mającymi wypisane na sztandarach rewolucyjne hasła wyniesione z rewolucji francuskiej, a mianowicie demokracji i praw człowieka.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 75b7358ee2

Wychowany na wilczym mleku



Robert Bogdański

Politycznym ideałem przywódcy ChRL był Józef Stalin, do którego wielokrotnie odnosił się w swoich wystąpieniach i którego cenił za umiejętność obronienia państwa przed wrogami oraz zapewnienie sterowności partii

Postawny, dobrze zbudowany, o twarzy grubo rzeźbionej, spokojny niczym pies groźnej rasy, który wie, że nie musi udowadniać swojej wartości, bo jego siła i determinacja są dostateczne, by odstraszyć każdego intruza. Delikatnie uśmiechnięty. Jego wzrost nie jest oficjalnie podawany, bo Chińska Republika Ludowa chroni prywatność swoich przywódców, ale wiadomo, że ma ok. 180 cm, więc jak na Chińczyka jest wysoki. Dla świata istotniejsze od jego wzrostu, wagi i uśmiechu jest to, co myśli. To jednak skrywa pod tysiącami słów, od których lektury normalny człowiek dostaje duszności już po kilku chwilach. To trochę tak, jakby ktoś głodny znalazł się w aptece: półki są pełne, ale na żadnej nie ma niczego, czym można nasycić głód. Od chwili wyniesienia go na urząd przewodniczącego ukazało się 140 książek podpisanych jego nazwiskiem, ale każda z nich zawiera jedynie sztywną nowomowę, w której od czasu do czasu jedynie przebłyskują słowa klucze, czytelne dla badaczy i sprawnie deszyfrowane przez partyjnych działaczy, bo od tego zależy ich przetrwanie i kariera.

Jest ideałem aparatczyka. Myliłby się jednak ktoś, kto by sądził, że mamy do czynienia z człowiekiem przeciętnym, który został wyniesiony do władzy, bo był bierny i posłuszny. W historii państw komunistycznych tacy aparatczycy się oczywiście zdarzali, ale to nie on. Xi Jinping zawdzięcza sukces uporowi, odporności, pracowitości i umiejętności nawiązywania kontaktów. Zwłaszcza to ostatnie jest ważne w społeczeństwie, w którym sieć powiązań jest najistotniejsza w zdobyciu awansu i w utrzymaniu się na powierzchni.

PRZEZNACZENIEM JEST RZĄDZENIE

Urodził się i wychowywał w świecie władzy – władzy absolutnej i intryg. W takich warunkach oskarżenie nie wymagało realnej winy, a liczyły się wierność wodzowi i wyczucie politycznych koniunktur. Za złe wyczucie płaciło się życiem. Jego ojciec, Xi Zhongxun, bliski współpracownik Mao Zedonga, został przyjęty do partii komunistycznej w wieku 15 lat, gdy siedział w więzieniu, dokąd go wtrącono za politycznie motywowaną próbę zabójstwa pracownika szkoły, do której chodził. Przez następne 20 lat, aż do proklamowania Chin Ludowych, walczył z wrogami zewnętrznymi i wewnętrznymi partii. Nie cofał się przed niczym, aby spełnić życzenia Mao, który zresztą uratował go od egzekucji, na jaką oczekiwał z rąk partyjnych przeciwników.

Biograf określił życie ojca Xi Jinpinga mianem „partyjnego mikrokosmosu XX w.". Ożenił się w roku 1944 z rewolucjonistką. Oboje byli tak zajęci pracą partyjną, że ich pierwsze dziecko przyszło na świat dopiero pięć lat później i stało się tym samym rówieśnikiem komunistycznych Chin. Xi Jinping urodził się w roku 1953 w Pekinie, gdzie jego rodzice mieszkali w dzielnicy władzy, ale nie znaczyło to, że dzieci władzy miały łatwe życie. Owszem, wychowywano je w przeświadczeniu, że ich przeznaczeniem jest rządzenie, ale dbano o to, by nauczyły się znosić upokorzenia i trudności. Egzystencja w tym kręgu była niełatwa także dlatego, że łatwo było zeń wypaść. Rodzice żyli w ciągłym strachu, że zrobią fałszywy krok.

Gdy miał dziewięć lat, jego ojciec został aresztowany, więc rodzinę wyrzucono z dzielnicy władzy. Prędko nadeszła rewolucja kulturalna, w szkołach i na uczelniach zaczęła szaleć Czerwona Gwardia, organizując seanse nienawiści i mordując swoich przeciwników. Rodziny aresztowanych były jednym z celów. Gdy miał 15 lat, musiał stać na scenie na wiecu, w czasie którego tłum pod jego adresem skandował: „Precz z Xi Jinpingiem!". Wśród skandujących stała jego matka. Skandowała także. Kiedy uciekł ze szkoły, w której go przetrzymywano i poddawano nieludzkiemu traktowaniu, jego matka, gdy pojawił się w domu, po prostu odprowadziła go z powrotem. Wiedziała, że i tak zostanie złapany, a gdy ona postąpi inaczej, to represje spadną na nią i jej pozostałe dzieci. Nie było łatwo to wytrzymać i nie było łatwo zachować przekonania. Tymczasem on uczył się na pamięć cytatów z Mao i w obronie wykrzykiwał je w stronę swoich prześladowców. W roku 1969 został zesłany do pracy na wieś, w ubogi region Shaanxi, gdzie ciężko pracował fizycznie, żeby zdobywać punkty, które mógł zamieniać na żywność.

To chyba tam, w ubogiej wiosce Liangjiahe, kryje się klucz do odczytania jego osobowości. Bo każdy człowiek traktowany tak nieludzko odczuwałby nienawiść do swoich prześladowców i do systemu, który go wtrącił w poniżenie. Tymczasem Xi Jinping afirmował system także tam. Potem napisał we wspomnieniach: „Podążyłem za



FOT. ROMAN KUBANSKIY/KREMLIN.RU

eprasa.pl 75b7358ee2

nowym sposobem myślenia i zjednoczyłem się z masami". To zjednoczenie realizował przez pracę na roli i pomoc chłopom, bo był z nich najbardziej wykształcony. Ta ostatnia cecha sprawiła też, że w swojej wiosce niedługo to on – jako jedyny umiejący czytać – przewodził seansom nienawiści, w czasie których odczytywał zmęczonym chłopom, którego z pekińskich oficjeli mają w danej chwili potępiać.

W roku 1989, gdy doszło do demonstracji studenckich w Pekinie, Xi Jinping okazując lojalność władzy, zrównał demokrację z chaosem i przemocą rewolucji kulturalnej

Postanowił też wstąpić do partii, ale udało mu się to dopiero za ósmym razem, bo miejscowi działacze – mimo że chętnie korzystali z jego usług – obawiali się, iż zostaną oskarżeni o sprzyjanie synowi przestępcy. Gdy jednak został już przyjęty, prędko uczyniono go sekretarzem organizacji partyjnej w wiosce. Był naturalnym liderem społeczności. Upór, umiejętność nawiązywania dobrych relacji z ludźmi i odporność na warunki zewnętrzne to są cechy, które wykształcił w sobie w czasie tych lat pracy ponad siły, gdy jego ojciec ciągle przebywał w więzieniu, a matka z jego siostrami w obozie pracy. Jedna z nich nie wytrzymała warunków i popełniła samobójstwo, wieszając się na pasku.

W tym czasie Xi Jinping został przyjęty na Uniwersytet Tsinghua w Pekinie. Jego ojciec został zwolniony z więzienia, matka i siostra zamieszkały razem z nim w mieście Luoyang, gdzie został dyrektorem huty szkła. Rok później, w 1976, umarł Mao Zedong i ojciec Xi Jinpinga rozpoczął powrót do ścisłego kręgu władzy, tym razem jako zaufany człowiek Deng Xiaopinga i Hu Yaobanga. Jego syn studiował inżynierię chemiczną, choć więcej na tych studiach było ideologii niż chemii, i może dobrze, że nie przepracował jako chemik ani dnia. Szaleństwo epoki Mao się skończyło, a komunizm chiński miał się stać pod rządami Denga pragmatyczny. Słynne stało się jego powiedzenie, że „nieważne, czy kot jest biały czy czarny, ważne, by łapał myszy".

DWA MAŁŻEŃSTWA

Xi Jinping studiował, a jednocześnie uczynił pierwszy krok do realnej kariery, wykraczającej poza świat wioskowej organizacji partyjnej: został jednym z trzech prywatnych sekretarzy Genga Biao, starego rewolucjonisty, którego uczyniono odpowiedzialnym za modernizację amii. Geng i ojciec Xi Jinpinga znali się z młodości, więc ten pierwszy krok na drodze kariery zawdzięczał on koneksjom rodzinnym. Samo to jednak nie wystarczyło. Nosząc teczkę za swoim promotorem i uczestnicząc w poufnych spotkaniach, uczył się władzy. Jak napisał jego biograf, Michael Sheridan, był przez swoje otoczenie uważany za kogoś, kto „rozumiał władzę". Miał też umiejętność bardzo przydatną w świecie, w którym miał dojść na szczyt: potrafił nie ujawniać na początku swoich zamiarów. I był uparty.

Xi Jinping był żonaty dwukrotnie. Za pierwszym razem małżeństwo mogło być niezwykle korzystne z punktu widzenia rozwijania kariery, bo jego żoną została pochodząca z ustosunkowanej rodziny córka dobrze ustawionego w Pekinie dyplomaty, ambasadora w Londynie, okazało się jednak porażką osobistą. Żona wyjechała do ojca do Londynu, dokąd bezskutecznie chciała sprowadzić męża, i prędko doszło do rozwodu. Był to początek lat 80. i jest charakterystyczne, że wyjazd z komunistycznych Chin i ewentualne pozostanie na bogatym Zachodzie nie wchodziły dla Xi Jinpinga w grę. Jego była żona zresztą zrobiła ten krok i w końcu wyemigrowała. W ówczesnym języku nazywało się to „wybraniem wolności", ale ambitny przedstawiciel klasy predestynowanej do rządzenia wielkim krajem wolał iść swoją ścieżką, choć musiał mieć świeżo w pamięci cierpienia zesłania.

Za drugim razem wybrał jako towarzyszkę życia Peng Liyuan, kobietę, która pochodziła z niższych sfer, za to była utalentowana i popularna jako pieśniarka. Jej występy telewizyjne z okazji chińskiego Nowego Roku oglądały setki milionów ludzi. Była też ideowym członkiem partii zawsze zgadzającym się z jej aktualną linią. Dwa lata po ślubie, w czerwcu 1989 r., śpiewała dla żołnierzy pacyfikujących demonstracje studenckie na Placu Niebiańskiego Spokoju. Często występowała w mundurze i z czasem zyskała rangę generalską. Doskonale nadawała się do ocieplania wizerunku polityka, a jednocześnie była jak on niezłomną komunistką. Państwo Xi zgodnie z zaleceniem partii mają tylko jedno dziecko, urodzoną w 1992 r. córkę Mingze, którą wysłali na studia na Harvard, ale dość prędko sprowadzili z powrotem i o jej życiu niewiele wiadomo.

W przełomowym dla nowoczesnych Chin roku 1989, gdy studenci domagali się czegoś, co nazywali „demokracją", choć trudno powiedzieć, co mieli na myśli, skoro ich protest zaczął się od upamiętnienia jednego z twardogłowych komunistów i towarzysza Mao, Hu Yaobanga, Xi Jinping był średniego szczebla lokalnym aparatczykiem w prowincji Fujian, więc nie mógł zaangażować się w spory na szczycie. Mógł jednak zademonstrować swoją lojalność i znamienne, że uczynił to, dezawuując właśnie pojęcie demokracji. Przemawiając w tym gorącym czasie na zorganizowanej w mieście Ningde konferencji, odniósł je do rewolucji kulturalnej, zadając retoryczne pytanie, czy nie była ona „rezultatem wielkiej demokracji". Następnie zaś zrównał demokrację z chaosem i przemocą, konkludując, że „niczego się nie da osiągnąć bez jedności i stabilności".

W istocie jego politycznym ideałem był Józef Stalin, do którego wielokrotnie odnosił się w swoich wystąpieniach i którego cenił za umiejętność obronienia państwa przed wrogami i zapewnienie sterowności partii i jej władzy nad społeczeństwem. Ważna była zwłaszcza technika rządzenia polegająca na nieustannych czystkach, co w przypadku partii komunistycznej liczącej ok. 90 mln ludzi było w jego przekonaniu jedynym skutecznym sposobem. Gdy doszedł do najwyższego stanowiska, zaczął stosować tę technikę nieustannie, eliminując realnych i domniemanych przeciwników i konkurentów. Co interesujące też, nigdy nie wycofał się z kultu Mao Zedonga, choć jako posiadacz najwyższej władzy mógłby to zrobić. Widocznie jednak uznał, że Mao i jego myśli są narzędziem utrzymania władzy, i być może nawet odczuwał pewną satysfakcję, gdy to on używał do swoich celów człowieka, który omal nie pozbawił życia jego i jego rodziny.

Po krwawej pacyfikacji protestów roku 1989 w Chinach nastąpiła era gwałtow-

eprasa.pl 75b7358ee2

nego rozwoju gospodarczego i bogacenia się. Patronował jej starzejący się Deng Xiaoping, a bieżącą politykę prowadził Jiang Zemin, którego dalekosiężnym celem było zbudowanie potęgi kraju na produkcji i handlu, czemu miało posłużyć wejście do Światowej Organizacji Handlu, co udało mu się pod koniec rządów, w roku 2001. Był to czas budowania wielkich fortun i rozkwitu przestępczości. Xi Jinping spędził ten czas w prowincji Fujian, bezpośrednio sąsiadującej z Tajwanem, dochodząc pod koniec do stanowiska gubernatora i zajmując się tam m.in. bezwzględnym likwidowaniem ognisk korupcji. Tam także mógł przećwiczyć w praktyce stalinowską lekcję czystek, dbając o to – i w tym był całkowicie zgodny z pozostałymi towarzyszami – aby nie powtórzyć błędów, które w tym samym czasie po podziale Związku Sowieckiego doprowadziły do zapaści państwa.

TRUDNY PRZECIWNIK

Obawa przed chaosem i wspomnienie walk wewnętrznych, których areną były Chiny w pierwszej połowie XX w., były bardzo silnym czynnikiem, który sprzyjał procesowi utwardzania kursu politycznego w miarę, jak Xi Jinping piął się po szczeblach władzy. W początkowej fazie jego panowania, czyli w drugiej dekadzie XXI w., wdrożono system punktowy, zwany systemem społecznego zaufania, który był w istocie gigantycznym i wszechogarniającym systemem inwigilacji i kontroli, choć swój początek wziął raczej niewinnie od czegoś w rodzaju naszego systemu informacji kredytowej. Okazją do zacieśnienia kontroli była pandemia COVID-19, gdy aplikacja w telefonie informowała władze praktycznie o wszystkim, co obywatel robił. Można powiedzieć, że był to przystosowany do nowych czasów system, który Xi Jinping doskonale poznał w czasie pracy w wiejskiej komunie – punktów za pracę.

W roku 2014, niedługo po objęciu władzy, powstała słodko brzmiąca, melodyjna pieśń o przewodniczącym Xi i jego małżonce Mamie Peng, stawiająca parę władców za wzór dla Chińczyków i Chinek. Ta pieśń zyskała autentyczną popularność. Zawarty w niej hołd jest dla kogoś, kto choćby otarł się o czasy autorytaryzmu, dowodem na to, że to, co wydawało się nam bezpowrotnie minioną przeszłością, jest w istocie teraźniejszością dla setek milionów ludzi. Xi Jinping jawi się niczym potwór z głębin, który wynurza się, pokazując pancerz przydatny w świecie wielkich ciśnień. Jest przybyszem z krainy, której wolny świat nigdy nie znał, a o której świat uwolniony od oków realnego socjalizmu chciał jak najprędzej zapomnieć i w wielkiej mierze mu się to udało. Jest skamieliną, ale taką, której wiek nie przeszkadza w sprawnym funkcjonowaniu we współczesności, a wręcz przeciwnie – czyni odporną na wszystko, co jej może zagrozić.

Joe Biden, gdy jako wiceprezydent spotykał się z Xi Jinpingiem, który był wtedy wiceprzewodniczącym ChRL, usłyszał od swego interlokutora, że historia nauczyła go jednego: Chiny nigdy nie mogą iść na ustępstwa. O ludziach władzy z pokolenia Xi Jinpinga mówi się, że zostali „wychowani na wilczym mleku". Wolny świat ma przed sobą naprawdę trudnego przeciwnika.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

www.religijna.pl
12 345 42 00

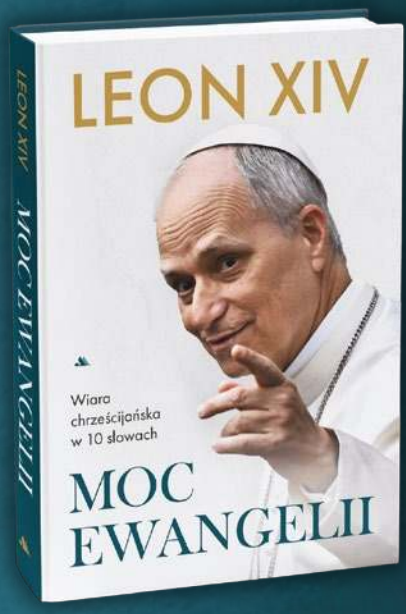
NOWOŚĆ

PIERWSZA książka Ojca Świętego LEONA XIV

Wiara chrześcijańska w 10 słowach

Co Papież mówi dziś do Kościoła i świata?

Wspaniała lekcja życia w duchu św. Augustyna, podana współczesnym językiem.
ks. Robert Skrzypczak





eprasa.pl 75b7358ee2

Doktor Kościoła postępu



Paweł Chmielewski

Gdyby nie on, Kościół katolicki wyglądałby dziś inaczej. 6 kwietnia mija pięć lat od śmierci ks. Hansa Künga, teologa, którego ukarał Jan Paweł II, a który głęboko zainspirował papieża Franciszka

Hans Küng urodził się w 1928 r. w Sursee w Szwajcarii – rok później niż późniejszy papież Benedykt XVI, Józef Ratzinger. Zmarł w 2021 r. – rok wcześniej od Ratzingera. Wspominam oba nazwiska, bo drogi ich życia, choć ostatecznie bardzo odrębne, biegły pod wieloma względami równolegle. Küng i Ratzinger od pracy duszpasterskiej woleli akademię. W latach 60. obaj pracowali na Uniwersytecie w Tybindze, wiodącym ośrodku teologicznym w Niemczech. Brali też udział w pracach Soboru Watykańskiego II jako doradcy teologiczni, reprezentując wtedy nurt reformatorski. Współtworzyli jedno z najważniejszych czasopism tamtych czasów, „Concilium". Ścieżki obu teologów rozeszły się dość nagle i radykalnie po 1968 r., czyli wybuchu marksistowskiej rewolty studenckiej.

Küng nie był nigdy jej zwolennikiem, wręcz przeciwnie, ale starał się zachowywać postawę dialogu wobec zrewoltowanej młodzieży. Ratzinger pod wpływem traumatycznych wydarzeń na uniwersytecie wyjechał z Tybingi do Ratyzbony, a w teologii zaczął stopniowo przechodzić na coraz bardziej tradycyjne, konserwatywne stanowisko. Küng pozostał wierny idei reformatorskiej, którą z czasem rozumiał coraz bardziej radykalnie. W 1967 r. opublikował głośną książkę „Kościół". Jego rozumienie tego, czym jest Kościół, natrafiło na ostrą krytykę w Rzymie. Stolica Apostolska zaczęła podejrzewać Szwajcara o tendencje heretyckie. W Świętym Oficjum – wówczas znanym już jako Kongregacja Nauki Wiary – wszczęto przeciwko niemu proces. Watykan był jednak ostrożny, bo sława teologa z Tybingi stawała się naprawdę ogromna. Jego książki – oprócz „Kościoła" było to jeszcze wiele innych prac, w tym dużo niezwykle poczytnych artykułów – robiły zawrotną karierę.

OSKARŻENIA O HEREZJĘ

Küng miał niesamowity talent pisarski. Każdy, kto miał kiedyś styczność z niemczyzną charakterystyczną dla prac naukowych, wie, jak ciężki jest to język. Teksty Künga były zupełnie inne: pełne niesamowitej lekkości, barwne, a przy tym niezwykle śmiałe i frapujące intelektualnie. Można było się z nim nie zgadzać, ale nie dało się go nie czytać i o nim nie dyskutować. Na wykłady Künga, rozchwytywanego zarówno w Europie, jak i Stanach Zjednoczonych, przychodziły prawdziwe tłumy. Jego książki, tłumaczone na liczne języki, rozchodziły się w dziesiątkach i setkach tysięcy egzemplarzy. Na fali tej gigantycznej popularności Küng poszedł na całość. W 1970 r. ogłosił książkę pt. „Nieomylny? Pewne zapytanie", gdzie podważył dogmat o nieomylności papieskiej. Wywołał tym szok w Stolicy Apostolskiej i zachwyt w środowiskach reformatorskich. Oskarżenia o herezję stawały się coraz poważniejsze. W 1974 r. opublikował jeszcze jedną ze swoich wielkich książek, „Być chrześcijaninem", gdzie w sposób tyleż atrakcyjny, co daleki od ortodoksji opowiedział

eprasa.pl 75b7358ee2



Hans Küng był jednym z najbardziej znanych krytyków Kościoła

FOT. LEONARDO CENDAMO/GETTY IMAGES

o chrześcijaństwie, rozumiejąc swoją pracę jako progresywną konkurencję dla książki Ratzingera pt. „Wprowadzenie do chrześcijaństwa" wydanej w 1968 r.

Küng, wzywany do Świętego Oficjum na rozmowy, odmówił poddania się procesowi i przyznania się do stawianych mu zarzutów. Papież Paweł VI nigdy nie zdecydował się na nałożenie nań jakichkolwiek kar – obawiał się potencjalnych reperkusji, a pod wieloma względami chyba też lubił i cenił dzieła Künga. Jego następca nie miał już tych sentymentów. W 1979 r. Konferencja Episkopatu Niemiec zdecydowała, że Hans Küng straci prawo do nauczania teologii katolickiej. Decyzja zapadła w porozumieniu z Watykanem – tak naprawdę podjęli ją papież Jan Paweł II i nowy prefekt Kongregacji Nauki Wiary, Józef Ratzinger. Od tego momentu kariera teologiczna Künga zaczęła się załamywać. Pozostał w Tybindze, ale nie mógł już tam nauczać teologii katolickiej – stworzono dla niego osobny instytut badawczy teologii ekumenicznej. Küng zajął się w efekcie przede wszystkim dialogiem z innymi religiami: islamem, judaizmem, buddyzmem czy hinduizmem. Opracował też swój autorski projekt stworzenia globalnej etyki, znany jako „Weltethos". Na tym gruncie nawiązał współpracę ze Światowym Forum Ekonomicznym w Davos, przyjaźniąc się z jego twórcą Klausem Schwabem. Z nauczyciela wiary katolickiej przeistoczył się w globalistycznego teologa, a zarazem nieubłaganego i niezwykle ostrego krytyka pontyfikatów najpierw Jana Pawła II, a później Benedykta XVI. Z papieżem Benedyktem Küng spotkał się w 2005 r. w Castel Gandolfo. Rozmawiali kilka godzin, ale do pojednania nie doszło. Küng pozostał przy swoim reformatorskim stanowisku.

PRZESYŁKA DO WATYKANU

Wydawałoby się, że na tym należałoby zakończyć całą historię. Teolog wielki, ale błądzący; autor poczytny, a jednak przemijający; może nawet wybitniejszy publicysta niż akademik. Jak mówi jednak łacińskie przysłowie, habent sua fata libelli – książki mają swoje własne losy, czasem nieoczekiwane.

Hans Küng postanowił pod koniec życia tym losom nieco dopomóc – korzystając z niezwykle sprzyjającej dla siebie okazji, a mianowicie pontyfikatu Franciszka. Krótko po jego wyborze wysłał do Watykanu specjalną przesyłkę. Przekazał papieżowi dwie swoje książki: „W co wierzę?" z 1985 r. oraz „Czy Kościół da się jeszcze uratować?". Küng mógł liczyć na to, że Franciszek ich nie zignoruje. W końcu Jorge Mario Bergoglio studiował w Niemczech i był nimi poniekąd zafascynowany. Nauczył się języka, pisał pracę doktorską (nieukończoną) o dziełach niemieckojęzycznego teologa Romana Guardiniego, już jako papież publicznie wychwalał progresywnego niemieckiego teologa, kard. Waltera Kaspera.

Szwajcar poprosił Franciszka o lekturę obu swoich książek. Nie rozczarował się. Papież odpisał mu własnoręcznie, rozpoczynając list od słów „umiłowany bracie". Obiecał, że przeczyta przesłane mu prace i wszystko wskazuje na to, że rzeczywiście to zrobił – a nawet więcej, przeczytał i postanowił idee Künga zrealizować. Jasno pokazuje to porównanie działań podjętych przez Franciszka z wizją reform, którą Szwajcar przedstawił w drugiej z książek, tej z 2011 r. Küng napisał ją z frustracji wywołanej pontyfikatem Benedykta XVI. Uważał, że Józef Ratzinger cofa Kościół katolicki do czasów sprzed Soboru Watykańskiego II. Według wyklętego teologa za papieskich rządów dawnego „Panzerkardinala" dochodzi do zmarnowania impetu reformatorskiego, który miał przynieść sobór. W swojej pracy zaprezentował dlatego konkretną agendę, która miałaby pozwolić ewentualnemu następcy Benedykta na „odzyskanie" ducha progresywnych reform i „uratowanie Kościoła".

Co takiego zrobił Franciszek? Kluczowa zmiana zapadła już po śmierci Künga, a dotyczyła rozumienia jedności doktrynalnej w Kościele. Szwajcarski teolog od wielu lat domagał się w tym zakresie dużej elastyczności i ostro krytykował metody działania Watykanu, które uważał za anachroniczne i brutalne. Franciszek zrealizował jego marzenia. W 2023 r. powołał do Kurii Rzymskiej swojego rodaka, dotychczasowego arcybiskupa La Platy, Victora Manuela Fernándeza. Powierzył mu urząd prefekta Dykasterii Nauki Wiary – czyli tej jednostki, która wcześniej odegrała kluczową rolę w ukaraniu Künga za głoszenie niekatolickiej nauki. Franciszek napisał do Fernándeza list, w którym udzielił mu kilku strategicznych wskazówek. Zobowiązał swojego pupila do tego, by postawił na współistnienie w Kościele „różnych prądów myślowych" w filozofii, teologii i duszpasterstwie. Stwierdził, że taka różnorodność może przysłużyć się sprawie lepiej niż „jakikolwiek mechanizm kontrolny". Mówiąc krótko, chodziło o to, by Stolica Apostolska przestała nakładać ograniczenia na teologów podważających uznane prawdy.

Fernández szybko zrobił z tego praktyczny użytek w bardzo głośnej sprawie, która dotyczyła austriackiego teologa moralnego, Martina Lintnera. Lintner głosi nową wizję moralności seksualnej, zgodną z pryncypiami liberalizmu i kategorycznie niezgodną z wcześniejszą nauką Kościoła. W związku z tym otrzymał od Rzymu zakaz objęcia kierowniczego stanowiska na uniwersytecie w Brixen w Tyrolu Południowym. Fernández zmienił wcześniejszą decyzję: nie wycofując się ze swoich poglądów,

eprasa.pl 75b7358ee2

Lintner otrzymał zielone światło do nowych zadań. Nieważne, czy teolog naucza doktryny Kościoła czy też czegoś diametralnie innego. Watykan zaczął to po prostu akceptować.

Argentyński papież uczynił zadość wizji heterodoksyjnego Szwajcara również w kwestii roli kobiet w Kościele. Hans Küng domagał się swobody działalności dla jednostek i grup, które postulują wprowadzenie kapłaństwa kobiet. Święty Jan Paweł II orzekł w dokumencie „Ordinatio sacerdotalis" z 1994 r., że wyświęcanie kobiet na księży jest niemożliwe w związku z wolą Jezusa Chrystusa i dyskusja powinna zostać raz na zawsze zamknięta. Franciszek otworzył ją na nowo. Powołał komisję, która zastanawiała się nad dopuszczeniem kobiet do sakramentalnego diakonatu; pozwalał na publikowanie tekstów wzywających do kapłaństwa kobiet; zgodził się, by sprawa była szeroko dyskutowana na Synodzie o synodalności… Wreszcie w jednej z publicznych wypowiedzi ogłosił, że nie wie, czy orzeczenie Jana Pawła II było nieomylne czy też nie, co oczywiście jeszcze bardziej ożywiło nadzieje reformatorów. Sam Küng lepiej by tego nie wymyślił.

Szwajcar był też zagorzałym zwolennikiem szybkich postępów w ekumenizmie. O tym pisał już w jednej ze swoich pierwszych głośnych książek, pracy „Konzil und Wiedervereinigung" (pol. „Sobór i zjednoczenie") z 1960 r. W kolejnych latach – również w tomie przesłanym Franciszkowi – wyrażał nadzieję na dopuszczenie protestantów do Komunii Świętej. Jorge Mario Bergoglio zrealizował to pragnienie. W 2018 r. pozwolił, by niemieccy biskupi zaczęli dopuszczać do Eucharystii tych chrześcijan niekatolickich, którzy żyją w małżeństwie z katolikiem. W niektórych diecezjach RFN zdecydowano się później na dopuszczenie do Komunii wszystkich protestantów w ogóle, przy braku jakiejkolwiek reakcji Watykanu. Nie oznaczało to wprawdzie przełomu ekumenicznego na skalę globalną, ale w przestrzeni kulturowej, na której teologowi z Tybingi zależało najbardziej, po prawie 60 latach jego oczekiwanie zostało spełnione.

Franciszek sięgnął też do jednego z najważniejszych postulatów Künga w obszarze dialogu międzyreligijnego. Chodzi o wspomniany wcześniej projekt stworzenia etyki globalnej, która miałaby połączyć wyznawców różnych religii w dziele wspólnego zaangażowania na rzecz pokoju i dobrobytu na świecie. Küng przedstawił tę ideę w książce pt. „Projekt Weltethos" z 1990 r., ale istotę swojej koncepcji omówił też w pracy wysłanej do Watykanu. Jorge Mario Bergoglio od początku swojego pontyfikatu kładł niezwykle silny nacisk na współpracę Kościoła katolickiego z islamem, judaizmem czy buddyzmem, która ignorowała różnice religijne, akcentując za to ogólnoludzkie wartości humanistyczne. W 2019 r. podpisał „Deklarację z Abu Zabi" z przedstawicielem świata islamu, gdzie stwierdził, jakoby Pan Bóg chciał istnienia wielości religijnej. Rok później opublikował encyklikę „Fratelli tutti" zakończoną propozycją uniwersalnej modlitwy dla ludzi wierzących w Stwórcę, niezależnie od wyznania. Fundacja Weltethos, którą założył Küng, wprost chwaliła Franciszka za podjęcie działań idealnie wpisujących się w projekt Szwajcara.

W Polsce myśl Künga jest słabo znana. Wydano tylko kilka jego książek, dziś niemal kompletnie zapomnianych

Szczególnym aspektem jest wreszcie zagadnienie prymatu papieskiego. W roku 2016 autor książki podważającej nieomylność wysłał do Franciszka drugi list, prosząc go o rewizję dogmatu Soboru Watykańskiego I. Papież ponownie odpisał mu w ciepłym tonie. Kilka lat później rozpoczął Synod o synodalności, a jednym z tematów dyskutowanych stała się właśnie papieska nieomylność. W dodatku w 2024 r. rodak Künga, kard. Kurt Koch, jako prefekt Dykasterii do spraw Ekumenizmu, ogłosił dokument pt. „Biskup Rzymu", gdzie pisano o ewentualności „reinterpretacji" nauczania Kościoła o nieomylności – tak by stało się bardziej akceptowalne z perspektywy prawosławnych i części protestantów.

To tylko kilka przykładów. Jorge Mario Bergoglio „odhaczył" też inne punkty z agendy Künga wyłożonej w książce z 2011 r., dotyczące takich kwestii jak finanse Watykanu, reforma prawa kanonicznego, rozumienie kapłaństwa czy podejście do antykoncepcji i aborcji. Albo wprost zrealizował jego wizję, albo przynajmniej rozpoczął nad tym zaawansowane prace.

DZIEDZICTWO HETERODOKSYJNEGO TEOLOGA

W Polsce myśl Künga jest słabo znana. Wydano tylko kilka jego książek, dziś już niemal kompletnie zapomnianych – co oczywiście nie dziwi w związku z karami, które ich autor sprowadził na siebie przez kwestionowanie dogmatów. Mimo wszystko fakt nieznajomości dorobku tego znaczącego teologa był jedną z przyczyn braku narzędzi koniecznych do właściwej interpretacji pontyfikatu Franciszka. Wielu polskim katolikom wydawało się, że działania argentyńskiego papieża można uznać za osobiste ekscesy albo wyraz fascynacji lewicową polityką. W istocie stanowiły gruntownie przemyślaną realizację konkretnej wizji teologicznej. Oczywiście na Jorge Maria Bergoglia wpływał nie tylko Küng, ale historia ich kontaktów jasno wskazuje na zależność intelektualną.

Pontyfikat Franciszka się skończył, ale nie oznacza to jeszcze klęski projektu Hansa Künga. Papież Leon XIV nie jest zafascynowany światem progresywnej niemieckiej teologii, tak jak jego poprzednik. Zarazem jednak jego dotychczasowe działania pokazują, że nie ma w nim żadnej chęci odwracania tych reform, które Franciszek przeprowadził pod dyktando niemieckiej teologii. Wszystkie zdobycze „niemieckiej rewolucji" zostały zachowane, Leon niczego nie cofnął. Znamy dziś już całkiem dobrze kulisy wyboru Roberta Prevosta na papieża – wiemy, że był kandydatem skrzydła progresywnego. Wszystko wskazuje na to, że dziedzictwo heterodoksyjnego teologa z Tybingi przetrwa pontyfikat Argentyńczyka. To oznacza, że szwajcarski myśliciel przynajmniej dziś wychodzi zwycięsko z wieloletniego starcia z Józefem Ratzingerem. Wprawdzie nie osiągnął nigdy godności papieskich i ściągnął na siebie kary watykańskie, ale ostatecznie przecież to właśnie jego idee zaczęły być w Kościele realizowane. Doprawdy, habent sua fata libelli.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl 75b7358ee2

WYDAWNICTWO m



specjalne strony przeznaczone na Kronikę Rodzinną



osobiste błogosławieństwo św. Jana Pawła II dla rodzin, które wspólnie czytają słowo Boże

Kup Biblię Edukacyjną a otrzymasz

- ***30% rabatu***
- ***personalizowaną dedykację GRATIS***
- ***pamiątkę komunijną GRATIS***

Promocja trwa tylko do 12 kwietnia 2026 r.



- nowy, poręczny format
- obszerny, 32-stronicowy wstęp edukacyjny wprowadzający czytelnika w najważniejsze zagadnienia związane z Biblią – jej powstaniem, znaczeniem oraz sposobami interpretacji
- 121 wspaniałych, całostronicowych ilustracji Gustave'a Doré, nawiązujących do niezwykle cenionych XIX-wiecznych wydań
- dzięki atrakcyjnej szacie graficznej, bogato zdobionej twardej oprawie oraz złotej wstążce Biblia prezentuje się wyjątkowo i doskonale sprawdzi się jako prezent
- specjalne strony przeznaczone na zapisywanie ważnych wydarzeń rodzinnych
- kolorowe mapy historyczne na wyklejkach – przedstawiające średniowieczną mapę świata oraz mapy podróży misyjnych świętego Pawła.

Zamów teraz tel. 721 521 521 · wydawnictwom.pl

eprasa.pl 75b7358ee2



Filip Memches

Ocieplony wizerunek milicjanta



Bronisław Cieślak w roli por. Sławomira Borewicza
FOT. POLFILM/EAST NEWS

Wydawnictwo Krytyki Politycznej nie byłoby sobą, gdyby w opublikowanej jego nakładem pozycji nie znalazły się ujęte lewicowo wątki światopoglądowo-ideologiczne. Rafał Dajbor w swojej książce pisze o serialu „07 zgłoś się" jako fan tej produkcji. Ale też lustruje ją pod kątem „seksizmu" i „homofobii", choć trzeba przyznać, że robi to bez aktywistycznej zapiekłości

Popularność w Polsce serialu fabularnego, którego głównym bohaterem jest oficer Milicji Obywatelskiej, do dziś intryguje. Stróżom prawa epoki PRL trudno było zyskać przychylność Polaków. MO była od momentu swojego powołania w roku 1944 aż do 1990 – kiedy ją rozwiązano – formacją kojarzoną powszechnie w Polsce z represyjnym charakterem reżimu komunistycznego. Milicjanci stanowili zatem grupę zawodową, której Polacy po prostu nie lubili i nią pogardzali. Inna rzecz, że MO realizowała również zadania niemające z polityką nic wspólnego. W PRL dochodziło przecież do przestępstw występujących w każdym ustroju politycznym. Nie brakowało zatem złodziei, rabusiów, oszustów, paserów, sutenerów, morderców, a ktoś musiał ich ścigać. I robili to milicjanci – tacy jak fikcyjny bohater serialu „07 zgłoś się", por. Sławomir Borewicz, grany przez Bronisława Cieślaka.

Produkcja ta i jej odbiór przez widzów mogą stanowić przedmiot dociekań nie tylko dla filmoznawców. Oprócz tego, że „07 zgłoś się" jest sprawnie zrealizowanym kinem akcji – przynajmniej, jak na warunki, w których powstawało – to jednocześnie w warstwie społeczno-obyczajowej pokazuje polską codzienność lat 70. i 80. XX w. Oczywiście trzeba uwzględniać to, że serial przedstawia rzeczywistość PRL w ocenzurowany sposób. Ale ów czynnik można traktować jako dodatkowy kontekst tego, co się dzieje na ekranie.

Nakładem Wydawnictwa Krytyki Politycznej ukazała się książka „07 zgłoś się. Milicyjny serial wszech czasów". Jej autor – Rafał Dajbor, aktor i dziennikarz – zajął się przygodami por. Borewicza głównie jako zjawiskiem popkulturowym, ale nie tylko. W książce jest mnóstwo ciekawostek dotyczących kulis powstawania serialu. To z pewnością jej atut, zwłaszcza dla osób, które są fanami „07 zgłoś się". A nie jest ich mało. To z myślą o nich została napisana książka Dajbora.

GRA Z CENZORAMI?

Gwoli przypomnienia, głównym reżyserem „07 zgłoś się" był Krzysztof Szmagier. Emisja serialu ruszyła w Telewizji Polskiej w roku 1976. Miał on w sumie pięć „sezonów" – ostatni (trzy odcinki) został wyemitowany w TVP w roku 1989, czyli już u progu transformacji ustrojowej.

Wracając do pytania o popularność „07 zgłoś się", trzeba podkreślić, że postać por. Borewicza wymykała się negatywnemu stereotypowi milicjanta. Choć był on funkcjonariuszem MO lojalnym wobec władzy, to zarazem w rozmaitych jego zachowaniach dawało się dostrzec brak wiary w ideologiczne zaklęcia z propagandowych przekazów dnia, serwowanych przez reżim PRL.

A jednak pod adresem „07 zgłoś się" kierowane są do dziś zarzuty, że chodziło w nim o ocieplanie wizerunku Milicji Obywatelskiej. Porucznika Borewicza postrzegano jako dostosowany do warunków PRL odpowiednik Jamesa Bonda (choć, rzecz jasna, dotyczyło to tylko tych widzów, którzy w latach 70. i 80. wiedzieli, kim jest agent Jej Królewskiej Mości, bo w PRL filmów o nim nie było w oficjalnej dystrybucji). Dajbor jednak przytacza wypowiedzi (w tym samego Bronisława Cieślaka) – można je wziąć za prawdę lub nie – które przeczą temu, że bohater serialu Szmagiera miał cokolwiek wspólnego ze słynnym filmowym szpiegiem brytyjskim. Ponoć tytułowe „07" nie było aluzją do agenta 007, czyli Bonda, lecz numerem wywoławczym pogotowia MO we wszystkich wielkich miastach w Polsce. Natomiast jeśli chodzi o to, jak w polskiej produkcji przedstawiano stróżów prawa, to niewykluczone, że prowadzona była w tej sprawie gra. W książce Dajbora czytamy: „Reżyser przyznawał w kilku wywiadach, że – paradoksalnie – poszczególnych odcinków »07 zgłoś się« bronili przed cenzorami milicyjni konsultanci, widzący w serialu szansę na odbrązowienie i uczłowieczenie swojego wizerunku, w przeciwieństwie do cenzorów obstających przy schemacie milicjanta »bez skazy«".

eprasa.pl 75b7358ee2



RAFAŁ DAJBOR „07 ZGŁOŚ SIĘ. MILICYJNY SERIAL WSZECH CZASÓW" WYDAWNICTWO KRYTYKI POLITYCZNEJ, WARSZAWA 2026

Porucznik Borewicz mógł się podobać widzom nie tylko jako detektyw z MO, który skutecznie ściga złoczyńców, lecz także jako człowiek z krwi i kości i zarazem ktoś będący zaprzeczeniem siermięgi PRL. Bohater „07 zgłoś się" robił bowiem za playboya i światowca (na podstawie pierwszego odcinka serialu można się domyślać, że szlify kogoś takiego zdobywał podczas pobytu na placówce PRL – czyli przypuszczalnie w ramach misji szpiegowskiej – w Wielkiej Brytanii). Wykazywał się też zrozumieniem dla tych swoich rodaków, którzy mimo ograniczeń nakładanych na nich przez system komunistyczny chcieli się bawić i bogacić (byleby w granicach obowiązującego prawa), co zresztą wpisywało się w konsumpcjonistyczny klimat okresu gierkowskiego. Pod tym względem Borewicz kontrastował ze swoim kolegą (skądinąd obydwaj zwracali się do siebie per pan) por. Antonim Zubkiem (w tej roli Zdzisław Kozień). Ów „niemrawy niedojda" – jak w roku 1982 określił go w prasie pewien milicjant, co odnotowuje Dajbor – mógł być postrzegany w kategorii reliktu bierutowsko-gomułkowskiej przeszłości. Miał w sobie coś ze smętnego „dziadersa", który zachwalał rodzinę jako filar społeczeństwa socjalistycznego i pouczał młodego mężczyznę, którym był „zaliczający" kolejne kobiety Borewicz, że ten powinien się ustatkować.

Przy okazji Dajbor odnosi się do krążącej opinii, że nazwisko Zubek było zaszyfrowanym komunikatem: „facet »Z UB«" (czyli człowiek bezpieki w MO). Z książki dowiadujemy się, że Szmagier jej zaprzeczał. Twierdził bowiem, że nazwisko Zubek nosił funkcjonariusz MO w szkole psów milicyjnych w Sułkowicach, w której reżyser kręcił swój film dokumentalny „Selim" z roku 1964. Jak było naprawdę – tego nie rozstrzygniemy.

ŻYCZENIA DLA BOREWICZA OD OPOZYCJONISTY

Wydawnictwo Krytyki Politycznej nie byłoby sobą, gdyby w opublikowanej jego nakładem książce nie znalazły się ujęte lewicowo wątki światopoglądowo-ideologiczne. Dajbor lustruje „07 zgłoś się" pod kątem „seksizmu" i „homofobii", choć trzeba przyznać, że robi to bez aktywistycznej zapiekłości.

W gruncie rzeczy stosunek por. Borewicza do kobiet był skomplikowany. Autor książki dziwi się, że serialowy milicjant przedstawiany jest jako „mizogin" i „cyniczny podrywacz". Orzeka, że choćby koleżanki z MO Borewicz traktował po partnersku. I dodaje, że do odważnych obyczajowo scen z serialu Szmagiera nie powinno się podchodzić w sposób ahistoryczny: dziś eksponowanie nagiego kobiecego ciała może uchodzić za przejaw maczyzmu, ale w PRL oznaczało przełamywanie konserwatywnej pruderii.

Natomiast co do „homofobii" Dajbor sugeruje, że „07 zgłoś się" wyprzedziło swój czas. Choć w jednym z odcinków serialu nieznająca Borewicza milicjantka, widząc go z małym psem na rękach, pyta, czy to „pedał jakiś", to autor książki stwierdza, że można w tym dostrzec „dokumentalny zapis" ówczesnego sposobu postrzegania homoseksualistów. Zdaniem Dajbora ważniejsze jest to, co się wydarzyło w innym odcinku – tym, w którym występuje grana przez Andrzeja Szalawskiego postać dystyngowanego nauczyciela jazdy konnej i języka angielskiego, mającego za sobą służbę w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie. Na ekranie o jego życiu intymnym w zawoalowany sposób opowiada właściciel szklarni: „Od powrotu z Anglii zaczęli się tam zjawiać jacyś młodzi ludzie". I potem dodaje: „Ja go nie potępiam. Wydaje mi się to nawet jakimś nieszczęściem. Co tu się oburzać? To jakby choroba, może gorzej, bo jeszcze wstydliwa". Według Dajbora obecnie takie słowa mogłyby uchodzić za przejaw „homofobii". Jak tu bowiem teraz mówić o homoseksualizmie jako o nieszczęściu czy wstydliwej chorobie? Tymczasem autor książki zaskakuje – oznajmia, że i w tym przypadku trzeba się wystrzegać ahistoryzmu: pokazanie w PRL „zwykłego" właściciela szklarni (a nie artysty, naukowca czy lekarza) wyrażającego się z wyrozumiałością i współczuciem o osobie homoseksualnej było świadectwem tolerancji i życzliwości twórców serialu (tu bezpośrednio jest mowa o Krzysztofie Szmagierze) wobec mniejszości seksualnych.

Szkoda, że w książce Rafała Dajbora nie zostało poruszone jednak to, jak „07 zgłoś się" rezonowało w PRL wśród opozycji antykomunistycznej. Chodzi konkretnie o tekst, który napisał Mirosław Dzielski. Ten krakowski filozof, publicysta, zasłużony działacz podziemia antykomunistycznego, był orędownikiem konserwatyzmu kulturowego i zarazem liberalizmu gospodarczego. Choć doradzał NSZZ „Solidarność", to jednocześnie pozostawał oponentem syndykalistycznych postulatów związku.

U zmierzchu dekady gierkowskiej Dzielski opublikował w drugim obiegu (pod pseudonimem Adolf Romański) memoriał „Jak zachować władzę w PRL. Życzenia noworoczne dla por. Jerzego Borewicza" (oczywiście chodziło o Sławomira). Potraktował on serialowego milicjanta jako uosobienie cynizmu charakteryzującego w Polsce przełomu lat 70. i 80. reżimowych technokratów. Przeciwstawiał ich ideowym komunistom (takim jak Zubek?), w których z kolei widział przede wszystkim groźnych fanatyków. W obliczu nadciągającego kryzysu lat 80. apelował do bezideowych ludzi władzy – w żartobliwej konwencji życzeń dla Borewicza – o to, aby odważyli się odejść od centralistycznego planowania gospodarczego i zainicjowali reformy wolnorynkowe, ale bez wprowadzania demokracji. Jego argument brzmiał: Polacy mają dość absurdów ekonomii socjalistycznej, lecz bynajmniej nie marzą o demokratyzacji systemu. Priorytetem dla nich jest wygodnie się urządzić w życiu, naprawa świata ich nie interesuje. Dlatego rządzący cynicy powinni społeczeństwu polskiemu wyjść naprzeciw. W zamian za to zachowaliby władzę.

Życzenia Dzielskiego, jak wiadomo, się nie spełniły. W latach 80. komuniści rządzący Polską niczego nie zreformowali, a jedynie ich prominentna część na polskim majątku narodowym się uwłaszczyła. A po por. Borewiczu pozostał serial, który Telewizja Polska na swoich antenach regularnie powtarza – i to niezależnie od tego, nominaci której opcji politycznej tą firmą zarządzają.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 75b7358ee2



„Obraz Europy w lipcu 1772 roku" – praca nieznanego autora przedstawiająca władców Rosji, Austrii i Prus przy stole, na którym leży mapa Polski FOT. DOMENA PUBLICZNA

Dlaczego doszło do rozbiorów



Lech Mażewski

Wielu Polaków uważa, że pozostawanie Rzeczypospolitej w systemie rosyjskiej hegemonii było czymś równie złym – albo może nawet i gorszym – jak rozbiory. Zatem lepiej nie mieć w ogóle własnego państwa, niż posiadać państwo o ograniczonej niepodległości. Ale tego rodzaju pogląd może być tylko wynikiem niezdolności do politycznego myślenia

W wyniku trwającej w latach 1700–1721 wojny północnej państwo polsko-litewskie stało się obszarem rosyjskiej hegemonii. Oznaczało to istotne ograniczenie naszej niepodległości, z jednoczesną gwarancją zachowania integralności terytorialnej. Towarzyszyły temu nie tylko pogłębiająca się anarchia, liczne przypadki zdrady czy sprzeczne dążenia w zakresie polityki zagranicznej, lecz także dość nieporadne przejawy oporu przeciwko utracie niepodległości. Przecież interwencji rosyjskiej podczas drugiej elekcji Stanisława Leszczyńskiego w 1733 r. nie towarzyszyły rozbiór Polski ani ograniczenie jej suwerenności.

Imperialna polityka Piotra I Wielkiego zakładała, że cała Rzeczpospolita ma być wyłącznym protektoratem Petersburga. Władca Rosji bronił integralności państwa polsko-litewskiego zarówno przed zakusami Prus, jak i koncepcjami rozbiorowymi Augusta II. Szymon Askenazy w rozprawce „Rozbiory" twierdził, że polityka Rosji wobec Rzeczypospolitej była „przeciw wszelkiej myśli podziału. Wprost na odwrót, na takiej właśnie myśli podziałowej wspierała się od początku XVIII stulecia polityczna dążność pruska". W 1709 r., tuż po zwycięstwie Rosji nad Szwecją pod Połtawą, król Prus Fryderyk I próbował wyżebrać od Piotra Prusy Królewskie, Żmudź i Kurlandię, ale usłyszał odpowiedź: „Es sei nicht

eprasa.pl 75b7358ee2



praktikabel" („To nie jest wykonalne"). Do czasu konfederacji barskiej w latach 1768–1772 nic się nie zmieniło.

U schyłku panowania Augusta III Prusy pragnęły utrzymać bezwład i anarchię Polski w nadziei opanowania kiedyś ujścia Wisły i połączenia w ten sposób w terytorialną całość swego państwa. Był to cel, który przyświecał Berlinowi od samego początku, czyli od momentu powstania w 1701 r. królestwa pruskiego, składającego się z Brandenburgii i Prus Książęcych, przedzielonych polskimi Prusami Królewskimi. Apetyt Prus rósł w wyniku zwycięskich wojen śląskich (w latach 1740–1742, 1744–1745, 1756–1763). Wówczas to w efekcie zdobycia na Austrii Śląska terytorium monarchii Hohenzollernów przybrało kształt półksiężyca, opasującego zachodnie dzielnice Polski. Teraz już nie tylko zabór Prus Królewskich, lecz także Wielkopolski stawał się oczywistym celem pruskiej polityki. Bez realizacji tych terytorialnych zamierzeń monarchia Hohenzollernów nie uzyskałaby bezpiecznych granic, a potencjalna groźba polskiej inwazji stale by wisiała zarówno nad Berlinem, jak i Królewcem. I tu należy szukać genezy zarówno pierwszego, jak i drugiego rozbioru.

NIEWDZIĘCZNOŚĆ POLSKIEGO KRÓLA

W drugiej połowie XVIII w. głównym celem polityki rosyjskiej stało się zniszczenie imperium tureckiego i nie tylko zapewnienie sobie szerokiego dostępu do Morza Czarnego, lecz także zdobycie również Konstantynopola. Państwo polsko-litewskie miało do odegrania rolę przedmurza, chroniącego Petersburg od ewentualnej koalicji turecko-prusko-austriackiej. Tym bardziej więc Rosja była gotowa bronić we własnym dobrze pojętym interesie naszej integralności terytorialnej, pozostając w zasadniczym konflikcie z terytorialnymi celami polityki Prus wobec Polski. Stąd Katarzyna II była gotowa traktować Polskę jako państwo na poły sojusznicze, na poły zwasalizowane i zawrzeć z Warszawą formalny alians. Taki program zakładał możliwość pewnego wyrwania Polski z letargu. „Nie całkowita anarchia, lecz rząd Rosji uległy; nie demilitaryzacja, lecz armia posiłkowa. Katarzyna II spodziewała się osiągnąć ten cel przy pomocy Stanisława Augusta" – trafnie pisze Emanuel Rostworowski w biografii ostatniego monarchy Rzeczypospolitej.

W latach 1764–1766 pod osłoną wojsk rosyjskich wezwanych przez książąt Czartoryskich rozpoczęła się realizacja programu modernizacji państwa. Stanisław August uważał, że pomoc tę może traktować jako rzecz niezobowiązującą i dlatego nie musi rewanżować się Petersburgowi. Rosji chodziło o wytyczenie granicy czy ukrócenie zbiegostwa chłopów. W rezultacie Katarzyna II poczuła się oszukana – tym bardziej że i negocjacje w sprawie zawarcia aliansu się ślimaczyły.

Rosja, przekonawszy się, że nie osiągnie swych celów przy pomocy króla i książąt Czartoryskich, zdecydowała się zawiązać konfederacje różnowiercze i wciągnąć do gry opozycję staroszlachecką, która w 1767 r. w Radomiu ustanowiła konfederację generalną. Przywódcom szlacheckim pozwolono do czasu łudzić się nadzieją detronizacji Stanisława Augusta i powrotu saskiego ancien régime'u. Ani jedno, ani drugie się nie stało. Opozycja staroszlachecka czuła się wykorzystana i – co jeszcze ważniejsze – upokorzona. Nie doszło bowiem nie tylko do detronizacji znienawidzonego króla, lecz także nastąpiło równouprawnienie dysydentów, co wydawało się, że narusza prawa katolickiej większości. W dużym stopniu za te mało przemyślane i często gwałtowne działania odpowiadał ambasador Rosji w Warszawie kniaź Nikołaj Repnin, animator wydarzeń z lat 1767–1768.

W odwecie za niedotrzymanie przez Repnina wcześniejszych obietnic w Barze na Podolu 29 lutego 1768 r. nastąpiło zawiązanie kolejnej konfederacji, której pierwotnym hasłem było: „Wiary świętej katolickiej własnym życiem i krwią bronić". Po jakimś dopiero czasie pojawił się element walki z rosyjską hegemonią o niepodległość Rzeczypospolitej.

6 października 1768 r. Turcja wypowiedziała Rosji wojnę. W tym momencie Repnin zaproponował Stanisławowi Augustowi, aby Polska przystąpiła do wojny i król objął funkcję generalissimusa armii rosyjskiej. Poniatowski odmówił, wysuwając trudności formalnoprawne, a w głębi serca uważając, że ta wojna to dar niebios, dzięki któremu może udać się zrzucić hegemonię Petersburga. W lecie 1769 r. Michaił Wołkoński, nowy ambasador rosyjski, ponownie zaproponował królowi i książętom Czartoryskim zawiązanie rekonfederacji i przystąpienie Rzeczypospolitej do wojny. I tym razem spotkał się z odmową. Na początku 1771 r. znowu dochodzi do zmiany rosyjskiego ambasadora: do Warszawy przybywa Kaspar von Saldern, który zwraca się do książąt Czartoryskich z propozycją utworzenia konfederacji przeciw barzanom. Ostrzega jednocześnie, że całkowita bierność władz Rzeczypospolitej grozi rozbiorem Polski. Czartoryscy byli głęboko przekonani, że są to puste pogróżki i że Rosja we własnym interesie nigdy do rozbioru nie dopuści. W ich rozumieniu miała powtórzyć się sytuacja z okresu powtórnej elekcji Leszczyńskiego, kiedy Petersburg nie kazał sobie zapłacić za interwencję.

MAJSTERSZTYK DYPLOMATYCZNY

Po długiej i skomplikowanej grze dyplomatycznej, w której istotną grę odegrały Prusy, co wyczerpująco przeanalizował Władysław Konopczyński w pracy „Pierwszy rozbiór Polski", 5 sierpnia 1772 r. w Petersburgu nastąpiło zawarcie trójstronnego traktatu rozbiorowego. Do Rosji i Prus dołączyła jeszcze Austria. Warunkiem uratowania państwa przed katastrofą rozbioru było zdecydowane przeciwstawienie się Poniatowskiego Barowi i przystąpienie do wojny z Turcją. On jednak nie był w stanie zrezygnować z marzeń o uzyskaniu większej niż dotąd niezależności od wschodniej protektorki i dlatego odrzucił propozycje, które przedstawił mu Repnin.

Dopuszczenie do rozbiorów oznaczało klęskę polityki rosyjskiej, a wielki sukces Prus. Monarchia Fryderyka II powiększyła swoje terytorium o upragnione od dawna Prusy Królewskie bez wojny, praktycznie bez użycia siły, nawet bez większego wysiłku finansowego. To istny majstersztyk dyplomatyczny! Koszty rozbioru poniosła wyłącznie Rosja, a więc strona najmniej zainteresowana tym wydarzeniem. Wybuch i trwanie konfederacji barskiej był bez wątpienia jednym z powodów, dla których Katarzyna II zgodziła się na zniszczenie dorobku zwycięzcy spod Połtawy.

eprasa.pl 75b7358ee2

Polska polityka Piotra Wielkiego legła w gruzach. Rosja nie chciała rozbioru Polski, ale mimo to Katarzyna II zrealizowała rozbiorowe projekty Fryderyka II. Po załamaniu się polityki Piotra zwyciężyła koncepcja nowego systemu, który miał otoczyć uszczuploną Rzeczpospolitą – ciągle pozostającą w ramach rosyjskiej hegemonii – zwartym kręgiem mocarstw związanych wspólnictwem rozbiorowym. W nowym systemie nasza sytuacja uległa pogorszeniu, gdyż Rosja przestawała być obrońcą integralności terytorialnej Polski. Ukształtowanie się i dalsze trwanie nowej koncepcji politycznej Katarzyny II, w której teraz występuje ona w roli kontynuatorki dzieła władców moskiewskich, zbierających ziemie ruskie, a nie Piotra Wielkiego, marzącego o hegemonii europejskiej, zależało w dużym stopniu od zachowania elit Rzeczypospolitej. Naturalnym zatem nakazem polskiej polityki stawało się przeczekanie panowania rosyjskiej władczyni, gdyż każdy kolejny konflikt z nią mógł oznaczać dalsze straty, a może i unicestwienie państwa polsko-litewskiego w ogóle.

Na początku Sejmu lat 1788–1792 Polska staje przed dylematem, czy zrzucić dominację rosyjską, nadal gwarantującą integralność terytorialną w kształcie po 1772 r., czy wybrać opiekę Prus, nie zważając na ich zaborczy apetyt, ale z nadzieją, że udałoby się dzięki temu dokonać istotnych reform, a nie jedynie kontynuować powolną naprawę ustroju. Wybrano to drugie, czego przypieczętowaniem było zawarcie 29 marca 1790 r. przymierza polsko-pruskiego. W efekcie doszło do uchwalenia Ustawy Rządowej 3 maja 1791 r., jednak w jej obronie Polska walczyła samotnie z Rosją, bez udziału Prus. Po przegranej Warszawy droga do kolejnego rozbioru, tym razem bez udziału Austrii, została otwarta. Okazało się, że przymierze z Berlinem doprowadziło do skonfliktowania nas z Rosją i w efekcie jej zgody na kolejny podział. Oszukani zostają również twórcy konfederacji targowickiej, którym Katarzyna II obiecała, że do rozbioru nie dojdzie. W trakcie sejmu grodzieńskiego z 1793 r. oba traktaty rozbiorowe, z Rosją i Prusami, zostały zatwierdzone przez posłów. Dokładnie to wyjaśnił Robert Howard Lord w swojej klasycznej monografii „Drugi rozbiór Polski".

Stanisław August uświadomił sobie, że wszelki opór przeciwko koalicji Rosji i Prus jest daremny i by ratować dalsze istnienie państwa, trzeba nastawić się na przetrwanie Katarzyny II. Służyć temu miał nareszcie zawarty pod koniec obrad sejmu grodzieńskiego sojusz polsko-rosyjski o, co prawda, nierównoprawnym charakterze, ale innego w ówczesnych okolicznościach być nie mogło. Poniatowski sądził, że na razie należy przyjąć istniejący stan, nie dawać podstaw do najmniejszego zatargu z Rosją. O działaniach emigrantów po przegranej wojnie w obronie Ustawy Rządowej 3 maja 1791 r., przygotowujących wybuch powstania, mówił w listopadzie 1793 r.: „Wszystkie te kroki, które uważam za bezużyteczne, mogą przecież spowodować nowe zamieszanie i wywołać nową wojnę, której wypadek sprowadzi może trzeci i ostatni podział".

Antoni Trębicki w swoich wspomnieniach pisał, że gdyby nie klęska powstania kościuszkowskiego, szczątkowe państwo polskie mogłoby doczekać wojen napoleońskich

KOŃCOWY ETAP

Akt powstania Tadeusz Kościuszko zaprzysiągł na rynku krakowskim 24 marca 1794 r. 9 kwietnia król pisał do księcia Józefa Poniatowskiego: „Jestem też związany traktatem przymierza podpisanym w Grodnie, a trzymanie się tego przymierza jest jedynym sposobem zachowania pomocy Rosji wobec zachłanności Prus. Użyją one bowiem wystąpienia Kościuszki jako pretekstu, by powiedzieć imperatorowej: należy tych niespokojnych Polaków zgnieść, trzeba podzielić między nas resztę ich kraju aż do zniesienia imienia polskiego. Jest moim obowiązkiem trzymać się Rosji, gdyż ona gwarantuje wolę położenia tamy wszystkim uzurpacjom tamtej strony wobec naszych ziem, pod warunkiem że pozostaniemy wierni naszemu traktatowi przymierza z nią". 15 kwietnia gen. Osip Igelström, ambasador i głównodowodzący rosyjskimi wojskami, mówił do króla: „Dopóki wielka część narodu nie bierze udziału w przedsięwzięciu Kościuszki, mogę zapewnić, że imperatorowa nie pozwoli Prusakom zabrać ani piędzi waszej ziemi i sama tego nie uczyni, jeżeli natomiast insurekcja stanie się powszechna, wszystko ulegnie podziałowi i zostanie zniesione aż do imienia". Wkrótce się to stało. W ostatnim trzecim podziale z 1795 r. Austria wzięła też udział.

Całkowicie nietrafnej oceny tych wydarzeń dokonał po latach znany historyk z okresu PRL Andrzej Zahorski: „Mimo braku szans na zwycięstwo Polacy w 1794 r. musieli się bić, bo zagroziła im zupełna likwidacja nawet tego strzępa zależnego od Rosji państwa, jaki pozostał po drugim rozbiorze. Podejmując walkę, powstańcy kościuszkowscy wykazali instynktownie zrozumienie polskiej racji stanu". Jest to kompletna nieprawda. Już dawno temu refutacji tego stanowiska dokonał Antoni Trębicki, który w swoich wspomnieniach pisał, że gdyby nie klęska powstania kościuszkowskiego szczątkowe państwo mogłoby doczekać wojen napoleońskich i czy „nie byłyby się tak złożyły okoliczności, iżby egzystencja Polski dla samej równowagi Europy była przywrócona".

Istnieją liczni Polacy, którzy uważają, że pozostawanie Rzeczypospolitej w systemie rosyjskiej hegemonii było czymś równie złym – albo może nawet i gorszym – jak rozbiory. Zatem lepiej nie mieć w ogóle własnego państwa, niż posiadać państwo o ograniczonej niepodległości. Ale tego rodzaju pogląd może być tylko wynikiem niezdolności do politycznego myślenia. Spod hegemonii można się prędzej czy później wybić na niepodległość. Zadaniem elit Rzeczypospolitej było tego właśnie dokonać. Jest zrozumiałe, że w realiach drugiej połowy XVIII w. nie mogło się to udać jednym aktem (np. za pomocą zrywu powstańczego), że musiał być to końcowy etap długofalowej polityki. Tak się jednak nie stało, a zamiast tego doszło do rozbiorów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 75b7358ee2





Z Tomaszem Kempińskim, pisarzem
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Arkady Fiedler i jego protektorzy

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Narcyz, sknera, autokrata, uwodziciel, konformista – demitologizuje pan wizytówkę polskiej literatury podróżniczej.

TOMASZ KEMPIŃSKI: Biografia nie jest laurką, a biograf to nie apologeta, ale nie używałbym aż tak dosadnych pojęć. W ramach dekonstrukcji przedstawionej postaci starałem się pokazać różne cechy jej osobowości, nie tylko negatywne. Oczywiście widoczny był u niej rys narcystyczny. Ktoś rozrzutny z pewnością nazwie Fiedlera, prowadzącego dość ascetyczny tryb życia, sknerą, ale z drugiej strony zdarzało mu się bezinteresownie pomagać finansowo przyjaciołom w potrzebie. Bywał stanowczy i dominujący wobec otoczenia, nie pożądał jednak władzy, więc autokratą bym go nie nazwał.

Co do uwodzicielstwa, to istotnie miewał romanse, a u jego boku zawsze obecna była młoda sekretarka. Tworzył wokół siebie aurę romantyka czułego na wdzięki niewieście. Warto jednak zastanowić się, czy wizerunek ten był obrazem prawdziwej natury pisarza czy może mamy tu do czynienia z aktem literackiej autokreacji mającym uczynić opisywane historie bardziej atrakcyjnymi dla masowego odbiorcy.

Jerzy Pilch w jednym z wywiadów tłumaczył szczególnie bogatą reprezentację uwodzicieli wśród znanych literatów faktem, że polowanie erotyczne jest polowaniem na czytelniczkę, co zdaje się potwierdzać przypadek Fiedlera. Dwunastoletnia Peruwianka Dolores, jego domniemana kochanka, była mu towarzyszką i pomocnicą podczas polowań na ptaki oraz łowów motyli, mógł zatem wykorzystać ten wątek dla dodania pikanterii swojej opowieści. Dla równowagi z cech pozytywnych uwagę zwracają siła woli Arkadego dająca moc realizowania marzeń, sumienność i konsekwencja w działaniu. Jak powiedział Zygmunt Pniewski, przyjaciel Fiedlera i towarzysz podczas wyprawy do Brazylii w 1967 r.: „Arkady był jak stary wojak, był człowiekiem bardzo zdyscyplinowanym. Co postanowił, to robił. Można było mieć do niego zaufanie".

W jakimś stopniu wykazywał się konformizmem, radząc sobie doskonale w dwóch przeciwstawnych porządkach politycznych: sanacji i komunizmu, ale – co ważne – był jednocześnie propaństwowcem akceptującym każdą polską władzę.

Decyzję o powrocie do kraju po drugiej wojnie światowej podjął dzięki „Rękojmi dobrego jutra", udzielonej mu przez Jerzego Borejszę, a z komunistycznych opresji wydobyli Fiedlera Izabela Czajka i Wiktor Grosz?

Uściślijmy. „Rękojmia dobrego jutra" to tytuł artykułu Fiedlera, który ukazał się w „Nowej Kulturze" w 1952 r. Jeśli przyjąć, że komunizm wyrosły na gruncie chrześcijańskiej Europy nosił znamiona ideologii quasireligijnej, to tekst ów jawi się jako manifest zbłąkanej duszy powracającej na łono Kościoła. Nie mamy tu jednak do czynienia z fenomenem iluminacji, lecz z procesem dojrzewania. Pisarz nie kaja się i nie składa samokrytyki, ale przyznaje, że w swych dawnych książkach zbyt wielką wagę przykładał do spraw przyrody. Zapewnia jednak, że z każdą kolejną podróżą dostrzegał kolonialny wyzysk ludów podbitych, dochodząc z czasem do przekonania, że ten drapieżny system musi źle skończyć. Wedle słów Arkadego proces ten właśnie się rozpoczął i postępuje. Jak pisał, każdy, kto przemierzał ścieżki dawnego kapitalistycznego świata i miał okazję doświadczyć jego nieprawości, ten wie, że u nas jest wszystko to, czego brakuje w tamtym ginącym świecie, czyli uczciwy projekt i jasna droga do celu wytyczona przez plan sześcioletni, uchwalenie konstytucji, Front Narodowy oraz wybory do Sejmu. Wszystko to stanowić ma tytułową rękojmię dobrego jutra. Wkrótce potem napisał cykl kilku artykułów chwalebnych na temat wspaniałości życia w Związku Sowieckim wiedzionym troskliwą ręką Stalina.

Jerzy Borejsza, postać nietuzinkowa, szara eminencja reżimu, mecenas poetów i literatów, twórca potężnej Spółdzielni Czytelnik, był animatorem powrotu do kraju wielu twórców kultury, w tym też Fiedlera. Skusił go obietnicą dostatniego życia i wizją wielotysięcznych nakładów. Natomiast Izabela Czajka i Wiktor Grosz to dobrzy znajomi Arkadego z czasów przedwojennych. Ona skandalistka i muza poetów, on zaś lewicowy publicysta – stali się postaciami wpływowymi w komunistycznej hierarchii. Czajka była oficerem Ludowego Wojska Polskiego z szerokimi koneksjami towarzyskimi, a Grosz generałem i dyplomatą. Całą trójkę uznać można za protektorów Arkadego, którzy mieli swój udział w przyszłym jego sukcesie.

Poznański Czerwiec... przespał?!

Podczas dramatycznych zajść poznańskiego Czerwca 1956 r. zabiegi Arkadego wokół przygotowań do pierwszej podróży od momentu zatrzaśnięcia żelaznej kurtyny wchodziły już w fazę decydującą. Doskonale musiał zdawać sobie sprawę, jaką reakcję władz mógł wywołać choćby cień poparcia dla zbuntowanych robotników. Dzień wybuchu rebelii spędził w zakładzie rzemieślniczym swego przyjaciela Tomasza Wolfa przy poznańskich Alejach Marcinkowskiego. Ponoć

eprasa.pl 75b7358ee2



Arkady Fiedler dopiero u schyłku PRL, pod koniec życia, zdołał odzyskać względną swobodę wyjazdów FOT. NAC

leżał tam na kanapie i drzemał. Czy na pewno była to tylko drzemka znużonego starszego mężczyzny? Może jednak toczyła się w nim jakaś wewnętrzna batalia: konformizm kontra poczucie społecznego solidaryzmu.

Zwłaszcza że za młodu odwagi mu nie brakowało...

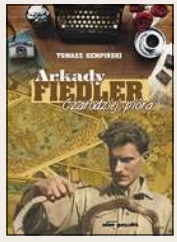
Uczestniczył w powstaniu wielkopolskim, ale pełnił funkcje administracyjne, nie brał bezpośredniego udziału w walkach. Po dezercji z armii pruskiej wstąpił do Polskiej Organizacji Wojskowej Zaboru Pruskiego, później powołano go do Rady Jedenastu, organu zarządzającego siłami powstańczymi. W trakcie powstania prowadził biuro werbunkowe. Po przekształceniu armii powstańczej w armię regularną współtworzył poznańską Żandarmerię Krajową.

A jak został pokrzepicielem serc rodaków?

Najprawdopodobniej z polecenia władz emigracyjnych, choć Fiedler utrzymywał, że była to jego inicjatywa. Otrzymał stypendium z Funduszu Kultury Narodowej i zakwaterowany został w Northolt, miejscu stacjonowania 303. Dywizjonu Myśliwskiego Warszawskiego im. Tadeusza Kościuszki. Miał bardzo dobre kontakty z pilotami i całym personelem, przyjęto go tam serdecznie. Lotnicy chętnie dzielili się z nim wspomnieniami z walk, korzystał też z dziennika dywizjonu prowadzonego od początku jego działalności, jeszcze we Francji.

„Dywizjon 303", „Dziękuję ci, kapitanie" zdobyły poczytność oraz rozsławiły nasze wojsko, ale też przysporzyły autorowi kłopotów.

Idea reportażu o walce polskich lotników w bitwie o Anglię napisanego przez Fiedlera od początku nie była w smak niektórym wyższym oficerom sztabowym. Próbowano odsunąć Arkadego od pracy nad książką. Dopiero interwencja gen. Sikorskiego położyła kres intrydze. Niemniej w maju 1941 r., na łamach tygodnika „Polska Walcząca – Żołnierz Polski na Obczyźnie", opublikowano artykuł Janusza Meissnera zatytułowany „Piloci bez kamuflażu". Autor przekonywał, jakoby Fiedler polskiego wojska nie lubił, a ponadto nie ma pojęcia o lotnictwie, więc jego książka będzie bezwartościowa. Meissnerem powodowała zawiść, ponieważ będąc pilotem, chciał sam pisać o 303. Dywizjonie. Nie udało mu się to, bo nie cieszył się poważaniem myśliwców. Uważali go za mitomana i pilota przeciętnego. W odpowiedzi na artykuł Meissnera lotnicy Dywizjonu zażądali wydrukowania ich listu protestacyjnego na łamach gazety, jednak redaktor naczelny Tymon Terlecki odmówił.



TOMASZ KEMPIŃSKI „ARKADY FIEDLER. CZARODZIEJ PIÓRA" 2025

Krótko potem odbywało się plenarne posiedzenie polskiego PEN Clubu w Londynie. Wówczas to Fiedler odmówił podania ręki Terleckiemu, kiedy ten podszedł do niego, aby się przedstawić. Ponieważ zdarzenie miało wielu świadków, redaktor poczuł się znieważony i zapragnął bronić swej czci przed obliczem Oficerskiego Sądu Honorowego. Z uwagi na wyjazd Fiedlera do Ameryki sprawa znalazła swój finał dopiero trzy lata później. Podczas rozprawy w październiku 1944 r. sąd wydał orzeczenie, w którym Fiedlera uznał winnym naruszenia godności oficera i za ten czyn skazał go na karę nagany.

Przewrażliwienie na krytykę i niesnaski z edytorami wynikały z poczucia niedocenienia (niesłusznego, zważywszy na ponad 10-milionowe nakłady i przekłady na 23 języki!) twórcy „trzygroszowych reportaży" – jak zdefiniował bohatera pańskiej książki Jarosław Iwaszkiewicz?

Tak, od początku kariery pisarskiej, od okresu międzywojennego aż po czasy komunizmu, Arkady czuł się niedoceniany. Krótko przed wojną mieszkał w Warszawie, gdzie chciał zdobyć uznanie stołecznych elit kulturalnych, lecz miał wrażenie, że jest postrzegany

eprasa.pl 75b7358ee2



w tych kręgach niczym „prymitywny narwaniec, któremu nie odmawiano pewnych zdolności literackich". Podobnie było w PRL, kiedy zamieszkał w podpoznańskim Puszczykówku. Środowisko literackie stolicy Wielkopolski, zazdrosne o masową popularność Fiedlera, nie rekomendowało go do nagród i wyróżnień. Może właśnie dlatego pojawianie się nielicznych i nieśmiałych głosów krytycznych wzbudzało irytację Arkadego. Oraz pretensje do redakcji, które owe passusy drukowały. Szukał wsparcia u sekretarzy poznańskiego KW PZPR towarzysza Stefana Olszowskiego, Jana Szydlaka i Kazimierza Barcikowskiego

Rolę flagowego globtrotera PRL zyskał uległością wobec jej władz?

Żeby funkcjonować w komunistycznym systemie, na długie lata wyrzekł się niezależności, stając się kimś w rodzaju oficjalnie podróżującego urzędnika nadającego kształt wizjom Polaków o egzotycznym świecie. Dopiero u schyłku PRL, pod koniec życia, zdołał odzyskać względną swobodę wyjazdów.

Słyszał pan o hipotezie sugerującej kontakty pisarza z wywiadem?

Bez współpracy z komunistycznymi służbami jego wyprawy raczej nie byłyby możliwe. Zapewne jakieś raporty musiał składać, może nawet otrzymywał określone zadania do wykonania, np. wśród Polonii kanadyjskiej czy brazylijskiej. Nie dotarłem jednak do żadnych dokumentów, które by to potwierdzały.

Dlaczego ocenzurował „Radosnego ptaka drongo" oraz „Gorącą wieś Ambinanitelo"?

Niekoniecznie to była cenzura. Miał w zwyczaju traktować swe utwory jak literacki budulec, manipulując niekiedy ich treścią. Krótko przed wojną ukazała się w Polsce książka „Jutro na Madagaskar!" Wznowiono ją w Londynie – w 1944 r. – jako jeden tom, ale w dwóch częściach noszących tytuły „Żarliwa wyspa Beniowskiego" i „Radosny ptak drongo". Edycja zawierała nowe elementy w stosunku do wydania pierwszego, usunięto nieaktualne już wątki dotyczące naszych aspiracji kolonialnych. Dwa lata później obie części opublikowano w Polsce jako osobne pozycje. Natomiast rok 1953 przynosi książkę „Gorąca wieś Ambinanitelo", której treść to przekształcony „Radosny ptak drongo". Pojawiają się te same sceny, lecz autor ograniczył przestrzeń do doliny Ambinanitelo. Ujawnia się zupełnie nowa struktura klasowa wsi, mieszkańcy mają teraz poglądy polityczne i są świadomi niesprawiedliwości społecznej pod jarzmem kolonializmu. Jeden z bohaterów poprzedniej wersji jest teraz zakonspirowanym komunistą trzymającym w ukryciu dzieła Lenina! Z kolei w roku 1957 ukazała się „Wyspa kochających lemurów" będąca kompilacją „Żarliwej wyspy Beniowskiego" i „Jutro na Madagaskar!" również z widocznymi zmianami w akapitach.

Strzały Amora często go trafiały?

Żenił się dwukrotnie. Z pierwszą żoną, Janiną Ritter, rozszedł się po niemal 15 latach pożycia, drugą – Marię Maccariello – poślubił w wojennym Londynie. Chwalił się też licznymi kochankami, choć trudno dociec, ile w tych opowieściach było prawdy. Przygody erotyczne opisał w ostatniej książce „Kobiety mej młodości" wydanej już po śmierci autora.

Miejsce na ziemi znalazł w Puszczykówku?

Władze przydzieliły mu tam willę, którą spłacał ratalnie przez wiele lat. Przydziałowi towarzyszył swoisty teatr absurdu, co opisuję dokładnie w książce. Ponadto pod koniec lat 50., na prośbę Arkadego, przyznano mu niewielki, skromny lokal na poddaszu kamienicy przy Placu Wolności w Poznaniu, gdzie urządził pracownię literacką. Właśnie tam tworzył i przebywał najchętniej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Tomasz Kempiński – autor książki „Arkady Fiedler. Czarodziej pióra".

eprasa.pl 75b7358ee2



KOMUCHOŻERCA

Dwie pałki

LESZEK ŻEBROWSKI

Tkwimy w środku wojny ideologicznej, w której narzędziem agresji jest m.in. język. Ta wojna nie musi prowadzić wprost do rozlewu krwi, choć i to się zdarza. Jej celem jest takie opanowanie społeczeństwa, aby je rozbroić i uczynić podatnym na rzecz cichego agresora. Jeśli te sfery naszego życia nie są przez nas dostatecznie bronione, to jad szkodliwej propagandy wyrządza szkody nieodwracalne. Jest to walka wszelkiej maści lewicy z zastanym porządkiem, czyli z siłami chcącymi bronić prawego porządku świata i systemu wartości. W tym sensie walka lewicy z prawicą o zniesienie barier naturalnych (niekoniecznie od razu, praktyka wskazuje, że są to etapy) jest walką o narzucenie przede wszystkim nowych pojęć i reinterpretację tych już mocno zakorzenionych w społeczeństwie.

Pod koniec epoki PRL ówczesna komunistyczna Rzecznik Praw Obywatelskich (w tamtej epoce nazwa tej instytucji brzmiała niedorzecznie) dokonała nowej wykładni pojęcia „demokracja". Orzekła, że jego klasyczne rozumienie – jako rządy, wola większości – jest nieadekwatne i należy to traktować jako „szczególną ochronę praw mniejszości". Ale czym to się różni od dyktatury, jeśli mniejszość może narzucać swe rządy większości?

Podstawowe narzędzia, czyli pałki do bicia przeciwników, to „faszyzm" i „antysemityzm". Bardzo groźnym narzędziem jest psycholingwistyka. Polega ona na zmianie znaczenia słów. Od lat orężem agresji psychologicznej jest wynaturzenie słowa „faszyzm", notorycznie kojarzonego z „prawicą", choć wywodzi się ono wprost z socjalizmu. Z prawicą nigdy nie miał on nic wspólnego. W tym kontekście faszyzm to ludobójstwo i krematoria, a winna temu jest prawica. W ten sposób agresorzy osiągają różne cele. Po pierwsze, zmuszają nas do obrony, ale na ich warunkach, bo musimy się tłumaczyć. Po drugie, odsuwają od siebie wszelkie podejrzenia – skoro prawica jest tak zła, to lewica jest dobra. Po trzecie, rozpowszechniają przekonanie, że totalitarne systemy są wytworem myśli prawicowej, natomiast na lewicy są wyłącznie „błędy i wypaczenia".

Inne pojęcie, które też jest inwektywą, to „antysemityzm". Szczególnie Polacy mają tu niezwykle negatywne doświadczenia, jeśli chodzi o opisywanie nas w czołowych mediach światowych. „Polski antysemityzm" ma być naszą cechą narodową. Przyzwyczajamy się do obelg, niestety. Ale to nasz bardzo poważny błąd – nie chodzi przecież o to, jakie wrażenie zrobi to na nas, chodzi bowiem o utrwalenie negatywnego obrazu w świecie. Jest to metoda dywersji psychologicznej, polegająca na osłabianiu naszych zdolności obronnych. ©℗



HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Pierwsza lampa naftowa

SŁAWOMIR KOPER

Informacje o złożach ropy na terenie dzisiejszej zachodniej Ukrainy sięgają czasów średniowiecza. Od setek lat znajdowano w zagłębieniach gruntu cuchnącą, łatwopalną ciecz używaną przez mieszkańców do smarowania kół wozów i narzędzi rolniczych. Na początku XIX stulecia podjęto pierwsze próby destylacji i niejaki Józef Hecker (Czech z pochodzenia) osiągnął sukces. W Drohobyczu pojawiły się naftowe latarnie uliczne, a w pobliskim Samborze oświetlono w ten sposób koszary. Ale wynalazek Heckera nie miał przed sobą przyszłości, powierzchniowe pokłady surowca były niewielkie, a nie znano jeszcze głębinowych metod eksploatacji. W efekcie proces destylacji poszedł w zapomnienie i nikt nie przypuszczał, że ropa naftowa ma przed sobą ogromną przyszłość.

Postępu jednak nie można zatrzymać i to, co raz zostało odkryte, niebawem wynaleziono ponownie. Ignacy Łukasiewicz opracował proces destylacji ropy i 30 marca 1853 r. pierwsza lampa naftowa oświetliła wystawę lwowskiej Apteki pod Złotą Gwiazdą, w której był zatrudniony. Jeszcze większą sensację wywołała iluminacja szpitala na Łyczakowie, co zapoczątkowało światową karierę wynalazku aptekarza. Nie brakowało już surowca, nowoczesne metody eksploatacji umożliwiły dostarczanie odpowiedniej ilości ropy.

Gorączce naftowej zawdzięcza karierę Truskawiec. O miejscowych wodach mineralnych pisano wprawdzie już w czasach Stefana Batorego, ale dopiero podczas poszukiwań ropy natrafiono na bogate złoża umożliwiające ich eksploatację. Do dzisiaj wśród miejscowych wód króluje Naftusia, lecząca podobno rozliczne dolegliwości. Jak na skuteczne lekarstwo przystało, posiada wyjątkowo obrzydliwy smak przypominający mieszaninę nafty z wodą.

Do wynalazku Łukasiewicza nawiązuje lwowski lokal Gasowa Lyampa w Zaułku Ormiańskim. Posąg wynalazcy siedzącego na ławeczce ulokowano przed kamienicą, a wewnątrz znajduje się ogromna liczba lamp naftowych.

W lokalu można napić się bardziej konwencjonalnych trunków, ale jego specjalnością są nalewki o nazwach związanych z destylacją ropy: benzynówka, gazówka czy naftówka. Podawane w menzurkach (!) jak produkty laboratorium chemicznego, różnokolorowe, o intensywnym zapachu. Będąc w tym lokalu, oglądałem je z niejakim przerażeniem i pomyślałem, że taki miks może być początkiem poważnych problemów gastrycznych, z miotaniem wiktem włącznie. Dlatego poprzestałem na piwie, które podano mi w dużym kieliszku. Żałowałem, że nie w menzurce czy kolbie albo retorcie… ©℗

eprasa.pl 75b7358ee2

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"



W PREZENCIE

KSIĄŻKI

KS. JERZY JASTRZĘBSKI: „DROGA KRZYŻOWA Z BŁ. KS. JERZYM POPIEŁUSZKĄ", GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTIAN KRATIUK, PAWEŁ LISICKI: „ŚWIAT I KOŚCIÓŁ W KRYZYSIE"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~763 ZŁ~~

309,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 454 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- **Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail**
- **Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.**

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 75b7358ee2

Orbán i cień Churchilla





Maciej Szymanowski

Demokracja parlamentarna rzadko wynosi do władzy polityków wymykających się schematom. Viktor Orbán jest jednym z takich wyjątków – przywódcą, którego fenomen wymyka się prostym kategoriom

Demokracja parlamentarna – ustrój polityczny najbardziej niechętny wynoszeniu do władzy silnych osobowości – od czasu do czasu sprawia niespodzianki. Taką niespodzianką był „potomek numer siedem" w książęcej linii Marlborough, czyli Winston Leonard Spencer Churchill. Wydawałoby się, że Viktor Orbán – urodzony w Alcsútdoboz (z węgierskiego: Droga przy Pudłach Dolnych), wsi tak małej, że nawet mapy GPS potrafią się zgubić, a Wikipedia nie publikuje zdjęć tego przysiółka – jest postacią z innej bajki. W odróżnieniu od Winstona L.S. Churchilla wieloletni premier Węgier nie napisał też własnej autobiografii, którą tak naprawdę jest wielotomowa „Druga Wojna Światowa" i za którą brytyjski przywódca otrzymał Literacką Nagrodę Nobla. Biografie Viktora Orbána powstały – w bardzo różnych okresach – raptem trzy. Ich autorów (w tym jednego Polaka) łączy jedno: wszyscy zgodnie przeszli od słabo ukrywanej fascynacji osobowością premiera Węgier do równie słabo później ukrywanej niechęci do niego.

„Dyktator", wygrywający nieprzerwanie od 2010 r. wybory parlamentarne, których uczciwości żadna organizacja międzynarodowa – w tym Unia Europejska – nie podważyła. „Najlepszy przyjaciel Putina", za którego rządów Węgry zostały wpisane przez Kreml na czarną listę państw nieprzyjaznych. „Antysemita", którego Beniamin Netanjahu tytułuje określeniem „mój najdroższy przyjaciel", wyrażając wdzięczność za to, że izraelskie drużyny od lat mogą rozgrywać międzynarodowe spotkania na węgierskich stadionach.

DROGA DO POLITYKI

Viktor Orbán przyszedł na świat w 1963 r. jako owoc małżeństwa młodych studentów agrotechniki. Wychował się w biedzie. Do dzisiaj zresztą prowadzi skromne życie. Pokazywane przed kilkoma laty w niektórych polskich mediach zebry biegające przed pałacem na domniemanym ranczu Viktora Orbána są wytworem defamacyjnej kampanii. To nie premier Węgier, ale jego ojciec, właściciel żwirowni, jeszcze przed 1989 r. zakupił zrujnowany przez komunistów majątek ziemski. Na kredyt. Spłacany następnie przez 30 lat m.in. z pieniędzy z podnajmu pastwisk na wypas różnych zwierząt.

Jak wielu wówczas młodych Węgrów był wychowywany w cieniu „wyzwolenia" 1945 r. oraz sowieckiej pacyfikacji powstania 1956 r., o czym niewielu rodziców miało odwagę rozmawiać nawet z własnymi dziećmi, ale co chłonęło się mimochodem z podsłuchanych rozmów dorosłych, z półzdań wypowiadanych przez nauczycieli w szkole. Antykomunizm wyssany z mlekiem matki – dałoby się powiedzieć. Dziś, po odsunięciu od władzy Mateusza Morawieckiego w Polsce oraz Janeza Jansy w Słowenii, rzadkość nad rzadkościami wśród przywódców państw Unii Europejskiej. Marznięcie we własnym zamku w Schloss, na co w jednym z wywiadów skarżyła się Ursula von der Leyen, a marznięcie

eprasa.pl 75b7358ee2


FOT. MTI/PRIME MINISTER'S PRESS OFFICE/ZOLTÁN FISCHER

w czołgu w grudniowe noce 1980 r., podczas słynnych manewrów Układu Warszawskiego, które miały zamienić się wzorem Czechosłowacji 1968 r. w atak na Polskę, nie do końca są tym samym.

Służba wojskowa jest czasem, kiedy Viktor Orbán zaczyna interesować się historią Polski. O polskiej antykomunistycznej opozycji pisze zresztą później pracę magisterską. W marcu 1988 r., wraz z grupą przyjaciół studiujących prawo, współzakłada partię polityczną Fidesz, której honorowym przewodniczącym stanie się polski historyk z Uniwersytetu Jagiellońskiego, w czasie drugiej wojny światowej legendarny kurier tatrzański – prof. Wacław Felczak.

Powszechnie uważa się, że politykiem Viktor Orbán stał się w czerwcu 1989 r., kiedy podczas uroczystego pogrzebu przywódców powstania 1956 r., wcześniej pogrzebanych na wysypisku śmieci, publicznie zażądał natychmiastowego wycofania się sowieckich wojsk z terytorium Węgier. Wydaje się jednak, że pierwszy stress test, używając terminologii ze świata finansów, prawdziwa lekcja Realpolitik, staje się udziałem Viktora Orbána w 1994 r. To wtedy na bazie frustracji społecznej związanej z wysokimi społecznymi kosztami transformacji popularność partii Fidesz najpierw niebotycznie rośnie, aby następnie zderzyć się z doktryną Jánosa Kisa, znanego filozofa, po 1989 r. wielkiego zwolennika sojuszu liberalnych środowisk z postkomunistami: „To my wyciągnęliśmy Was z kosza na śmieci, i to my teraz Was tam wrzucimy".

W Fideszu następuje rozłam, a partia staje się obiektem masowej negatywnej kampanii medialnej. Zamiast zdobycia spodziewanych 50 proc. głosów pozwalających sięgnąć po władzę Fidesz w 1994 r. ledwo przekracza próg wyborczy. Tym lepiej zapewne smakowało wyborcze zwycięstwo odniesione cztery lata później. Tym bardziej gorzko smakowało zwycięstwo w wyborach 2002 r., kiedy po czterech latach udanych rządów Fidesz co prawda wygrał wybory, ale większością miejsc w parlamencie ponownie okazała się dysponować koalicja postkomunistów z liberałami SZDSZ. Węgierska prasa rozpisywała się wówczas o wielomiesięcznej depresji, w którą miał popaść Viktor Orbán z powodu tego zwycięstwa, które okazało się porażką.

Jeśli to ostatnie jest prawdą, to była to depresja typu black dog, jak zapisywał w swojej książce Churchill. W sumie ostatnia rzecz, o którą powinni modlić się polityczni przeciwnicy. To bowiem czas, kiedy Viktor Orbán przebudowuje Fidesz w masową partię, której baza członkowska przekracza 100 tys. osób, co nawet w polskich realiach robi do dzisiaj wrażenie. Kolejne zachęcone przez Viktora Orbána podczas morderczych podróży po kraju wzdłuż i wszerz ponad 100 tys. osób to członkowie najprzeróżniejszych stowarzyszeń: od filatelistów po wędkarzy znad Dunaju czy Cisy. To osoby, które nie chcą mieć nic wspólnego z polityką, nie widzą się w żadnej partii, ale aktywnie zaczynają wspierać Fidesz, by bronić swojego stylu życia.

Paralela. Literacka przenośnia. Ale jeśli ktoś kiedyś popełni na Węgrzech zabójstwo motywowane polityczne, to raczej rozegra się ono w jednej z nadbalatońskich miejscowości, podczas konkursu na Gulasz Roku. (Notabene jest ich multum i w zasadzie wakacje nad Balatonem da się spędzić tak, że wykupując kupon za 1 tys. forintów – równowartość 10 zł – da się zażywać zarówno kąpieli w ciepłym jeziorze, jak i degustować smaki dziesiątków potraw dziennie).

Równolegle Viktor Orbán dużo podróżuje, zaprasza na wielogodzinne spotkania osoby ze świata nauki, biznesu, mediów i oczywiście polityki. Tak naprawdę niewiele o tych spotkaniach wiemy, ponieważ premier Węgier praktycznie o nich nie mówi. Gdyby nie „gadatliwość" Donalda Trumpa, nie wiedzielibyśmy, że panowie regularnie raz w miesiącu rozmawiają ze sobą telefonicznie na temat Unii Europejskiej. Chyba łatwiej byłoby wymienić laureatów Nagrody Nobla w dziedzinie fizyki czy chemii, którzy nie spotkali się z premierem Węgier na dłuższej rozmowie, niż odwrotnie. Organizowany corocznie przez Centrum Praw Podstawowych w Budapeszcie Kongres Konserwatystów CPAC odbywa się paralelnie: w wynajętej na dwa–trzy dni wielotysięcznej hali oraz rządowej siedzibie premiera Węgier – nomen omen zwanej kalostor – klasztor. Dokładnie tak, jak ulubione miejsce pracy Churchilla w Gibraltarze.

Wracając jeszcze na chwilę do czasów Fideszu w opozycji, nie sposób nie wspomnieć o pacyfikacjach antyrządowych demonstracji na ulicach Budapesztu oraz innych większych węgierskich miast jesienią 2006 r. Niektóre z prześladowanych wówczas osób, które spodziewały się aresztowania, a które dziś niejednokrotnie pełnią wysokie państwowe funkcje, uciekły za granicę, w tym do Polski, uzyskując gwarancję bezpieczeństwa, pracę i różne stypendia.

Zwłaszcza z dzisiejszego punktu widzenia rok 2006 wydaje się również o tyle istotny, że to wtedy grupa młodych węgierskich prawników, jak późniejsza wieloletnia minister sprawiedliwości Judit Varga oraz jej ówczesny mąż Péter Magyar, dziś kandydat na premiera oraz główny lider antyorbanowskiej opozycji, zaangażowali się w akcję obrony prześladowanych, świadcząc bezpłatną pomoc prawną.

CZAS TRIUMFU

Rok 2010 to czas triumfu Fideszu oraz samego Viktora Orbána. Większość dwóch trzecich mandatów w parlamencie, przy pełnych szufladach ustaw, toruje

eprasa.pl 75b7358ee2

drogę do wielu strukturalnych reform w kraju. Pomimo katastrofalnej sytuacji finansowej państwa, z której to właśnie Viktor Orbán w czasie krótszym niż dwa lata kraj wyprowadza, albo dzięki niej. Tu kryje się odpowiedź na pytanie, dlaczego w kolejnych latach Węgrzy tak chętnie oddają swoje głosy na Fidesz i jej lidera. W zmianie polityki „pieniędzy nie ma i nie będzie" na politykę niższych podatków (jak liniowy dochodowy), wyższych dochodów, dużych inwestycji. Ale również stworzenia warunków do zbudowania nowej klasy średniej. Już bez komunistycznych korzeni, czego widocznym znakiem stało się odebranie 40 tys. punktów sprzedaży funkcjonariuszom węgierskiej Służby Bezpieczeństwa. Wspólnoty religijne: rzymskokatolicka, luterańska czy kalwińska – do której przynależy sam Viktor Orbán, 20 tys. nowo powstałych organizacji pozarządowych, korzysta z praw i wolności wolnego świata – chciałoby się powiedzieć. Tego wolnego świata, jak UE, która jednocześnie przyznaje środki na SAFE chyba tylko po to, aby ich wypłaty natychmiast odmówić, i nałożyła w sumie ok. 1,5 mld euro kary za nieudostępnianie przez Węgrów swojego terytorium dla nielegalnych imigrantów – i długo można byłoby jeszcze tę listę ciągnąć. Włącznie ze środkami z KPO, które opozycja obiecuje uruchomić natychmiast po przejęciu władzy. Choć muszą one być „wyfakturowane" do końca br., czego nie byliby w stanie „załatwić" bułgarscy ministrowie. Znani skądinąd z najwyższych możliwych kwalifikacji, co do przyjmowania unijnych środków, przy których Grecja wygląda jak ubogi i coraz uboższy krewny.

Viktor Orbán to oczywiście temat na książkę, nie artykuł. Nawet w dzisiejszych niespokojnych czasach potrafi – jak niedawno w Kaposvár – wejść w tłum bez żadnej ochrony. Podobnie jak jego dzieci, które jeździły metrem czy podmiejską kolejką na uniwersyteckie zajęcia. W Europie nie ma w tej chwili przywódcy, który przez godzinę czy dwie odpowiadałby na niecenzurowane w żaden sposób pytania. Orbán cierpi na typową przypadłość osób inteligentnych – jest introwertykiem. Jeśli wypowiada się bardziej otwarcie, to naprawdę są to wyjątkowe sytuacje, zwykle wobec osób młodych, studentów, np. w czasie Uniwersytetu Letniego w Siedmiogrodzie. Mediów nie cierpi. Zwłaszcza tych zbudowanych na konflikcie i kliknięciach.

W 2026 r., w wieku 62 lat, po raz kolejny startuje w wyborach. Po raz kolejny jako outsider z 10–20-procentową stratą w sondażach w stosunku do lidera. Z ciężką kontuzją kolana, którą przypłacił otyłością oraz zapewne problemami z wykorzystaniem piłek (trzech) oraz innymi sportowymi gadżetami podarowanymi przez premiera Donalda Tuska. Nic nie wskazuje na to, aby źle radził sobie ze swoim wiekiem. Pięcioro dzieci, sześcioro wnuków i żona, która w zasadzie jako żywa tarcza pojechała na czele dużego konwoju humanitarnego na Ukrainę w marcu 2022 r., niewątpliwie służą temu politykowi wsparciem, którego wielu innych w Europie może mu tylko pozazdrościć.

Nie udało mu się znormalizować stosunków z Kijowem w latach ubiegłych. Dziś mało kto pamięta, że jak tylko Ukraina ogłosiła niepodległość, Węgry tego samego dnia nawiązały stosunki dyplomatyczne, kilka dni później otworzyły jako pierwsze europejskie państwo ambasadę w Kijowie, a nawet rozegrały pierwszy mecz międzypaństwowy (w piłkę nożną). Relacje z Belgradem, Bratysławą czy Bukaresztem są najlepsze od dziesięcioleci. Z Wiedniem i Zagrzebiem też są dobre. Kto wie, czy gdyby nie duża skala pomocy finansowej świadczonej na rzecz takich bałkańskich państw jak Serbia, Bośnia i Hercegowina, ten zapomniany dziś przez resztę świata zakątek Europy cieszyłby się jeszcze pokojem? Statystyka wizyt Viktora Orbána na Bałkanach w ostatnim dziesięcioleciu jest jednoznaczna. Trzy do jednego na korzyść premiera Węgier, w porównaniu z wizytami szefowej KE, premierów z Berlina i Paryża razem wziętych…

POLSKA CZY RUMUNIA

„Lista żądań IMF [Międzynarodowego Funduszu Walutowego – przyp. red.] jest długa i nie jest zgodna z interesami naszego narodu. Nie zamierzamy przeprowadzać głębokich cięć budżetowych, zwłaszcza w szkolnictwie, opiece zdrowotnej i transporcie publicznym. Nie będziemy zmniejszać zasiłków rodzinnych, podwyższać podatku dochodowego i podatku od nieruchomości, zmniejszać emerytur, podwyższać wieku emerytalnego. Nikt nie będzie nam dyktował, co i kiedy mamy prywatyzować" – napisał premier Viktor Orbán w liście do Christine Lagarde, ówczesnej prezes Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Węgry, jak wiadomo, nie poszły drogą Grecji, dzięki czemu do czasów załamania się zamówień z motoryzacyjnego przemysłu niemieckiego cieszyły się solidnym wzrostem gospodarczym, a zadłużenie państwa jest utrzymywane w ryzach, czego nie tylko Grecy, lecz także Francja, Niemcy, Hiszpania czy Włochy mogą wyłącznie pozazdrościć. To wielka zasługa Viktora Orbána, któremu – o co najtrudniej w polityce – to czas przyznał wtedy, ale też wcześniej, rację. A nie łatwo mieć rację w polityce.

Orbán cierpi na typową przypadłość osób inteligentnych – jest introwertykiem

A jednak, jak się wydaje, premier Orbán dokładnie przeczytał pamiętniki Churchilla. Kto wie, może nawet w oryginale? Całe sześć tomów, o których powiedzieć, że są opasłe, to nic nie powiedzieć. A może nie przeczytał? Może sięgnął jedynie do przypisów, też bardzo obszernych, w których czytamy w zasadzie o rzeczach nieprawdopodobnych. Trwa w końcu druga wojna światowa, a premier Wielkiej Brytanii strofuje swoich ministrów z powodu zbyt wysokiej – jego zdaniem – ceny jajek, nafty albo pewnych zachowań, co niektórych żołnierzy Home Guard wobec kobiet w warunkach zaciemnienia. Sprawy przyziemne? Jak niedawne zamrożenie cen na stacjach benzynowych na Węgrzech? Z pewnością. Ale wybory parlamentarne 12 kwietnia staną się przede wszystkim odpowiedzią na pytanie, czy elekcja nad Dunajem będzie miała więcej do czynienia z Rumunią czy Polską 2025. Czy techniki polaryzacji społecznej oraz zdobywania władzy, jakże doskonale opisane przez Saula Alinsky'ego, zatriumfują w kolejnym państwie Unii Europejskiej?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest wykładowcą Studium Europy Wschodniej Uniwersytetu Warszawskiego.

eprasa.pl 75b7358ee2



FOT. ADOBE STOCK

WYKORZYSTAĆ UPRAWNIENIA

Małżeństwo z regionu Allgäu jest oskarżone o to, że przez wiele lat kradło gotówkę z parkomatów w Kempten. Mężczyzna jako pracownik miejskich służb opróżniał automaty. Wykorzystywał więc swoje uprawnienia. Według prokuratury razem z żoną miał w latach 2020–2025 przywłaszczyć ok. 1,34 mln euro. Śledczy podejrzewają, że proceder zaczął się dużo wcześniej, bo już w 2015 r., a łączne straty sięgają ok. 1,9 mln euro. Część starszych czynów uległa jednak przedawnieniu.

SPACEROWICZ

Turysta – prawdopodobnie ze Szwajcarii – został zatrzymany na Bali po tym, jak w mediach społecznościowych pochwalił się złamaniem zasad Nyepi – najważniejszego święta religijnego na wyspie. To tzw. Dzień Ciszy, podczas którego przez 24 godziny obowiązuje zakaz wychodzenia z domu, podróżowania, hałasowania. Nie obejmuje on tylko służb ratunkowych. Przybysz opublikował nagranie pokazujące, jak spaceruje po pustych ulicach. Mieszkańcy wyspy są oburzeni.

NA CMENTARZU

W Malezji kobieta i mężczyzna zostali przyłapani na nieprzyzwoitym zachowaniu w miejscu, które jest szczególne. Chodzi o cmentarz. Świadek zdarzenia nagrał ich w sytuacji intymnej na grobie. Kobieta była częściowo rozebrana, a mężczyzna był nagi. Obecność świadka wprawiła ich w konsternację. Kiedy zapowiedział im, że wezwie policję, mężczyzna zaczął przepraszać. Zachowanie pary zagrożone jest karą więzienia.

BRAK KADR

Na lotnisku w Filadelfii wybuchł chaos. Tłumy pasażerów gromadziły się przy kontroli bezpieczeństwa po zamknięciu części punktów kontrolnych. Powodem zaistniałej sytuacji okazały się braki kadrowe w TSA (powołanej po zamachach z 11 września 2001 r. agencji odpowiedzialnej za bezpieczeństwo transportu). Wielu jej pracowników nie otrzymywało wynagrodzeń i zrezygnowało z pracy w niej. W efekcie w USA zwiększył się czas kontroli na wielu lotniskach.

TRANSAKCJA

Mieszkanka Mannheim padła ofiarą oszustwa telefonicznego i straciła ok. 60 tys. euro. Zaufała bowiem fałszywemu pracownikowi banku. Zaczęło się od SMS-a zawierającego informację o wypłacie 10 tys. euro z konta i prośbę o kontakt w razie nieautoryzowanej transakcji. 59-letnia kobieta zadzwoniła pod wskazany numer i trafiła na oszusta. Mężczyzna przekonał ją, że jej konto jest zagrożone i jedynym sposobem ochrony pieniędzy jest ich przelanie na „bezpieczne konta". ©℗

Filip Memches



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Chiny inwestują nad Wisłą

Udział chińskich samochodów w rynku europejskim osiągnął w 2025 r. poziom 5,8 proc., czyli niemal dwukrotnie wyższy niż w 2024 r. Według Automotive News Europe w lutym 2026 r. chińskie marki zwiększyły udział w motoryzacyjnym torcie na Starym Kontynencie do 8 proc.

Ta ekspansja z jednej strony tworzy zagrożenie dla tradycyjnych europejskich marek, z drugiej może być szansą dla takich państw jak Polska, Węgry czy Hiszpania. Cła nakładane na auta importowane z Chin nie zatrzymały bowiem ekspansji chińskich marek. Przeciwnie: sprawiły, że inwestorzy z Państwa Środka aktywnie poszukują nowych lokalizacji w Europie zarówno dla fabryk samochodów, jak i komponentów do nich (np. baterii). W lutym obecnego roku BYD rozpoczęło próbną produkcję samochodów osobowych w Segedynie na Węgrzech, Xpeng zainwestował w montażownie w austriackim Grazu, a koncern Chery wybudował fabrykę w hiszpańskiej Barcelonie oraz centrum badawczo-rozwojowe w Niemczech.

Rosnąca flota chińskich aut – jak zauważyli analitycy S&P Global – tworzy też coraz większy potencjał w segmencie posprzedażowym. W połowie marca koncern Chery, który co 23 sekundy eksportuje kolejny samochód na jeden ze 120 światowych rynków, otworzył w Warszawie CHERY Eastern Europe Training Center. To centrum szkoleniowe, w którym uczyć się mają nie tylko Polacy, lecz także pracownicy koncernu z całej Europy Środkowej i Wschodniej. Nad Wisłą działa już też zaplecze logistyczne tej marki z magazynem części o powierzchni 2000 mkw. (o wartości 12 mln euro). Czy uda się wygrać kolejne miliony? Czy może zdobędą je Węgrzy lub Hiszpanie? ©℗

eprasa.pl 75b7358ee2



Rosyjski humor czasów wojny

Stand-up Nurłana Saburowa na jego kanale na YouTube
FOT. YOUTUBE.COM/@SABUROVNURLAN



Maciej Pieczyński

Śmiech staje się w państwie Putina towarem deficytowym. Kreml przykręca śrubę nawet lojalnym wobec Moskwy komikom. Z czego śmieją się Rosjanie w czasie wojny? I czy jeszcze w ogóle mają z czego?

Jednym z najpopularniejszych w Rosji komików był Nurłan Saburow. Czas przeszły jest w tym wypadku zasadny. W lutym tego roku Saburow przyleciał na występy do Moskwy. Na lotnisku dowiedział się, że dostał zakaz wjazdu do Rosji na 50 lat. Biorąc pod uwagę wiek artysty (rocznik 1991), jest to w zasadzie zakaz dożywotni. Saburow został deportowany do Kazachstanu, którego jest obywatelem. Nawiasem pisząc, jego twórczość jest jednym z licznych dowodów atrakcyjności Rosji dla obcokrajowców pochodzących z byłych republik sowieckich. Kazachstański komik, zamiast żartować w języku ojczystym, woli to robić po rosyjsku. W ten bowiem sposób ma szansę dotrzeć do szerszego grona odbiorców. Tą samą drogą szli niegdyś jego kolega po fachu Wołodymyr Zełenski oraz wielu innych ukraińskich artystów, mających świadomość możliwości, jakie daje rosyjskojęzyczny rynek. Saburow jednak, mimo deportacji, nadal może rozbawiać publiczność w języku Putina (tę, która akurat ma dostęp do Internetu, a z tym w Rosji bywa ostatnio trudno). Najbardziej znany jest bowiem jako prowadzący komediowego show „Czto było dalsze?" (ros. „Co było dalej?") na YouTube.

Niemniej deportacja była dla kariery komika ciosem. Oficjalnie zakaz wjazdu został wydany przez FSB „w interesie bezpieczeństwa kraju, przestrzegania prawa i obrony tradycyjnych wartości moralno-duchowych". Już wcześniej, w maju 2025 r., Saburow został zatrzymany na moskiewskim lotnisku. Wtedy powodem było złamanie prawa imigracyjnego. Kara ograniczyła się do grzywny. Komik swoją nieoczywistą postawą ideową narobił sobie wrogów zarówno w Moskwie, jak i w krajach z przeciwnej strony geopolitycznej barykady. Pod koniec 2025 r. konserwatywny ruch Sorok sorokow (Czterdzieści czterdziestek) doprowadził do odwołania występów Saburowa w Rosji. Powodem były żarty stand-upera z Chrystusa. Na Zachodzie z kolei znalazł się na cenzurowanym, ponieważ nie potępił otwarcie inwazji na Ukrainę. Tuż po wybuchu wojny odwołano jego koncerty w USA i Izraelu. Żarty dla komika skończyły się nawet w jego własnej ojczyźnie. Grozi mu 12 lat pozbawienia wolności za działalność najemniczą. Dowodem w sprawie jest nagranie, na którym Saburow przekazuje motocykle na potrzeby armii rosyjskiej, walczącej na Ukrainie. Za to samo, jak nietrudno się domyśleć, do więzienia chcą go wsadzić sami Ukraińcy.

OKRAKIEM NA BARYKADZIE

Historia Saburowa to dobry przykład rosyjskojęzycznego artysty, który po wybuchu wojny próbuje siedzieć okrakiem na barykadzie. Zarabiać w rublach i dolarach jednocześnie, bawić publikę apolitycznymi żartami i udawać, że nie toczy się żadna wojna. Okazało się to jednak niemożliwe. Saburow, jako zarabiający w Rosji Kazach, starał się o rosyjskie obywatelstwo. Według portalu Ważnyje istorii (Ważne historie) trzykrotnie otrzymał odmowę. FSB chciała to wykorzystać i zwerbować stand-upera. Ten nie odmówił, ale też się nie zgodził. Grał na czas, zwodził funkcjonariuszy, którzy w końcu się zniecierpliwili i dali mu do wyboru: albo podpisuje kontrakt z armią rosyjską i jedzie na front, w zamian otrzymując obywatelstwo, albo dostaje zakaz wjazdu. Saburow próbował jeszcze przekonać służby o swojej przydatności, przekazując Rosji wspomniane motocykle. To jednak nic nie dało.

Podczas jednego z występów w Stanach Zjednoczonych Saburow tak odpowiadał na krytykę ze strony publiczności: „Tak, jestem gnidą. Mam mnóstwo wad. Ale nie jestem debilem. Kiedy widzę te zdjęcia [z wojny – przyp. red.], to nie myślę, że jest to dobre. Za kogo ty mnie masz?". Przyznawał też otwarcie, że się po prostu boi żartować z Putina i wojny, bo ma rodzinę. W San Francisco na scenę, na której występował Saburow, wbiegła ukraińska aktywistka w oblanej czerwoną farbą sukni, co miało symbolizować krew jej rodaków, przelaną na wojnie. Wtedy komik zażartował, że pewnie miała miesiączkę.

A jednak zdarzało mu się kpić również z Rosji. Opowieściami o problemach z tamtejszymi władzami zabawiał publiczność w Dubaju na początku 2026 r. „Uprzedzam, że teraz będę miał tylko superpatriotyczne występy. Zaśpiewajmy wszyscy razem: »Maaatuszka ziemla« [hit Tatiany Kurtukowej, gwiazdy rosyjskiej sceny – przyp. red.]. Chcę być tak patriotyczny, żeby na moim tle Sołowjow został uznany za agenta zagranicznego". Żartował też w niepoprawny politycznie sposób ze swojego zatrzymania. „Prowadzą mnie menty [ros. pogardliwie o policjantach – przyp. red.], dokądś idziemy, i od razu pojawiła się myśl: może tam widelcem w oko albo w dupę? Widelcem to boli, zresztą raz to może być za mało? Może nie wiecie, ale w więzieniu ruchają w dupę,

eprasa.pl 75b7358ee2



chociaż akurat w Rosji jest to zakazane" – mówił Saburow, nawiązując do uznania przez Moskwę ruchu LGBT za ekstremistyczny. Po chwili zauważył, że w zasadzie Rosja jest już jednym wielkim więzieniem, w domyśle: homoseksualizm zapewne jest tam mimo zakazów powszechny.

W jednym ze skeczy komik z wyraźną ironią nazywał Putina „najlepszym prezydentem na całym świecie". Jesienią 2022 r., występując w Ałmatach, naśmiewał się z Rosjan, którzy uciekają do Kazachstanu przed częściową mobilizacją. „Są na sali przyjezdni z Rosji? I jak tam, uczycie się już kazachskiego?" – kpił. Z satysfakcją żartował z odwrócenia ról. Kiedyś Rosjanie z pogardą patrzyli na przyjeżdżających z Azji Środkowej imigrantów ekonomicznych. A teraz ci sami Rosjanie, zmuszeni do ucieczki w odwrotnym kierunku, robią dobrą minę do złej gry, udając, że od zawsze marzyli o przeprowadzce do Kazachstanu. Część Rosjan uznała tego rodzaju żarty za rusofobiczne.

Pomimo unikania tematu wojny Saburow nie stroni od polityki jako takiej. I od kpin z polityków, takich jak ta: „Prezydent powinien sprawiać takie wrażenie, że może podejść i przyj..ać. Miedwiediew sprawia wrażenie, że może zawołać Putina, i wtedy Putin ci je.nie. A jak patrzysz na Macrona, to myślisz, że możesz podejść i jemu je..ąć". Czasem żartuje również ze swojego symetryzmu: „Pamiętacie, jak w Stanach przyjmowali mnie jako »wroga wszech Rusi«? A potem jadę do Rosji, i tam słyszę: »A po co do tych pedziów pojechałeś? To są nasi wrogowie!«. A teraz Trump przyszedł i wszystko się zmieniło – Rosja i USA budują wspólne państwo związkowe. A ja, jak byłem frajerem, tak nim zostałem".

ZAKAZANE ŻARTY

Saburow nie jest pierwszym rosyjskojęzycznym komikiem, którego władze w Moskwie uznały po wybuchu wojny za osobę niepożądaną. W kwietniu 2025 r. obywatelstwa rosyjskiego zostali pozbawieni Dmitrij Rogow i Sława Komissarienko. Pierwszy był dodatkowo obywatelem Ukrainy, drugi – Białorusi. Obaj jednoznacznie występowali przeciwko wojnie. Natomiast Saburow symetryzował. Dlatego, zdaniem popularnego opozycyjnego blogera Maksima Kaca, Moskwa popełniła błąd, represjonując Kazacha. Kac przytacza przykład Arabii Saudyjskiej, dla której nie są problemem poglądy czy styl życia Cristiano Ronaldo. Ważne, że jako „zagraniczny specjalista" swoimi występami podnosi prestiż tamtejszej ligi. Traktowany jest zatem jak gość i nie musi przestrzegać tych samych surowych zasad co Saudyjczycy. Rosja powinna brać przykład z tej „oświeconej dyktatury", zamiast odstraszać wszystkich, którzy jeszcze chcą w niej zarabiać swoje pieniądze. Tym bardziej że akurat Saburow dość łagodnie żartował z Rosji i otwarcie „specoperacji" nie potępiał. Najwyraźniej jednak dla władz w Moskwie to było za mało. Siedzący okrakiem na barykadzie symetrysta nie jest Putinowi potrzebny. Sam Saburow nie zamierza palić za sobą mostów. Podziękował Rosji za możliwość robienia kariery i wielonarodową publikę.

Wsparcie dla Saburowa publicznie zadeklarował jego kolega z show „Co było dalej?", rosyjski stand-uper Aleksiej Szczerbakow. W efekcie zaczęto jeden po drugim odwoływać jego występy w kolejnych miastach rosyjskich. Zdjęcia do programu przeniesiono z Rosji do Kazachstanu.

Za nieodpowiednie żarty można w Rosji stracić nie tylko obywatelstwo, lecz także wolność. Doświadczył tego Artiemij Ostanin. Nieco ponad rok temu wystąpił w internetowym show „Trietij kanał" (Kanał trzeci), w którym komik ma minutę, aby rozbawić jury. Ostanin opowiedział, jak na stacji metra wjechał w niego deskorolką „skater bez nóg". „Nie jedź tak szybko!" – upomniał inwalidę, za co przechodząca obok kobieta nazwała go chamidłem. „Pewnie ziomek wlazł na minę, a teraz chciał w metrze podriftować na deskorolce" – komentował Ostanin. Jurorzy się nie zaśmiali – albo również dla nich żart z inwalidy był niesmaczny, albo domyślili się, że zostanie zrozumiany jako kpina z weterana wojny z Ukrainą. Ostanin tłumaczył potem, że nie chciał wyśmiać „specoperacji", bo rzeczywistym bohaterem jego skeczu był „żebrak, który jeździ na deskorolce w metrze już mniej więcej od 20 lat", o którym jakoby opowiadał już dawno temu w innych programach. Jednak kontekst był tak oczywisty, że trudno w to tłumaczenie uwierzyć. Szczególnie, że Ostanin już wcześniej żartował z wojny. Na przykład podczas jednego z występów rzucił pomysł, by matkom żołnierzy walczących na Ukrainie dawać w prezencie maszynki do mielenia mięsa. Nawiasem pisząc, w ten sposób tylko pośrednio wyśmiał samych poległych żołnierzy. Było to raczej nawiązanie do akcji, w której ramach władze nieironicznie wręczyły z okazji Dnia Kobiet matkom poległych maszynki do mielenia mięsa właśnie, nie zdając sobie sprawy z tego, jak niewłaściwy jest to prezent.

Stand-uper został zatrzymany na Białorusi po ucieczce z Rosji i przekazany rosyjskim służbom. Po drodze został brutalnie pobity. Przed sądem stanął ledwo żywy, z uszkodzonym kręgosłupem. Został skazany na pięć lat i dziewięć miesięcy kolonii karnej za szerzenie nienawiści i obrazę uczuć religijnych. Ten drugi paragraf dostał za żart o tym, że Chrystus w Ogrodzie Getsemani nie chciał, by Bóg „odsunął ten kielich", ponieważ chciało Mu się pić po ostatniej wieczerzy.

JAK MOŻNA ŚMIAĆ SIĘ Z PUTINA

To wszystko nie oznacza jednak, że w Rosji śmiech jako taki jest zakazany. W państwowej telewizji jest mnóstwo programów satyrycznych, które oferują widowni bezpieczną z punktu widzenia cenzury rozrywkę. Wciąż dużą oglądalnością cieszy się program Comedy Club. Dopuszczalne są żarty z Donalda Trumpa i innych zagranicznych polityków. Amerykański prezydent przedstawiany jest jako rozkapryszone, niezbyt rozgarnięte dziecko, które ciągle zmienia zdanie. Pojawia się też często Putin. W jego rolę w skeczach Comedy Club już od wielu lat wciela się Dmitrij Graczow. Fizycznie podobny, bardzo dobrze naśladuje głos prezydenta. Jest to jednak niegroźna satyra, w której komizm służy jedynie podkreśleniu osobistych zalet czy też wszechwładzy głowy państwa. W jednym ze skeczy Putin jest uczestnikiem „Bitwy ekstrasensów", czyli programu polegającego na rywalizacji osób obdarzonych zdolnościami paranormalnymi. Putin ma wskazać, w którym z trzech położonych na stole pudełek znajduje się pomarańcza. Prowadzący na stronie zdradza widzom, że w żadnym. A jednak Putin wskazuje na jedno z nich. I okazuje się, że miał rację. Otwiera pudełko, a tam pomarańcza i pomocna dłoń Siergieja Szojgu, któremu prezydent dziękuje za tę nadprzyrodzoną pomoc. I to jest maksimum politycznej satyry, na jaką Kreml dziś sobie pozwala.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 75b7358ee2

Czarny łabędź w Białym Domu



Jacek Przybylski

Sztabki złota i srebra, amerykańskie obligacje czy japońska waluta tradycyjnie pełniły funkcję bezpiecznej przystani. Podczas obecnej wojny na Bliskim Wschodzie nagle przestały odgrywać dawną rolę. Również cyfrowe złoto, którym miały być kryptowaluty, w niepewnych czasach zaczęło się zachowywać niczym fundusz akcji

Gdy libańsko-amerykański ekonomista Nassim Nicholas Taleb w roku 2007 formułował swoją teorię o „czarnych łabędziach", mało kto wyobrażał sobie jeszcze, że w drugiej i trzeciej dekadzie XXI w. przyjdzie nam żyć w aż tak „ciekawych czasach". Pandemia koronawirusa, rosyjska pełnoskalowa inwazja na Ukrainę czy ogromny kryzys migracyjny w Europie to przykłady nieprzewidywalnych zdarzeń, które wywarły ogromny, negatywny wpływ na losy współczesnego świata. A także na globalne rynki finansowe i wyceny poszczególnych klas aktywów. Dla rynków niepewność jest bowiem dużo gorsza od ryzyka. Ryzyko ekonomiści potrafią bowiem dość dobrze oszacować, tymczasem nagłego pojawienia się czarnego łabędzia i związanej z tym niepewności oszacować się już nie da.

GDY LEJE SIĘ KREW...

Przy całym szacunku do amerykańskiego prezydenta Donalda Trumpa jego nieprzewidywalna polityka – w kwestii ceł, potencjalnej inwazji na Grenlandię, podejścia do wieloletnich sojuszników,

eprasa.pl 75b7358ee2



FOT. WHITEHOUSE.GOV

a także do wszczynania nowych wojen bez odpowiedniego przygotowania – sprawia, że rynki muszą radzić sobie nie z jednym czarnym łabędziem, lecz z całym ich stadem. Są nawet złośliwcy, którzy twierdzą, że czarny łabędź na cztery lata zamieszkał w Białym Domu. Trudno bowiem podejmować racjonalne decyzje inwestycyjne, kiedy amerykański przywódca potrafi zaprzeczyć samemu sobie już nie tylko dzień po dniu, lecz nawet w ciągu tego samego wystąpienia.

Ostatni tydzień był zatem trudny dla inwestorów. W poniedziałek rano (czasu europejskiego) ceny akcji poszukiwały dna. Po wczesnym obiedzie nagle na rynkach zapanowała euforia. Trump napisał bowiem, że prowadzi „bardzo dobre i produktywne rozmowy z Iranem". Ceny ropy spadły, a indeksy odbiły. Kłopot w tym, że Irańczycy nie potwierdzili słów amerykańskiego prezydenta. Przyznali, że otrzymali propozycję 15-punktowego planu pokojowego, ale go odrzucili i zadeklarowali dalszą walkę z amerykańską i izraelską agresją. Trump w zależności od dnia lub pory dnia raz deklaruje zwycięstwo, raz ogłasza, że zamierza odpuścić walkę, a raz grozi Irańczykom, iż uderzy w nich tak mocno, jak jeszcze nigdy nikt ich nie uderzył, by następnie kilka razy z rzędu przedłużyć deadline (którego i tak nie musi dotrzymać). Nie wszyscy dali też wiarę słowom Trumpa, który tłumaczył, że Irańczycy nie mogą się przyznać do prowadzenia negocjacji, bo natychmiast „zostaliby uśmierceni przez swoich własnych ludzi".

I chociaż inwestorzy zdążyli nieco przyzwyczaić się do retoryki gospodarza Białego Domu, to w sytuacji wojennej istotnie wzrasta jednak ryzyko, że na giełdach papierów wartościowych rzeczywiście poleje się krew. A wtedy „uśrednianie" cen zakupionych przed krachem akcji spółek może szybko doprowadzić do pożegnania z dużą częścią oszczędności (np. gdy zgromadzona gotówka stopnieje do zera, a wyceny spółek na giełdzie nadal będą spadać). Co prawda wielu analityków przekonuje, że na giełdzie ostatecznie zarabia się zawsze, wystarczy zagryźć zęby i przeczekać lata bessy, ale warto też pamiętać, że ci, którzy kupowali akcje na GPW na górce w lipcu 2007 r., odrobili straty dopiero dekadę później (a po ostatnich latach hossy są mocno na plusie).

Okres wielkich wahań daje też wiele okazji do ogromnych zysków. Świetnie widać to było w ubiegłym tygodniu. Kto kupował akcje na warszawskiej giełdzie na początku tygodnia, gdy inwestorzy w panice wyprzedawali akcje, a sprzedawał je, gdy w giełdowych graczach okrzepła nadzieja na szybkie zakończenie konfliktu na Bliskim Wschodzie, mógł w ciągu dwóch dni zarobić więcej, niż dałyby mu konta oszczędnościowe przez kilka lat. Gorzej, jeśli trzymał akcje do piątku. Tego dnia – po wyraźnych spadkach indeksów na Wall Street podczas czwartkowej sesji – również w Europie indeksy od rana świeciły się na czerwono.

Gdy wojna toczy się na Bliskim Wschodzie i dramatycznie wpływa na dostawy ropy, nawozów etc., jednocześnie zmieniając oczekiwania globalnych inwestorów wobec inflacji czy perspektyw wzrostu gospodarczego, warto być szczególnie ostrożnym. To właśnie dlatego podczas pierwszego miesiąca wojny USA i Izraela z Iranem giełdy zareagowały wyraźnie gorzej niż w 2022 r. na rosyjską inwazję na Ukrainę.

„CASH IS KING" KONTRA „GORĄCZKA ZŁOTA"

Historycznie zasada była prosta: gdy napięcie geopolitycznie rosło, a już zwłaszcza gdy wybuchała nowa wojna, metale szlachetne szybko drożały. W wojennej sytuacji odgrywały bowiem rolę bezpiecznej przystani, do której płynął kapitał z całego świata. W efekcie tradycyjnie w scenariuszu wojennym wyceny złota i srebra rosły. A skoro pod koniec stycznia królewski kruszec kosztował już ponad 5,5 tys. dol. za uncję, to część osób mogła się spodziewać, że po wybuchu krwawej wojnie w Zatoce Perskiej notowania złota poszybują co najmniej na ten poziom.

Stało się zupełnie inaczej. Mimo ostrych starć między USA, Izraelem a Iranem i mimo zablokowania kluczowej dla świata cieśniny Ormuz złoto ma za sobą najgorszy tydzień od ponad 40 lat. A dokładniej od roku 1983. Po zaledwie dziewięciu dniach dramatycznych spadków wycena kruszcu wymazała wszystkie zyski wypracowane od stycznia 2026 r. Cena spot złota w ciągu kilku dni stopniała o ok. 9 proc., schodząc poniżej poziomu 4,1 tys. dol. za uncję. Od momentu, gdy Izrael i USA rozpoczęły inwazję na Iran, złoto taniało zaś w pewnym momencie o ponad jedną piątą. Rynki wyraźnie przeceniły także srebro. A na minusie znalazły się również platyna oraz pallad.

Co się wydarzyło? Globalni inwestorzy zamiast obstawiać dalszą „gorączkę złota", rozpoczęli „gorączkę gotówki". Pilnie potrzebowali bowiem pieniędzy do pokrycia wezwań do uzupełnienia depozytów (tzw. margin call), które pojawiły się, gdy

eprasa.pl 75b7358ee2

kapitał na rachunku zabezpieczającym spada poniżej wymaganego minimum z powodu stratnych pozycji (np. lecących szybko w dół wycen akcji).

Teoretycznie mogliby sprzedawać nieruchomości, ale rynek złota jest dużo bardziej płynny, a ponadto w USA kupujący trzymają ten rynek w szachu – według najnowszych danych (za luty 2026 r.) chętnych do sprzedaży domów lub apartamentów było bowiem o niemal 630 tys. więcej niż do kupna.

Część posiadaczy złotych i srebrnych sztabek bardziej niż wojny przestraszyła się zaś wzrostu siły amerykańskiego dolara oraz potencjalnego zwrotu banków centralnych w kierunku zacieśniania polityki pieniężnej. Jeśli zaś stopy procentowe rosłyby, zamiast spadać, to obligacje dawałyby wyższe odsetki – w takiej sytuacji złoto traci na atrakcyjności, bo za posiadanie sztabek kruszcu nikt nie płaci (w przeciwieństwie do posiadania choćby ułamka coraz większego rządowego długu).

Inwestorzy postanowili zatem zrealizować pokaźne zyski na złocie z ostatnich miesięcy. Gdy podaż przerosła popyt, zadziałały klasyczne prawa ekonomii i wyceny królewskiego kruszcu runęły w dół. Niższe wyceny zadziałały z kolei na wyobraźnię kupujących, którzy potraktowali spadki jako okazję do zakupu. Wśród nabywców nie brakuje Polaków. – Obserwujemy bardzo powtarzalny schemat – gdy ceny złota spadają, popyt natychmiast rośnie. Polacy coraz lepiej rozumieją mechanizmy rynku i wykorzystują korekty do zakupów. Co ważne, nie jest to zjawisko jednorazowe – cały 2025 r. był pod względem popytu bardzo dobry, a obecne tąpnięcie cen tylko dodatkowo ten trend wzmocniło – zauważył prezes Mennicy Skarbowej Jarosław Żołędowski, cytowany w komunikacie prasowym.

Gdy do rosnącego popytu doszła deklaracja Trumpa, który ogłosił, że prowadzi udane negocjacje z Iranem, to cena złota znów w szybkim tempie ruszyła na północ. Jeśli zatem ktoś nie uległ panice i nadal ma złoto, to może mieć nadzieję, że będzie jeszcze obserwował próby bicia styczniowych rekordów. Wspomniana wyżej Mennica Skarbowa podtrzymuje bowiem optymistyczne prognozy, zakładając, że do końca roku cena uncji złota może przekroczyć 5,5 tys. dol. Jej eksperci przypominają też, że złoto stanowi bezpieczną przystań dla kapitału w perspektywie lat czy dekad, ale nie jest „instrumentem do krótkoterminowej spekulacji".

KONIEC MITU AMERYKAŃSKICH OBLIGACJI

Gdy Donald Trump macha szabelką – i coraz bardziej się dziwi, że Persowie nie mają ochoty negocjować z kimś, kto zachowuje się, jakby miał pamięć złotej rybki – bezpieczną przystanią dla kapitału powinny być też amerykańskie obligacje. Studentów ekonomii przez dekady uczono, że gdy kursy akcji spadają, kapitał ucieka do długoterminowych obligacji amerykańskiego rządu. Amerykański prezydent podważył nie tylko autorytet Stanów Zjednoczonych, lecz także poważnie uderzył w mechanizm, który pozwalał Amerykanom finansować gigantyczny i szybko rosnący dług USA.

W roli bezpiecznej przystani podczas obecnej wojny sprawdził się szwajcarski frank. Ale Helwetom się to nie podoba

Trump uderzył także w dolara, który też przestał już pełnić funkcję typowej bezpiecznej przystani. Oczywiście „zielony" zdrożał w ostatnich tygodniach, ale już chyba przez nikogo nie jest uznawany za króla wszystkich walut i za solidne oparcie w niepewnych czasach. Globalni gracze (np. Chiny, ale nie tylko) starają się trzymać swoje rezerwy tak daleko od amerykańskich papierów dłużnych, jak to tylko możliwe. Efekt? Gdy akcje mocno tanieją, towarzyszy im też wyprzedaż obligacji USA.

Amerykański dolar nie jest jednak jedyną walutą, do której w czasach wojen i kryzysów nie ucieka już globalny kapitał. Do tego grona zaliczane są również frank szwajcarski oraz japoński jen – obie te waluty przez dekady funkcjonowały jako jedne z najważniejszych globalnych bezpiecznych przystani. Dlaczego zatem jen wypadł tak słabo w obliczu wojny USA i Izraela z Iranem? Pierwszy powód: w ostatnich latach jen przeżywa historyczne osłabienie. Drugi powód: wyraźny i trwający już kilka tygodni wzrost cen ropy naftowej w okolice 100 dol. za baryłkę wyraźnie pogorszy deficyt handlowy Japonii. Może też doprowadzić do wzrostu inflacji. Wiele wskazuje zatem, że nie ma co liczyć na to, aby podczas obecnego kryzysu jen odzyskał status bezpiecznej przystani.

Na polu bitwy pozostał jedynie frank szwajcarski. Waluta Helwetów umocniła się podczas wojennej zawieruchy, przyciągając kapitał uciekający z ryzykownych aktywów. Nie cieszy to jednak samych Szwajcarów – ich mały kraj znany jest bowiem z niskiej i stabilnej inflacji oraz dużej zależności gospodarki od eksportu. Im droższy frank, tym droższe szwajcarskie produkty. Szwajcarski Bank Narodowy (SNB) ostrzegł więc przed możliwymi interwencjami na rynku walutowym, których celem ma być ograniczenie nadmiernego wzrostu wartości franka i ochrona szwajcarskiej gospodarki. Również prezes Europejskiego Banku Centralnego Christine Lagarde zapowiedziała, że EBC zareaguje zdecydowanie i szybko, jeśli obecny wzrost cen energii zacznie grozić mocniejszym wzrostem inflacji. – Nauczyć się żyć bez pewności, ale nie dać się sparaliżować – taką strategię zakreśliła publicznie w ubiegłym tygodniu Lagarde.

ZŁOTY BIG TECH?

Wojna w Iranie pokazała, że nową bezpieczną przystanią nie są kryptowaluty. Ich zachowanie przypomina bowiem bardziej lewarowany fundusz niż odporne na krach na tradycyjnych rynkach „cyfrowe złoto". Funkcję tratwy ratunkowej dla kapitału mają za to szanse pełnić akcje największych amerykańskich spółek technologicznych (tzw. Big Tech). No, chyba że pęknie jednak „bańka AI" – wówczas i ta szalupa szybko zacznie przeciekać.

Im dłuższy okres niepewności, tym większe ryzyko nie tylko poważnej przeceny na rynkach papierowych wartościowych, lecz także zmniejszenia wzrostu gospodarczego i pogrążenia gospodarek w stagflacji. Przy braku rzetelnych informacji decyzji podejmować nie mogą nie tylko inwestorzy, lecz także szefowie firm w najróżniejszych obszarach. Trump, którego przyszłość zależy od jesiennych wyborów połówkowych, ma więc coraz mniej czasu na deeskalację konfliktu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 75b7358ee2





PROSTO ZYGZAKIEM

Polska wyjdzie z ETS w 2028 r.!

PIOTR GABRYEL

Jeśliby wierzyć zapowiedziom, ba – ostatnio już wręcz solennym zapewnieniom, polityków, to właściwie już dziś można by przyjąć za pewnik, że pod koniec 2027 r., a najpóźniej na początku 2028 r. Polska po prostu wyjdzie z aberracyjnego Zielonego Ładu. Rzecz jasna, pod warunkiem, że ekipie Tuska jakimś cudem nie uda się zgromadzić wokół siebie większościowej koalicji, bo ta na pewno pozostawiłaby Polskę i Polaków w niewoli Zielonego Ładu, czyli obowiązującego ETS1 i mającego wejść w życie w 2028 r. ETS2, który nas po prostu dobije – jeszcze wyższymi cenami prądu, ogrzewania i paliw, horrendalnymi kosztami obowiązkowej wymiany pieców na „OZE-sroze", przymusowego ocieplania domów, zamiany aut na elektryczne itd.

A pewnik ten bierze się z parlamentarnej arytmetyki, z której wynika, że po dodaniu do głosów przyszłych posłów i senatorów Konfederacji Bosaka i Mentzena oraz Korony Brauna – twardych przeciwników Zielonego Ładu, także głosów przyszłych posłów i senatorów PiS, którzy zgodnie z niedawną deklaracją wskazanego na przyszłego premiera Przemysława Czarnka („OZE-sroze") nie marzą o niczym innym, jak o wyprowadzeniu Polski z ETS – wynik głosowania może być tylko jeden: Polska opuści Zielony Ład, „jak dwa razy dwa równa się cztery". Tym bardziej że i prezydent Nawrocki wreszcie przychylił się do tego pomysłu.

Wszelako pewnik ten wcale nie jest aż tak pewny, za jaki uchodzi na pierwszy rzut oka. O ile bowiem można być w tej sprawie raczej spokojnym o głosy przyszłych posłów i senatorów Konfederacji i Korony, o tyle czy da się to samo powiedzieć o wszystkich przyszłych posłach i senatorach PiS? Także o tych, którzy zaledwie kilka lat temu głosowali za rozwiązaniami jednym po drugim nakładającymi na Polaków obowiązki związane z Zielonym Ładem? I w rezultacie podnoszącymi nam do najwyższych na świecie ceny prądu, a mocno także ceny ogrzewania, zmuszającymi nas do wyrzucania pieców na węgiel i gaz i zastępowania ich pompami ciepła oraz kupowania „świadectw energetycznych" naszych mieszkań? Tym bardziej że nie jest do tej pory ani jasne, ani tym bardziej pewne, że pogląd zaprezentowany w tej sprawie – „OZE-sroze" – przez Czarnka jest nowym stanowiskiem całego PiS, czyli że partia ta na pewno w sprawie ETS1 i ETS2, które Polsce jeszcze niedawno narzucała – tak diametralnie, o 180 stopni – zmieniła zdanie. Byłoby też nie od rzeczy, gdyby to właśnie PiS zaproponował, skąd nowy rząd weźmie pieniądze na załatanie dziury w budżecie państwa – po skasowaniu Zielonego Ładu, a z nim wpływów z osławionego „handlu uprawnieniami CO_2"; a to już ponad 20 mld zł co roku. ©℗



NOTATNIK MALKONTENTA

Monty Python ostrzega

ŁUKASZ WARZECHA

Scena, w której grupa rozpiętych na krzyżach jegomościów (i jedna kobieta z doprawioną brodą) śpiewa pogodną piosenkę „Always Look On The Bright Side Of Life", pogwizdując wesoło, to najbardziej bodaj znany fragment filmu grupy Monty Pythona „Żywot Briana". Przez wielu ortodoksyjnie patrzących chrześcijan ten obraz z 1979 r. uznawany jest za obrazoburczy, choć ściśle biorąc, unika naigrawania się wprost z Biblii i Chrystusa. Znawcy i fani twórczości grupy wiedzą, że rozdawała ona ciosy po równo. Dostawało się katolikom, protestantom, muzułmanom, konserwatystom i postępowcom. Dzisiaj jakieś 80 proc. ich żartów i skeczy zostałoby uznanych za skrajnie niepoprawne politycznie.

Cleese w imię źle rozumianej tolerancji w dzisiejszej Wielkiej Brytanii za swoje niektóre żarty poszedłby siedzieć

Najbardziej rozpoznawalny z członków Monty Pythona, John Cleese, ma teraz 86 lat. Jest wciąż aktywny w mediach społecznościowych i jego poglądy trudno raczej interpretować jako konserwatywne. Tym bardziej uderza jego wpis z 16 marca. Cleese podał dalej wpis londyńskiej radnej Susan Hall, mówiącej o konieczności obrony brytyjskiego dziedzictwa i wskazującej na zagrożenie, jakie wiąże się ze wzrostem politycznej skrajnej lewicy. Aktor i satyryk napisał: „Zjednoczone Królestwo zawsze w swoich głębokich fundamentach opierało się na wartościach chrześcijańskich, niezależnie od dogmatów. Mimo wielu błędów, które popełniały Kościoły, na Brytyjczyków przez stulecia miało wpływ nauczanie Chrystusa. Jeśli te wartości zostaną zastąpione przez wartości islamskie, to nie będzie już Wielkiej Brytanii".

Warto zwrócić uwagę na te słowa seniora brytyjskiej komedii. Patrząc u schyłku życia na swoje własne dokonania, Cleese na pewno widzi, że w imię źle rozumianej tolerancji i poszanowania „wrażliwości muzułmanów" w dzisiejszej Wielkiej Brytanii za swoje niektóre żarty poszedłby siedzieć. Wie też, że w tej starej, według obecnych standardów nietolerancyjnej Brytanii za jego ekstremalne skecze nic mu nie groziło. Kto jednak wie, czy za ten wpis nie zapuka do niego policja? ©℗

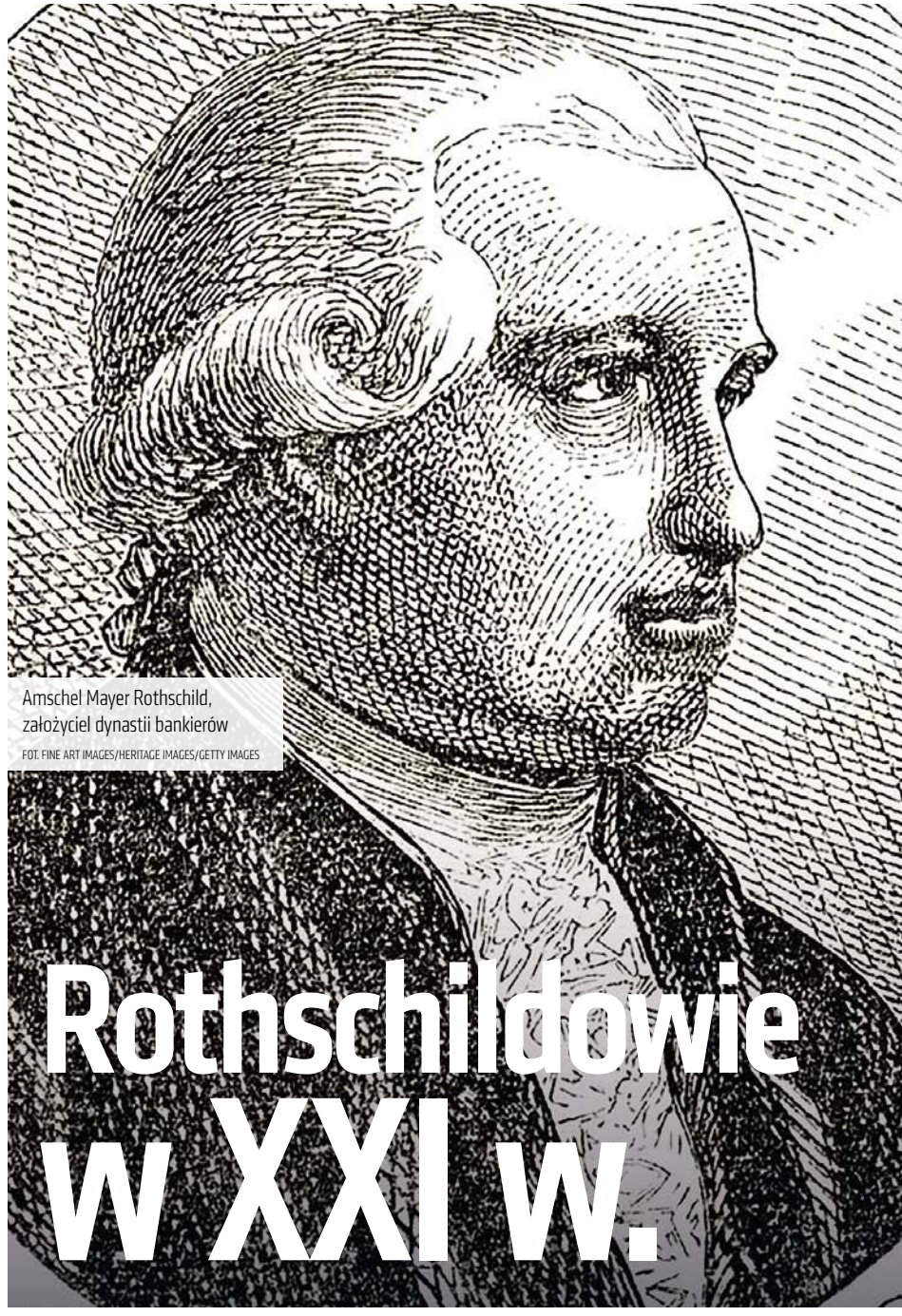
eprasa.pl 75b7358ee2



Jakub Wozinski

Rothschildowie w XXI w.

Za sprawą afery Epsteina Rothschildowie znów znaleźli się w centrum uwagi. Czy ród, który w XIX w. stworzył rynek pożyczek międzynarodowych, nadal odgrywa decydującą rolę w świecie biznesu i polityki?



Amschel Mayer Rothschild, założyciel dynastii bankierów

FOT. FINE ART IMAGES/HERITAGE IMAGES/GETTY IMAGES

Chyba nie ma na świecie finansowej dynastii, która tak bardzo skutecznie ograniczałaby wiedzę na swój temat. Rothschildowie zyskali status osobnej potęgi już ponad 200 lat temu i od tego czasu starannie dbają o to, aby do opinii publicznej docierały tylko ściśle wyselekcjonowane fakty na ich temat.

Z tego właśnie powodu ujawnione pod koniec stycznia akta sprawy Jeffreya Epsteina dostarczyły niezwykle rzadkiej okazji do tego, aby przyjrzeć się prawdziwemu obliczu bankierskiego rodu. Widok ten okazał się cokolwiek kłopotliwy. Okazało się bowiem, że pedofil z wyspy Little Saint James utrzymywał niezwykle zażyłe kontakty z przynajmniej dwiema przedstawicielkami rodu: reprezentującą szwajcarską gałąź Ariane de Rothschild oraz mieszkającą w USA Lynn Forester de Rothschild. Lubujący się w torturowaniu nieletnich finansista nie tylko odwiedzał się z paniami ze słynnej dynastii, lecz także prowadził z nimi bardzo rozległe interesy i powoływał się przed innymi osobami na to, że reprezentuje Rothschildów.

KRONIKARZ ROTHSCHILDÓW U EPSTEINA

Ujawnione przez amerykański Departament Sprawiedliwości akta sprawy mogłyby posłużyć jako materiał do napisana kolejnego tomu najbardziej poczytnej historii rodu, której autorem jest szkocki historyk Niall Ferguson. Autor monumentalnej pracy „Dom Rothschildów" nie będzie jednak raczej zainteresowany tego rodzaju projektem, ponieważ sam stał się jednym z niezliczonych antybohaterów całej afery. W jednym z e-maili kolega Fergusona i stały bywalec słynnej wyspy Ian Osborne chwalił się Epsteinowi, że wkrótce zobaczą się razem ze słynnym historykiem, który będzie miał okazję się „rozluźnić".

Nie wnikając, co dokładnie oznaczało owo „rozluźnianie" w towarzystwie Jeffreya Epsteina, wypada jedynie zauważyć, że powszechna wiedza na temat rodu Rothschildów jest mocno reglamentowana. Skoro najbardziej uznany historyk zajmujący się dziejami rodu przynależał do szerokiego kręgu znajomych pedofila zbrodniarza, a ów pedofil zbrodniarz utrzymywał z Rothschildami rozległe relacje biznesowo-towarzyskie, to zasadne jest stwierdzenie, że słynny ród ma do ukrycia znacznie więcej tajemnic niż tylko znajomość Ariane i Lynn Forester de Rothschild z zarządcą Little Saint James.

Pełniąc funkcję nadwornego historyka Rothschildów, Niall Ferguson obudował swoją opowieść o żydowskim rodzie szczelną warstwą pułapek uruchamiają-

eprasa.pl 75b7358ee2


Ariane de Rothschild
FOT.DREWCENTS/WIKIPEDIA/CC BY-SA 3.0


Jeffrey Epstein
FOT. STATE OF FLORIDA/DOMENA PUBLICZNA


Lynn Forester de Rothschild
FOT. NIKOLA CORPORATION

cych zarzuty o antysemityzm. Uzyskawszy przywilej pełnego wglądu w rodzinne archiwa, autor „Domu Rothschildów" stworzył wizję genialnej rodziny o wyjątkowych talentach i wrażliwości, a wszystkim kwestionującym ten obraz z góry przydzielił etykietę nienawistników i zwolenników spiskowej teorii dziejów. Na dodatek według Fergusona Rothschildowie w pewnym sensie przestają odgrywać jakąkolwiek znaczącą rolę we współczesnym świecie, reprezentując minioną epokę prywatnych, kupieckich domów bankierskich.

Wbrew jednak wersji propagowanej przez szkockiego historyka Rothschildowie wcale nie skapitulowali względem nowoczesności, lecz zachowują wciąż sporą żywotność. Trudno oczywiście porównywać skalę podejmowanych przez nich przedsięwzięć choćby z tymi, które są udziałem takich gigantów jak BlackRock czy Vanguard, lecz ogromne doświadczenie funkcjonowania w świecie wielkich finansów zdecydowanie nie poszło na marne.

ZARZĄDCY WĄSKIEGO GARDŁA

Gdzie zatem szukać śladów najsłynniejszego, a zarazem najpotężniejszego żydowskiego rodu w całych dziejach ludzkości? Najbardziej oczywista odpowiedź brzmi: na rynku fuzji i przejęć (M&A), gdzie firma Rothschild & Co. od lat pozostaje niekwestionowanym globalnym liderem. Segment ten jest specjalnością żydowskiej finansjery od niepamiętnych czasów, a Rothschildowie wykorzystują swoje liczne znajomości na całym świecie oraz doświadczenie liczone w wiekach.

O tym, że dokonując przejęcia lub fuzji z udziałem dużej firmy, wypada zgłosić się do Rothschildów, wiedzą nawet polskie władze, które przy ich pomocy dokonywały kilka lat temu fuzji Orlenu z PGNiG. Firma Rothschildów posiada zresztą swój oddział w Warszawie i regularnie doradza także prywatnym polskim podmiotom. Nawiasem mówiąc, polski oddział tej instytucji jest całkiem spory, co wyróżnia go na tle innych międzynarodowych firm działających w tym obszarze.

Segment fuzji i przejęć może się wydawać niewiele znaczący wobec dużo bardziej lukratywnych i wyrafinowanych obszarów współczesnego świata finansów. W praktyce M&A stanowi rodzaj wąskiego gardła, przez które musi przejść większość firm, które dynamicznie się rozwijają i szukają możliwości ekspansji na nowych rynkach. Będąc liderem w tym obszarze, Rothschildowie sprawują zatem realnie dużo większą władzę nad korporacyjno-finansowym światem, niż wynikałoby to z oficjalnych zestawień i wyników księgowych.

Drugim szczególnie ważnym obszarem działalności słynnego rodu jest doradztwo finansowe, z którego korzystają m.in. firmy debiutujące na giełdzie, przechodzące przez restrukturyzację lub zmagające się z problemami podatkowymi lub prawnymi. W tym obszarze Rothschildowie również czerpią garściami ze swojej przebogatej historii, wykorzystując trudny do przeszacowania soft power. Także tu realnego statusu Rothschildów nie da się odczytać z oficjalnych ksiąg rachunkowych, o czym świadczy choćby korespondencja Epsteina z Ariane de Rothschild. Wynikało z niej bowiem, że potwór z Little Saint James reprezentował nieformalnie słynną rodzinę w niezliczonych sprawach.

TWÓRCY IZRAELA

O prawdziwym znaczeniu współczesnych Rothschildów świadczy niewątpliwie także ich szczególna rola, którą odgrywają w Izraelu. Zasadne jest stwierdzenie, nierzadko przytaczane przez samych przedstawicieli rodu, że to Rothschildowie są faktycznymi twórcami tego państwa. Słynna deklaracja Balfoura z 1917 r. była w istocie listem, który brytyjski premier wystosował do barona Lionela Rothschilda, lidera brytyjskiej gałęzi dynastii oraz światowego ruchu syjonistycznego.

Rothschildowie zapewnili nie tylko niezbędne wsparcie państw anglosaskich dla utworzenia żydowskiego państwa, lecz także dosłownie wyposażyli je w wiele ważnych budowli użyteczności publicznej. Za ich pieniądze wybudowano m.in. siedzibę Knesetu, Sądu Najwyższego, telewizji publicznej czy też biblioteki narodowej. Współcześnie potężny ród finansuje działalność m.in. Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie.

Mecenat uprawiany na Bliskim Wschodzie zapewnia Rothschildom szczególną pozycję w ramach organizacji żydowskich. Najbardziej eksponowaną rolę odgrywa tu niewątpliwie David René de Rothschild, będący drugą po Ronaldzie Lauderze osobą w Światowym Kongresie Żydów (WJC). Formalnie organizacja ta stanowi zwykłe zrzeszenie Żydów z całego świata, lecz w praktyce jej władze dysponują jedną z najbardziej skutecznych sił lobbingowych na świecie.

Według nadwornych kronikarzy rodu Rothschildów, takich jak choćby wspomniany już Niall Ferguson, niekwestionowana w XIX w. potęga rodu uległa w kolejnym stuleciu silnej erozji. Miały się do tego przyczynić dwa czynniki: tragedia drugiej wojny światowej oraz swego rodzaju zaniedbanie Stanów Zjednoczonych (głównymi siedzibami rodu były niegdyś Londyn, Paryż, Wiedeń, Frankfurt i Neapol). Ta wersja historii jest prawdziwa tylko w pewnym ograniczonym zakresie. Choć rządy nazistów rzeczywiście doprowadziły do destrukcji znacznej części rodowego imperium w Niemczech i dawnych Austro-Węgrzech, to Rothschildowie nigdy nie zrezygnowali z rozbudowywania swoich wpływów na Starym Kontynencie. Po drugiej wojnie światowej dominującą rolę w rodowej strukturze przejęły zwyczajnie oddziały w Londynie, Paryżu i Genewie. Historycznie rzecz biorąc, angielscy i francuscy Rothschildowie i tak zawsze wiedli prym.

Konfrontacji z faktami nie wytrzymuje do końca także stwierdzenie, że Rothschildowie zwyczajnie odpuścili sobie USA. Część przedstawicieli rodu

eprasa.pl 75b7358ee2

uciekła przecież za ocean w następstwie drugiej wojny światowej, ale Rothschildowie byli tam od dawna reprezentowani przez swoich pomniejszych przedstawicieli i wspólników. Formalnie banki i firmy Rothschildów odgrywają dziś w USA marginalną rolę, ale przedstawiciele rodu posiadają bardzo wpływowych znajomych. Wspomniana już Lynn Forester de Rothschild przyjaźni się z Clintonami, a niegdysiejszy prezes nowojorskiego Rothschild & Co. Wilbur Ross pełnił w czasie pierwszej kadencji Trumpa funkcję sekretarza handlu.

KONFLIKT W RODZINIE

Z całą pewnością Rothschildowie wykazują jednak szczególne przywiązanie do Europy, która była historycznym świadkiem wyniesienia ich do statusu nieformalnych władców świata finansów. Londyńska, paryska i genewska gałąź rodu stoczyły nawet zawzięty bój o pierwszeństwo na Starym Kontynencie, który nawet dziś wydaje się nie do końca rozstrzygnięty.

Szwajcarska odnoga rodzinnego interesu powstała w 1953 r., gdy Edmond Alphonse de Rothschild postanowił założyć prywatny bank specjalizujący się w zarządzaniu aktywami. To właśnie jej przedstawicielką jest Ariane de Rothschild, z którą Jeffrey Epstein utrzymywał tak bardzo zażyłe kontakty. Zgodnie z tradycją część udziałów w szwajcarskim przedsięwzięciu od samego początku należała do placówek z Paryża i Londynu – i odwrotnie.

W ostatnich latach doszło jednak do konfliktu, w którego następstwie drogi szwajcarskich Rothschildów oraz ich krewniaków z innych państw się rozeszły. Oficjalnie wszystko zaczęło się w 2015 r., gdy stojący na czele londyńskiego oddziału Jacob Rothschild postanowił uprościć nazwę swojej firmy tak, aby była znana po prostu jako „Rothschild". Wywołało to wielkie niezadowolenie w Genewie, gdzie zażądano, aby nazwisko poprzedzono zgodnie z wieloletnią praktyką inicjałami założycieli spółki.

Spór o nazwę odzwierciedlał oczywiście dużo większe rozbieżności interesów, które nawarstwiały się od lat. W praktyce oddział londyński i paryski już od 2003 r. współpracowały jako niemal jeden podmiot, a w 2012 r. dokonano ich pełnego połączenia. Formalnie spór zakończono dopiero w 2018 r., a sąd orzekł, że żadna z gałęzi rodu nie może korzystać z samej tylko nazwy „Rothschild". Obie strony odsprzedały sobie także nawzajem posiadane wcześniej udziały, tak aby nie łączyła ich już więcej żadna relacja właścicielska. Jeśli zatem wierzyć oficjalnym zapewnieniom, to genewskich oraz londyńsko-paryskich Rothschildów nie łączą już żadne biznesowe więzy (lecz co najwyżej wspólni znajomi, tacy jak Jeffrey Epstein).

Afera Epsteina obciąża najmocniej środowiska żydowskie, a wśród nich Rothschildowie nadal cieszą się statusem niemalże królewskiego rodu

Tym samym w XXI w. złamane zostały przynajmniej dwie fundamentalne zasady, które spajały bankierską familię co najmniej od czasów ojca założyciela dynastii, Meyera Amschela Rothschilda. Pierwsza z nich przewidywała, że wszystkie oddziały banku mają posiadać nawzajem swoje oddziały. Zgodnie z drugą przedstawiciele rodu powinni zawsze rozstrzygać wewnętrzne spory we własnym zakresie. Mimo że doszło do złamania wewnętrznej dyscypliny, warto odnotować, iż przestrzegano jej ponad 200 lat.

POLITYCY, DYNAŚCI, CELEBRYCI

Wieloletnie zachowywanie dyscypliny przełożyło się jednak na wymierne korzyści, których dobrym miernikiem jest chociażby fakt, że ze stajni Rothschildów wywodziło się lub wywodzi wielu znanych polityków. We Francji pracownikami ich banku byli choćby premier Georges Pompidou oraz obecny prezydent Emmanuel Macron. Angaż w słynnym banku po odejściu z polityki znalazł także kanclerz Gerhard Schröder. Z kolei londyńscy Rothschildowie już od lat świadczą usługi doradcze na rzecz brytyjskiej rodziny królewskiej.

Wpływy familii nie ograniczają się tylko do świata polityki. James Rothschild poślubił spadkobierczynię hotelarskiej fortuny Nicky Hilton. Lynn Forester de Rothschild jest właścicielką firmy posiadającej pakiet kontrolny wydawcy pisma „The Economist". Z kolei genewska The Edmond de Rothschild Group specjalizuje się w zarządzaniu portfelami inwestycyjnymi miliarderów z całego świata, w tym wielu innych bogatych rodzin żydowskich.

Faktyczny zasięg wpływów Rothschildów nieco zaciemnia fakt, że począwszy od XX w., ród ten w końcu nieco poluzował zasady zawierania małżeństw. Według pierwotnych reguł wypracowanych jeszcze we frankfurckim mateczniku przy Judengasse kobiety były wyłączone z majątkowej sukcesji, a męscy członkowie familii byli zobligowani do brania sobie za żony krewniaczek z innych gałęzi rodu. Współcześnie endogamia już nie obowiązuje, choć skłonność do zawierania małżeństw z przedstawicielami innych wpływowych rodów żydowskich pozostała. W rezultacie interesy Rothschildów reprezentują nierzadko osoby noszące zupełnie inne nazwiska.

Niemal żaden z obszarów działalności rodu Rothschildów wzięty z osobna (z wyjątkiem wspomnianego segmentu fuzji i przejęć) nie zapewnia im statusu światowego giganta, dorównującego swoim rozmiarom wielkim bankom komercyjnym, potężnym firmom inwestycyjnym czy liderom Big Techu. Sekret potęgi żydowskiej rodziny polega jednak właśnie na tym, że umiejętnie łączy wpływy posiadane w wielu obszarach oraz bazuje na tym, jak wiele w finansach zależy od kwestii wykraczających poza zwykły biznes.

Tezę tę z nawiązką potwierdziły akta sprawy Epsteina. Za ich sprawą po raz pierwszy w tak wielkim zakresie opinia publiczna na świecie mogła dowiedzieć się, że poza oficjalnym porządkiem funkcjonuje jeszcze niejawna hierarchia, w której pewne środowiska, banki i instytucje odgrywają dużo większą rolę, niż mogłoby się na pozór wydawać. Nie wiemy nadal, kto dokładnie był mocodawcą zbrodniarza pedofila, ale z całą pewnością w ramach tej „grupy trzymającej władzę" Rothschildowie odgrywali niepoślednią rolę. Afera Epsteina obciąża najmocniej środowiska żydowskie, a wśród nich Rothschildowie nadal cieszą się statusem niemalże królewskiego rodu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 75b7358ee2

KSIĘGARNIA DO RZECZY



ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY



KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl 75b7358ee2



Joanna Bojańczyk

Niech nas zobaczą

Wszyscy fotografują, wszyscy filmują, wszyscy polują na celebrytów. Ktoś na tym zarabia. Czy wrócą czasy, gdy pokaz mody nie był częścią spektaklu, niczego nie publikował, niczego nie reklamował, tylko był pokazem ubrań?



Od lewej: Bernard Arnault, Antoine Arnault, Brigitte Macron i Johnny Depp podczas fashion week w Paryżu, 1 października 2025 r. FOT. BERTRAND RINDOFF PETROFF/BESTIMAGE/EAST NEWS

Moda wytworzyła wokół siebie sferę, która ją przerosła. To, co pokazuje się na podium, jest mniej ważne. Liczą się „people". Kto przyszedł: znana aktorka, raper, ktoś z rodziny królewskiej, miliarder? Media społecznościowe, telewizje i kolorowe magazyny generują ruch, za którym dla domów mody idą pieniądze.

Lata 90. to były złote lata mody. Świat wierzył, że trendy są ważne, wyznawał kult modelek. Cztery najpiękniejsze dziewczyny – Linda Evangelista, Claudia Schiffer, Naomi Campbell, Carla Bruni – zaludniały okładki magazynów mody. Cztery miasta – Paryż, Mediolan, Londyn, Nowy Jork – ogłosiły się samozwańczymi stolicami światowej mody: W marcu i październiku na fashion weeki pielgrzymowali dziennikarze, handlowcy, gapie i znajomi królika. Gdy wtedy pracowało się w mediach, nie można było tam nie być. Francuzi porzucili prêt-à-porter i zaczęli używać angielskiego wyrażenia „fashion week". Zdrada stanu.

Ale być w Mediolanie czy nawet w Nowym Jorku nie oznaczało zobaczyć pokazy. Dla polskiego dziennikarza kartonik z zaproszeniem na pokaz Chanel, Prady czy Calvina Kleina był towarem trudnym do zdobycia. Jako kraj robiący pierwsze kroki na rynku wysokiej mody Polska nie miała szans na zaproszenia, które rozdzielano osobno w każdym zespole projektanta, a których liczba była ograniczona. Po co zapraszać kogoś z kraju, który nie ma nawet H&M, o Chanel nie mówiąc, kraju, który nie sprzedaje wysokiej mody?

W biznesie fashion kasa musi się zgadzać. Liczą się klientki z Emiratów, Ameryki, Brazylii, Dalekiego Wschodu. Te kraje robią markom obroty. O Warszawie w Paryżu nie słyszeli, Europa Wschodnia dopiero się rozpędzała. My, załogi z polskiej prasy, jeśli chcieliśmy wejść na pokaz, to musieliśmy używać trików. Kombinować, szukać znajomych, wpychać się bocznymi drzwiami. Kolega z „Elle" przeskoczył wysoki mur.

Nie było komórek, nie było Internetu. Na pokazach nie wolno było robić zdjęć – w ten sposób (teoretycznie) domy mody zabezpieczały się przed kopiowaniem. Ale i tak modele wyciekały. Kopie jeden do jednego wisiały w Zarze po miesiącu.

ZMIANA SYSTEMU

Zamach z 11 września 2001 r. spowodował ogólne zwątpienie w moc zachodniej cywilizacji. Wiek XXI przyniósł zmianę systemu. Rozpoczęła się erozja luksusu – takiego, w jaki wierzono w latach 80. i wczesnych 90. Ruchy zielonych i alterglobalistów zaczęły krytykować system mody, który nakłania do kupowania.

Rytuał towarzyszący życiu na tygodniach mody: zdobywanie zaproszenia, pospiech, walka o miejsce, z którego coś widać, zniknęły. Nie trzeba było biegać, szukać dalekiego miejsca gdzieś na peryferiach, gdzie odbywał się jakiś pokaz. Projektanci szybko porzucili dostosowaną do pokazów podziemną część Luwru, uznając ją za zbyt banalną. Opuszczony garaż na ostatniej stacji metra był bardziej interesujący.

Obrzęd fashion weeków nie zniknął, tylko się przepoczwarzył. Modelki nikogo nie interesują, pokaz Diora czy Chanel można obejrzeć na telefonie, jadąc tramwajem w Warszawie. Modne trendy nie są już wyrocznią, każdy ubiera się, jak chce. Uwaga publiczności kieruje się nie na podia, gdzie defilują dziewczyny o nieznanych nazwiskach. Ubrania nie ekscytują. Moda przestała być ważna.

Moda wytworzyła wokół siebie całą sferę, która ją przerosła. Uwaga mediów skierowała się w inną stronę niż tam, gdzie pokazuje się ubrania. „Najwięcej sprzedajemy zdjęć znanych ludzi, którzy idą na pokaz mody. Na przykład Rihanna, które idzie na pokaz Diora. Takich zdjęć sprzedajemy więcej niż tych z pokazu" – powiedział tygodnikowi „Paris Match" Martin Bureau, szef francuskiej agencji prasowej AFP.

eprasa.pl 75b7358ee2



Gdy ubrania przestały być interesujące, liczą się ludzie. Kto przyjdzie? Jaka aktorka? Może gwiazdka koreańskiego K-popu? Może miliarder? Może ktoś z brytyjskich royalsów?

„Front row", pierwszy rząd pokazu mody, to teraz hasło kluczowe. Najtłustszy kąsek dla fotografów i portali. Najbardziej liczą się krzesła najbliższe dwóm osobistościom biznesu fashion: Bernardowi Arnaultowi, prezesowi LVMH, koncernu zrzeszającego luksusowe marki, oraz Luce di Meo, dyrektorowi konsorcjum Kering. Ci, którzy siedzą obok tych prezesów, są teraz w modzie najważniejsi. Trochę jak w stalinowskiej Rosji – liczył się ten, kto był najbliżej Stalina. Kto był daleko, musiał uważać, jego życie było zagrożone.

Ci dalej od prezesa o życie nie muszą się obawiać, najwyżej stracą pracę. Ale wiadomo, że pierwszy rząd to nie tylko prestiż i zdjęcia w mediach. To przede wszystkim pieniądze.

Agencja Launchmetrics zajmująca się analizą danych w sektorze mody może tę sytuację przeliczyć na pieniądze. Fotografie i filmiki z „front row" mają miliony odsłon w Internecie. A to przelicza się na konkretną wartość.

BIZNES DZIAŁA W DWIE STRONY

Dane z roku 2005 wykazały, że ten, wydawałoby się trudno policzalny, wpływ wzrósł trzy i pół razy w stosunku do poprzedniego roku. Nagłośnienie generowane przez media wynosi 20 proc. w roku 2025 w porównaniu z 10 proc. w poprzednim roku. To oznacza dwukrotny wzrost. Nagłośnienie to nie tylko zdjęcia „people" pokazywane w mediach społecznościowych, telewizjach i kolorowych magazynach, lecz także cały ruch, który wywołują w sieci: komentarze, kłótnie, polemiki. To się liczy. Liczy się widoczność.

Pojawienie się południowokoreańskiego piosenkarza Wooyounga, członka grupy Ateez, na pokazie francuskiej marki Courrèges wywołało zamieszanie wśród fotoreporterów. Żadne zdjęcie z pokazu Courrèges, żadna inna znana osobistość nie zebrały tylu polubień, co ten znany tylko młodym fanom chłopak z Korei Południowej. Po raz pierwszy w historii fashion weeków w pierwszym rzędzie pojawili się sportowcy, którzy brali udział w igrzyskach olimpijskich w Cortina d'Ampezzo. Na pokazie męskiej kolekcji Louis Vuitton obecny był koszykarz Victor Wembanyama – rzecz nie do pomyślenia kilka lat temu. Krótka rozmowa Brigitte Macron z Johnnym Deppem także wiralowo obiegła Internet, podobnie jak widok Oprah Winfrey na pokazie Stelli McCartney czy przybycie lekko zagubionego Paula McCartneya na pokaz córki – Stelli.

Nie tylko fani wielbią markę. Biznes działa w obie strony. Marka profiluje się tak, żeby spodobać się grupie wyznawców. Kierując się tymi względami, dobiera swoich modeli, tzw. ambasadorów, oraz osoby, którym wysyła zaproszenia na swój pokaz. Już nie klienci są wyznawcami jakiejś marki, teraz producenci ubrań starają się o względy publiczności.

Obrzęd fashion weeków nie zniknął, tylko się przepoczwarzył. Modelki nikogo nie interesują, pokaz Diora czy Chanel można obejrzeć na telefonie, jadąc tramwajem w Warszawie

Bardzo długo wielkie marki luksusowe krzywiły się na myśl, że można działać w Internecie. Uważano to za deklasację. Musiały zmienić zdanie, gdy zobaczyły, jak młodzi projektanci – tacy jak Simon Porte Jacquemus czy Olivier Rousteing – potrafią korzystać z Instagrama i TikToka. Wobec milionów wyświetleń w mediach społecznościowych luksusowe marki skapitulowały, przyznając, że istotnie to potężna dźwignia sprzedażowa, z którą należy się liczyć.

Celebryci to tak ważny biznes, że w domach mody powołano oddzielne działy, które ich obsługują. Kogo zaprosić? Komu zapłacić za bilet? Komu dać najlepsze miejsca? Clou operacji to „seating" – przydzielanie miejsc na pokazach, tak żeby każda gwiazda czuła się doceniona i żeby nikt się nie obraził.

Ostrożnie i z zachowaniem najwyższej dyskrecji należy rozdzielać „upominki", które VIP-y dostają za przyjście na pokaz. Ile kto dostaje to tajemnica państwowa. Jak dowiedział się dziennik „New York Times", gratyfikacje wynoszą od kilkudziesięciu tysięcy euro do liczb siedmiocyfrowych… Lista płac ma różne kategorie: od jednorazowego występu na pokazie aż po „ambasadora marki", który zazwyczaj działa na dłuższy czas; ambasadorami marki są zwykle znani aktorzy lub aktorki. Wśród VIP-ów należy także uwzględnić postacie „historyczne", związane z firmą od dawna, jak Catherine Deneuve z marki Yves Saint Laurent. Samo pojawienie się starszej pani nie generuje zwiększenia sprzedaży, ale działa pozytywnie na wizerunek: dom mody daje dowód szacunku dla tradycji, a to się liczy.

Celebryci, których dana marka ma na swojej liście płac, poza honorarium otrzymują także bilety lotnicze w business class, pobyt w pięciogwiazdkowym hotelu, dla siebie i własnej ekipy. To wliczone jest w biznesowe koszty działalności. Za wszystko zapłacisz ty, kliencie, kupując perfumy na lotnisku.

Bizantyjska obsługa celebrytów szokuje nawet Francuzów przywykłych do wyjątkowego traktowania sławnych osób. „Gwiazdy zawsze były, ale żeby miały własne działy w firmie, tego nie pamiętam. To sprawa ostatnich pięciu lat – mówi tygodnikowi „Paris Match" Lucien Pagès, specjalista public relations.

Romans mody z kinem nie jest nowy, podobnie jak zainteresowanie aktorami. Ale dzisiaj mamy do czynienia z przerostem formy nad treścią. Wszelkiego rodzaju czerwone dywany, Oscary, festiwale, Internet nadmuchano, nadmuchując przy okazji ich uczestników. Zdjęcie Gwyneth Paltrow, która przejdzie przed obiektywami reporterów w sukni pokazującej brak bielizny, obiega sieć, stając się wydarzeniem światowej rangi.

To doprowadziło do pojawienia się nowego zawodu. Nazywa się to agent wizerunku – ktoś, kto pilnuje każdego kroku celebrytów, dba o przebicie ich obecności na pieniądze, monitoruje wszelkie poczynania. W strategii marek mody aktorzy stali się równie ważni jak ubrania…

Wszyscy fotografują, wszyscy filmują, wszyscy polują na celebrytów. Ktoś na tym zarabia. Czy wrócą czasy, gdy pokaz mody nie był częścią spektaklu, niczego nie publikował, niczego nie reklamował, tylko był pokazem ubrań? Powrót tajemnicy – to byłby największy luksus.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 75b7358ee2



JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Belweder za czasów I RP

Warszawski Belweder, położony przy Łazienkach przy nazwanej od niego ulicy, to miejsce związane z historią Polski. Rezydencja wielkiego księcia Konstantego i cel ataku spiskowców 29 listopada 1830 r., nocą rozpoczynającą powstanie listopadowe. Tutaj grupa członków sprzysiężenia chciała dokonać zemsty na znienawidzonym zarządcy Królestwa Polskiego. Po odzyskaniu niepodległości Belweder był siedzibą Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego, a po jego ustąpieniu i wyborze prezydenta – głowy państwa. 14 grudnia 1922 r. tutaj Naczelnik przekazał władzę Gabrielowi Narutowiczowi.

Siedzibą prezydenta Belweder pozostawał do zamachu majowego w 1926 r. i po drugiej wojnie światowej, kiedy zamieszkał tutaj kolejny wielkorządca moskiewski – Bolesław Bierut. Później była tutaj kwatera przewodniczącego Rady Państwa, wreszcie od 1989 r. do 1993 r. kolejny raz siedziba prezydenta Rzeczypospolitej. Jednak wcześniejsza historia pałacu i jego otoczenia, zwłaszcza ta z czasów I Rzeczypospolitej, pozostaje w cieniu, warto ją jednak przypomnieć, bo jest ciekawa.



RYS. OBA

Pierwszą budowlą na malowniczej skarpie wiślanej była willa królowej Bony. Powstała ok. 1533 r. Potem właścicielami nieruchomości zostali oo. augustianie przy Kościele św. Marcina. Odkupił ją król Zygmunt III Waza, a odziedziczył jego syn – Władysław IV, który podarował ją swemu kapelmistrzowi nadwornemu Bartłomiejowi Pękielowi. Ten z kolei sprzedał ją w 1659 r. Krzysztofowi Pacowi, kanclerzowi wielkiemu litewskiemu, który przebywając przy królu Janie Kazimierzu, rozglądał się za jakąś stałą siedzibą w Warszawie. To właśnie on zbudował do roku 1663 malowniczy pałacyk otoczony ogrodem typu włoskiego. Nazwał go też „Belwederem" od włoskiego słowa „belvedere" składającego się z dwóch wyrazów – „bel" – piękny – i „vedere" – widzieć, czyli „piękny widok". Choć dziś nie jest to do końca pewne, to rezydencja owa była drewniana, a przy tym bogato wyposażona i zdobiona. Jak podaje Anna Sylwia Czyż, wzniesiona na planie kwadratu miała dość typowe wnętrze przedzielone sienią na dwie części, w których znajdowały się pokoje, alkowa i gabinety, a od strony skarpy – duża sala zwana galerią i otwierająca się na ogród. Ciekawe, że budowla miała być może tzw. belwederek, czyli niewielką wieżyczkę do podziwiania widoków. Posiadłość, mająca powierzchnię ok. 20 dzisiejszych ha, znajdowała się w pobliżu królewskiego pałacu w Ujazdowie. Krzysztof Pac przekazał wkrótce prawa do niej swojej żonie Klarze Izabeli, która pochodziła z Francji i należała do fraucymeru królowej Marii Ludwiki.

Zachowane nieliczne wzmianki o rezydencji żony Paca opisują ją jako bogato wyposażoną. Były tam m.in. „zwierciadło wielkie w hebanie" i drugie „w hebanowych wielkich ramach". Ściany obito tkaninami, podłogi były drewniane, a piece z białych kafli.

Belweder pozostawał w rękach Paców z krótką przerwą aż do XVIII w. W 1740 r. podupadający budynek został rozebrany, a w jego miejscu wzniesiono nowy, niewielki pałacyk, zaprojektowany przez Józefa Fontanę, twórcę takich dzieł jak pałace Bielińskich w Kozłówce i Otwocku Wielkim czy kościół św. Jana Bożego i Klasztor Bonifratrów w Warszawie. Budynek ten przeszedł jednak na własność Lubomirskich, a potem, od 1767 r. – do rąk króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. Wówczas rozpoczął się „przemysłowy" etap w historii tego miejsca. Rok później król sprowadził tutaj barona Franciszka Józefa Schüttera, który znał sekret wyrobu porcelany i uruchomił w pałacyku jej manufakturę. Było to związane z faktem, że na pobliskim Mokotowie znaleziono pokłady glinki kaolinowej niezbędnej do produkcji takich wyrobów. Niestety, próby wytworzenia porcelany dobrej jakości okazały się nieudane, dlatego od 1770 r. rozpoczęto produkcję fajansów. Te także nie były dobre, ale miały piękne dekoracje i zdobienia. Najsłynniejszym dziełem manufaktury stał się tzw. serwis sułtański, który król wysłał w 1777 r. władcy Turcji, sułtanowi Abdülhamidowi I. Niestety, manufaktura fajansu, podobnie jak inne podobne projekty króla Stasia, okazała się niedochodowa i w 1780 r. zaprzestano jakiejkolwiek produkcji.

Po upadku Rzeczypospolitej, wywiezieniu Stanisława Augusta na wschód i jego śmierci w Petersburgu Belweder przeszedł na własność jego bratanka, sławnego wodza księcia Józefa. Ten oddał go za długi Onufremu Kickiemu. W 1818 r. córka tegoż sprzedała pałacyk rządowi Królestwa Polskiego. Został on wówczas przeznaczony na siedzibę księcia Konstantego Romanowa i kompletnie przebudowany przez Jakuba Kubickiego. I w takiej właśnie postaci klasycystycznego pałacu możemy oglądać go do dziś. ©℗

eprasa.pl 75b7358ee2

HONDA ZR-V



FOT. JAP

Smukła sylwetka, przyjemnie wykończona kabina i – co obecnie najważniejsze – paliwooszczędny napęd hybrydowy e:HEV. Tak najkrócej można by scharakteryzować ulepszoną wersję modelu ZR-V japońskiego producenta. W swej najnowszej odsłonie model Hondy, który jest nieco mniejszy niż CR-V, ale większy niż HR-V, ma szansę odebrać część klientów Toyocie, bo w wielu aspektach może okazać się lepszy niż Corolla Cross czy nawet RAV4.

ZR-V wygląda nowocześnie (kusi m.in. ciekawie poprowadzoną linią nadwozia, zgrabnymi reflektorami LED czy imitacjami rur wydechowych), ale nie jest to samochód, za którym na parkingu każdy będzie się oglądał. Nie trzeba się tu głowić nad wyborem napędu. Do wyboru jest bowiem tylko jedna jednostka, ale nie ma co czynić Japończykom w tej kwestii zarzutów, bo jest to po prostu dobry silnik. 184 KM mocy w połączeniu z maksymalnym momentem obrotowym wynoszącym 315 Nm sprawia, że ten SUV potrafi dynamicznie poruszać się po drogach i autostradach. Sprint od zera do 100 km/h zajmuje 8 s. Prędkość maksymalna to zaś 173 km/h. Prześwit wynosi 18 cm, co pozwala sprawnie pokonywać miejskie przeszkody. Auto ma jednak napęd tylko na jedną oś (bez możliwości dopłaty do 4 x 4), więc terenówki z niego nie zrobimy.

Napęd hybrydowy dobrze współpracuje z bezstopniową przekładnią automatyczną. Ten japoński SUV, mierzący 456,8 cm długości i 184 cm szerokości (bez lusterek), dobrze się prowadzi, a do tego potrafi jeździć oszczędnie. W cyklu mieszanym średnie spalanie przy rozsądnej jeździe może spaść poniżej 6 l/100 km. ZR-V jest oszczędny podczas jazdy po mieście, ale nawet na autostradzie jego apetyt na paliwo nie przekracza średnio 7,5 l/100 km. Dzięki temu zasięg na jednym zbiorniku może wynieść do 1000 km. System i-MMD (Inteligentny Układ Doboru Trybu Jazdy) sprawnie przełącza się z prądu na silnik benzynowy, bez hałasu i bez poczucia, że w jakimkolwiek momencie brakuje mocy.

Kabina została wykończona materiałami dobrej jakości. Cieszą sportowe nakładki na pedały, a skóra pojawiająca się w tunelu środkowym sprawia, że we wnętrzu robi się przytulnie i tak jakby... luksusowo. W kabinie znajduje się też 12 głośników Bose. Przednie fotele – z opcją podgrzewania – są wygodne i dobrze wyprofilowane. Podgrzewana może być również kierownica. Z kolei panoramiczny dach pozwala podziwiać rozkwitający wiosną świat. Miejsca jest sporo zarówno z przodu, jak i na tylnej kanapie, choć w CR-V jest go więcej. Na pochwałę zasługują również liczne systemy bezpieczeństwa.

Niestety, dość skromnie (zwłaszcza w porównaniu z konkurentami z innych krajów Azji) prezentuje się 9-calowy ekran systemu multimedialnego. I nie chodzi tylko o rozmiar. Bezprzewodowa obsługa Android Auto powinna być już standardem, a tu był z tym kłopot. Obraz z kamery cofania mógłby być lepszej jakości. Skromny w ZR-V jest również bagażnik. W wersjach Elegance i Sport ma 390 l pojemności, a w testowanej wersji Advance zaledwie 380 l. To niestety cecha hybryd – gdzieś te akumulatory trzeba zmieścić.

Za ZR-V w podstawowej wersji Elegance trzeba zapłacić 159,4 tys. zł. Wariant Sport kosztuje 168,9 tys. zł, a Advance to wydatek co najmniej 179,9 tys. zł.

EZVIZ HB8 LITE 4G



Możliwość działania zarówno bez prądu, jak i z dala od wi-fi, dobra jakość obrazu, opcja nagrywania bez przerwy w trybie AOV, skuteczne wykrywanie ludzi i samochodów oraz banalnie prosty montaż – to największe zalety kamery do monitoringu marki Ezviz.

Co roku podczas Świąt Wielkanocnych policja odnotowuje wzrost liczby kradzieży z włamaniem. Niewielkim kosztem można jednak utrudnić życie złodziejom, odstraszając ich nawet od domków lotniskowych, altan ogrodowych czy domów, które dopiero są w budowie.

Niewielka biała, plastikowa kamera HB8 Lite 4G została zaprojektowana tak, aby zawsze była on-line. Urządzenie może zatem łączyć się z siecią Wi-Fi 6 albo – jeśli w danym miejscu sygnał jest zbyt słaby lub nagłe przerwy w dostawie prądu sprawiają, że Internet nagle znika – automatycznie przełączać się na sieć 4G (trzeba dokupić kartę SIM z pakietem danych). Efekt? W dowolnej chwili można podejrzeć w bezpłatnej aplikacji, co dzieje się wokół domu/działki/ogrodu. Co więcej, testowany model można zainstalować w miejscu, gdzie nie tylko nie ma wi-fi, lecz także dostępu do prądu. Kamera ma bowiem wbudowany akumulator (5200 mAh), a w zestawie znajduje się panel słoneczny (5 W). Praktyczny jest też trzymetrowy kabel do panelu – dzięki temu kamerę można zainstalować np. pod dachem, a panel w miejscu, gdzie dociera najwięcej promieni słońca.

Kamera rejestruje obraz w rozdzielczości 2K+. Jej zaletą jest technologia AOV, umożliwiająca rejestrowanie kluczowych zdarzeń przez całą dobę bez ryzyka szybkiego wyczerpania baterii. HB8 Lite 4G po wykryciu intruza potrafi „podążać" jego śladem (ma możliwość obrotu o 340 stopni w poziomie i 80 stopni w pionie). Wykrycie pojazdu lub osoby sprawia zaś, że aplikacja Ezviz wyświetla stosowny alert na smartfonie.

Dzięki obiektywowi o przysłonie f/1.6 jakość nagrań jest dobra, a wideo zawiera wiele detali. Dwa niewielkie reflektorki sprawiają, że nawet nocą nagrania są kolorowe. Zarejestrowane klipy można przechowywać na karcie microSD (o pojemności do 512 GB; trzeba ją kupić osobno) albo w chmurze producenta (usługa dodatkowa płatna). Kamera jest też wyposażona w głośniczek – w razie potrzeby można zatem uruchomić syrenę alarmową lub wyemitować własne nagranie.

Minusy? Wbudowana bateria mogłaby mieć większą pojemność (w pochmurnych okresach zimą przy użyciu technologii AOV pojawia się ryzyko rozładowania kamery). Diody LED służące do odstraszania potencjalnych intruzów powinny być zdecydowanie mocniejsze. Cena: 569,9 zł.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl 75b7358ee2



SIOSTRY GOTUJĄ

MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK
I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

Arcyśniadanie

Ciekawy opis śniadania wielkanocnego serwowanego u wojewody Sapiehy w Debreczynie znajdujemy u Łukasza Górnickiego. Oto co podawano w niedzielny poranek: na środku stołu ustawiony był baranek z chorągiewką calutki z pistacjami – ten specjał przeznaczony był dla dam, senatorów, dygnitarzy i duchownych. Wokół cztery przeogromne dziki – tyle ich było, ile pór roku – 12 jeleni ze złocistymi rogami – tyle, ile miesięcy, ciasta sążniste naokoło – tyle, ile tygodni, tj. 52 – placki, mazury, żmudzkie pierogi, a wszystko wysadzane bakalią. Za nimi 365 babek – każda z inskrypcjami i floresami. A co do bibendy, obowiązywała podobna reguła: cztery puchary najcenniejszego wina, 12 konewek srebrnych, także z winem, 52 baryłki z winem cypryjskim, hiszpańskim i włoskim oraz 365 gąsiorów z winem węgierskim. U Radziwiłła z kolei był taki jeden placek, który miał w środku sadzawkę z białego miodu, a z niej wyglądały kąpiące się rybki i nimfy, do których Kupidyn strzelał z łuku. Widać tu ekstrawagancję i przesadę w biesiadowaniu, a także zgoła niechrześcijańskie cytaty.

Aby to wszystko strawić, potrzebna była pomoc. Tę gwarantowało zjedzenie przed śniadaniem laski chrzanu – jego ostry, piekący smak ma symbolizować mękę Chrystusa i każe wiernym choć odrobinę symbolicznie połączyć się z cierpieniem Zbawiciela, gdyż i jego pojono octem i żółcią. Ponadto chrzan ułatwiał trawienie, czyścił gardło i nos, chronił przed bólami gardła i brzucha.

Pisze o tym Barbara Ogrodowska w książce pt. „Zwyczaje, obrzędy i tradycje w Polsce".

Szarlotka z majonezem

My proponujemy na wielkanocny stół swojską szarlotkę, ale wzbogaconą... majonezem.

Ten niecodzienny dodatek sprawia, że ciasto jest bardzo kruche i rozpływa się w ustach, kwaśne jabłka zaś dodają orzeźwiającego smaku, co przy wielu potrawach, które na pewno w ten dzień zjemy, będzie miłą odmianą. ©℗



FOT. ADOBE STOCK



NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Lumpeks i rodzina

JOANNA BOJAŃCZYK

Kiedyś się mówiło: używane ubrania. Przysyłali je krewni z Ameryki, kto nie miał krewnych, szedł na ciuchy. Bo z ubraniami w PRL wiadomo, jak było, czyli ich nie było. Gdy po transformacji polski rynek się otworzył, niedobory krajowe spontanicznie i oddolnie wyrównały się dzięki sklepom z zagranicznymi używanymi ubraniami. Elegancko nazwano je second-handami; mniej elegancko mówił lud: lumpeksy. I ta nazwa przyjęła się, tracąc negatywny odcień znaczeniowy. Narzekań, że donaszamy ciuchy po Niemcach, nikt nie słuchał. Wszyscy kupowali w lumpeksach.

Jednak w miarę, jak kraj się bogacił, brzydka i biedna nazwa stawała się coraz bardziej elegancka i coraz mniej mająca wspólnego z rzeczywistością. Vintage – słowo pożyczone od winiarzy – miało upgrade'ować używany towar. To już nie były anonimowe szmaty na wagę (sukienka za 15 zł), tylko wybór rodzynków w cieście. Utworzyła się grupa łowców okazji: co to był za sukces, gdy się coś markowego upolowało za mały pieniądz! Kiedy kupiłam za 20 zł torebkę Yves Saint Laurent w Lidzbarku Welskim, cała wieś przyszła oglądać to cudo.

Tak było jeszcze w latach 90., ale po roku 2010, gdy społeczeństwo jeszcze bardziej się wzbogaciło, second-handy znikały, a vintage przeniósł się do Internetu, gdzie do dziś występuje pod subtelną nazwą Vinted. Vinted powstało na zielonej fali antykonsumeryzmu, alterglobalizmu i tym podobnych izmów. Nie kupujmy, szanujmy, naprawiajmy. Pokolenie 15–30 odżegnywało się od kupowania nowych rzeczy, powstały ruchy w rodzaju: mieć tylko sto rzeczy, rok w jednej sukience itp.

Jak zazwyczaj, nazewnictwo dostosowało się do zmian społecznych. Już nie mówi się vintage, teraz jest pre-owned. Znaczy w sumie to samo, co second-hand, tylko inaczej powiedziane. Ale i to nie było końcem zmian. Używane ubrania nazywają się „archives". Koniecznie w języku obcym, francuskim czy angielskim. „Archives" brzmi dumnie, to nie jakaś tam sprana koszula z H&M. To archiwum. To nie koniec. Żeby podbić zawartość, do archiwów dodano tajemniczy przymiotnik: curated. Nikt nie wie dokładnie, co znaczy, można się domyślić, że coś lepszego. Coś jakby oprowadzanie kuratorskie po wystawie. Jak jest kurator, to na pewno mamy do czynienia ze sztuką wysoką. Same archiwa mogą zalatywać myszką.

Gdyby ktoś uważał, że to jeszcze za mało, że słowo nie wyraża entuzjastycznego stosunku do używanych ubrań, może używać nowego słówka, jeszcze gorącego, prosto z pieca. „Pre-loved". Kup koszulę, którą ktoś już kochał. Emocje rządzą. ©℗

eprasa.pl 75b7358ee2





PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Czarne dni Giorgii Meloni

Włoska koalicja rządząca z kretesem przegrała referendum w sprawie reformy sądownictwa (47 do 53 proc.) przy imponującej frekwencji – blisko 60 proc. Reforma miała położyć kres upolitycznieniu sędziów, wpływowi frakcji politycznych w Narodowym Stowarzyszeniu Sędziów (ANM) na nominacje i awanse, a także oddzielić sądownictwo od prokuratury, które stoją w jednym domku, bo do ANM należą i sędziowie, i prokuratorzy. Reforma znajdowała się w programie wyborczym prawicowej koalicji, która wygrała wybory w 2022 r.

Jeszcze miesiąc temu z sondaży wynikało, że bez trudu zwycięży „tak". Nagle sytuacja zaczęła się zmieniać i mimo ofensywy medialnej Giorgii Meloni i całej prawicy referendum zakończyło się klęską. To pierwsza, ale bardzo ważna porażka polityczna obecnego rządu i pierwszy wyraźny sygnał alarmowy przed przyszłorocznymi wyborami parlamentarnymi. Do porażki doszło, mimo że włoski wymiar sprawiedliwości jest naprawdę ciężko chory na lewicowe zideologizowanie, małpią złośliwość, ośli upór i megalomanię, której towarzyszy słuszne przekonanie o całkowitej bezkarności. O tym wie każdy zdrowo myślący Włoch.

Skąd więc porażka? Ano stąd, że za sprawą sprytnej gry lewicowej i skrajnie lewicowej opozycji referendum dotyczące sądownictwa przepoczwarzyło się w manifestację frustracji z powodów wszelkich: politycznych i społecznych, a może i religijnych, bo – jak się szacuje – 1,7 mln włoskich muzułmanów głosowało „nie". Lewicowa propaganda opowiadała rzeczy rzewne: „Rząd chce wziąć pod but wymiar sprawiedliwości!", „To zamach na konstytucję i demokrację!" wraz z tradycyjnym ostrzeżeniem „Nadchodzi faszyzm". Po ogłoszeniu wyników w ośrodku komitetu wyborczego sędziów i prokuratorów na rzecz odrzucenia reform uczestnicy gremialnie zaśpiewali partyzancką piosenkę „Bella Ciao" (po prawdzie powstała po drugiej wojnie), co miało oznaczać, że we Włoszech faszyzm został właśnie powtórnie pokonany. Poza tym zachęcano do głosowania na „nie", bo rzekomo obecny włoski rząd utrzymując nadal stosunki z Izraelem, jest współodpowiedzialny za ludobójstwo w Gazie. A prokurator Neapolu wskazał, że na „tak" będą głosować wyłącznie skazani, oskarżeni i masoni.

Jakby porażki referendalnej było mało, premier Meloni musiała wyrzucić troje członków rządu z powodu oskarżeń o korupcję, defraudację i związki z mafią. Na razie z sondaży wynika, że prawica dziś powtórnie wygrałaby wybory, ale wyniki referendum mówią zupełnie co innego. ©℗



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Dwa polskie Kirki

Patryk Jaki i Tobiasz Bocheński krążą po kraju. Jeżdżą z nieudolnie podkradzionym od zamordowanego amerykańskiego aktywisty Charliego Kirka formatem „Zmień nasze zdanie", chcąc się – wzorem oryginału – konfrontować z publicznością, której stawiają wiecowe zadanie obalenia tez głoszonych przez siebie. Wychodzi to bardziej żenująco niż komicznie.

Rzeczony Kirk raczej nie prezentował tez do wiecowego obalania, wystawiał się raczej jako obiekt do ataków po pytaniach, które zadawał publiczności. Jego wiece odbywały się głównie na kampusach amerykańskich uczelni, czyli w samym oku cyklonu czerwonego wokeizmu. Tam nie ma miejsca na tezy, raczej na nawalankę, Kirk stosował więc metodę sokratejską, czyli doprowadzał pytaniami do absurdalnych odpowiedzi. I nie tyle chodziło w tym o to, żeby jego skłonić do zmiany zdania, ile raczej cel był taki, że to sam atakujący (w oparciu o doprowadzone do absurdu odpowiedzi, których udzielał) majeutycznie „rodził" z siebie własne, lecz już inne poglądy.

U naszych posłów jest inaczej. Oni – albo zbytnio niewyrobieni w metodzie sokratejskiej, albo zapalczywie wzmożeni własnymi poglądami – suflują nielicznej widowni własne tezy. I trzeba przyznać, że jest to misja samobójcza. Tu nawet nie chodzi o to, że brać studencka pyta się ich, co tu robią na apolitycznej uczelni (jakby tam stali wiecujący lewacy, to nikt z żaków nie podniósłby takiego argumentu). Rzecz w tym, że wiecujący politycy sami, bez namów studentów, wielokrotnie zmieniali wcześniej swoje zdanie. Nie są więc żadnymi busolami do testowania niezłomnego kierunku w czasach pojęciowych i aksjologicznych burz.

Politycy ci przeczą obecnymi tezami swym przeszłym uczynkom. Jest to misja „na Czarnka", czyli pomstujemy na wszystko, co właściwie za swoich rządów sprokurowaliśmy. Zielone i Polskie Ładu, służalczość wobec Ukrainy, zgodę na migracyjne polityki, covidowe szaleństwo – wszystkie atrybuty „nowej normalności". Liczy się tu na pamięć suwerena sprowadzaną do pamięci złotej rybki, co – zwłaszcza w nie bardzo sprzyjającym PiS gremium studenckim – jest jakimś wiecowym masochizmem. Dlatego panowie dostają bęcki, ale tak to jest, jak się przebiera w cudze szaty. Brak nie tylko pomysłu na format. Ujawnia się zmienność już nie poglądów, ale postaw.

Jeżdżenie teraz po Polsce i nagabywanie na wiecowanie przy głoszeniu tez przeciwnych do własnych zachowań politycznych to nie tylko żenada, ale profanacja formatu, za którego głoszenie zapłacił życiem dość zintegrowany poglądowo dzielny Amerykanin. ©℗

eprasa.pl 75b7358ee2



DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Transfiguracja w Egipcie

Klasztor św. Katarzyny u podnóży góry Synaj znany jest wielu polskim turystom odwiedzającym Egipt. Znajduje się on w miejscu wyjątkowym, czczonym przez chrześcijaństwo, judaizm i islam. To właśnie tutaj, według Biblii, u podnóża góry, Mojżesz ujrzał gorejący krzew, a z jego wnętrza usłyszał głos Boga. Na szczycie góry Synaj otrzymał później kamienne tablice z przykazaniami. To miejsce

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



jest ziemią świętą, na której objawiła się Boża Obecność wobec Mojżesza i wobec proroka Eliasza. Zaczynającymi się pod klasztorem, liczącymi 3750 stopni „Schodami Pokuty" przez wiele setek lat wspinali się do Boga utrudzeni pielgrzymi i mnisi.

Podnóże Synaju stało się również miejscem życia, modlitwy, kontemplacji dla Ojców Pustyni – pierwszych chrześcijańskich mnichów, których w VI w. opieką otoczył cesarz Justynian, fundując wokół gorejącego krzewu warowny klasztor oraz bazylikę dedykowaną Matce Boga (Teotokos). Bazylika, wybudowana z funduszy cesarza Bizancjum, jest jednym z niewielu w pełni zachowanych do naszych czasów zabytków bizantyjskich sprzed okresu ikonoklazmu. Jej absydę zdobi wykonana przez przybyłych z Konstantynopola artystów mozaika, przedstawiająca Przemienienie Jezusa na górze Tabor. To arcydzieło sztuki sakralnej jest też wielkim teologicznym manifestem największego dogmatu chrześcijaństwa dotyczącego boskości Jezusa i zastąpienia Starego Przymierza Nowym. Bazylika Justyniana stała się również schronieniem dla relikwii św. Katarzyny Aleksandryjskiej. W klasztorze przechowywana jest jedna z najcenniejszych na świecie kolekcji bizantyjskich ikon, ksiąg i manuskryptów.

Przez ostatnie 1500 lat klasztor utrzymał swój status jako miejsce święte i własność przebywających w nim mnichów. W czasie arabskiego podboju półwyspu Synaj w VII w. otrzymał gwarancję nietykalności od samego proroka Mahometa, której nie podważono w czasie rządów egipskich Fatymidów, Mameluków, a potem tureckich Ottomanów. Dziś wspólnota zakonna liczy sobie ok. 20 mnichów prawosławnych, w większości pochodzących z Grecji.

28 maja 2025 r. rząd egipski, posiłkując się wyrokiem sądu, podważył prawo własności klasztoru do ziemi, na której stoi. Na terenach bezpośrednio sąsiadujących z klasztorem, a należących do niego przez wieki rozpoczęta została budowa gigantycznego kompleksu hotelarsko-rozrywkowego, w pełni finansowana przez egipskie fundusze rządowe. Inwestycja zajmie obszar 2 tys. ha i obejmować będzie 14 stref inwestycyjnych, w tym luksusowe ekowille, hotele pięciogwiazdkowe, liczne centra kongresowe i parki rodzinnej rozrywki. Kompleks planuje obsłużyć milion turystów rocznie.

Na szczyt góry Mojżesza doprowadzona ma zostać kolejka linowa, transportująca nań turystów z centrum hotelowego. Towarzyszyć jej będą drogi dla busów elektrycznych i innych „ekopojazdów", zapewniające łatwy, masowy dostęp do „religijnych atrakcji". Ta gigantyczna inwestycja rządowa nazwana została oficjalnie The Great Transfiguration Project (Projekt Wielkiej Transfiguracji)

Trudno nie odnieść wrażenia, że współczesne państwo egipskie usiłuje uczynić Klasztor św. Katarzyny elementem narodowego przemysłu turystycznego, jedną z wielu atrakcji w skomercjalizowanym religijnym Disneylandzie. Próba wywłaszczenia klasztoru i uczynienia z niego jedynie „użytkownika gruntów państwowych" to najważniejszy element tego planu.

Projekt Wielkiej Transfiguracji bezpośrednio uderza w status jednego z najświętszych chrześcijańskich miejsc kultu na Bliskim Wschodzie. Czy nie jest to także przymiarka do niezbędnych przy budowie Trzeciej Świątyni zmian architektonicznych i własnościowych, które mogą mieć miejsce w Jerozolimie? Jeśli z czczonego na Synaju krzaku gorejącego uda się zrobić podlewany klomb, regularnie przystrzygany na potrzeby wyrobu pamiątek dla turystów, to może i z Kopułą na Skale można będzie postąpić podobnie? ©℗

eprasa.pl 75b7358ee2



WOJCIECH ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Dziś

Metro. Dziś gęsto, bo rano. Pani w średnim wieku w strasznie szerokich spodniach, jakie obecnie nosi młodzież, odwróciła się tyłem, więc nie wiem kto zacz. Wejściem z prawej wtarabanił się śniady rozwoziciel ze swoim jednośladem, w którym siadła mu tylna opona. Ciekawe, co z tym zrobi. Tak czy inaczej, strasznie zawadza w przejściu.

Ludzie nic nie mówią, ale patrzą bez entuzjazmu. Na siedzeniu obok spoczął gość w czarnych spodniach i czarnej kurtce z jakimiś gotyckimi napisami. Czaszka tam chyba też jest, ale nie chcę się gapić. Beret też ma czarny. Trochę nieprzyjemny jakiś...

Murzynki pod oknem widać tylko kawałek. Zasłaniają ją dwie długowłose dziewczyny w dżinsach. Nie bardzo szerokich, raczej opiętych. Jedna ma wygryzioną dziurę na kolanie. Nie słyszę, o czym rozmawiają. Jaki to przystanek? Nie widać. Chyba jeszcze kawałek...

Nieco dalej, przy poręczy, stoi szpakowaty gość w okularach ze strasznie poważną miną. Godność w nim jakaś wielka... Chyba docent. Ta młoda ma torbę z napisem „NO RULES". Nie wiem, czy zna angielski. Bo jeśli tak, to szkoda. Przecież może ją spotkać coś złego. Po co kusić licho?

Za oknem mignął napis, że ktoś czy coś zapewnia widoczność. W wagonie chyba nie. Ktoś wysiadł, ktoś wsiadł, ale nadal gęsto.

To nadal nie moja stacja. Zawisnął nade mną chłopaczek w spodniach rurkach. Jakiś mało męski jest. Jak to jest z tą modą? Czy raczej rurki, czy raczej obwisłe gacie? „LOS ANGELES LAKERS" – taki napis nosi na bluzie młody zaczesany do góry. Grał tam czy widział tam mecz? A może nie wie, o co chodzi? Tak czy inaczej, nadąża.

Ten w czarnym wysiadł, więc troskliwa mamusia posadziła obok malucha, który bucikami kopie naokoło, jakby sobie chciał wywalczyć więcej miejsca.

I kto nas obroni przed zamachem na Trybunał Konstytucyjny oraz od pożyczki Der Safe?

Obok stanęła chudziutka skośnooka. To chyba Chinka. Może Wietnamka, bo ich jest więcej. Czyta coś w telefonie. Ciekawe po jakiemu. Weszła jakaś kobieta i torbę mi stawia na nodze. Nawet nie jest ciężka... Trzeba się będzie zaraz przepychać...

Uff. Na peronie. Stoi tam młody człowiek w czarnych spodniach i kurtce. Co oni mają z tym czarnym kolorem? Jego pies też jest czarny. Kontrola biletów. Złapali kogoś, ale spokojnie, coś tam sobie tłumaczą.

Na schodach ruchomych tłoczą się opięte pupy. Torbą po głowie można dostać, ale niechcący. Na półpiętrze ludzie się mijają w pędzie. Jedni walą w jedną stronę, drudzy w drugą. Ciekawe, że się nie zderzają. Chyba mają to jakoś wytrenowane. Może refleks, bo ja wiem...

Wracam. Trochę luźniej. Na sąsiednim siedzeniu siedzi rzędem siedmioro młodych. Każde ma telefon w ręku i czegoś tam wypatruje... Nie patrzą w ogóle na siebie. Może się nie znają?

Piesek... fajny... zapiera się łapami przy hamowaniu i patrzy w górę z niepokojem. Smycz od pieska biegnie do młodej pani o surowym wyrazie twarzy. Biedny piesek. Poczciwina. A jego pani? Kto wie?

Ale zahamował! Grupka wesołej młodzieży potoczyła z hałasem w kierunku jazdy siłą bezwładności... Złapali się jedno za drugie i się śmieją. Dobrze, że sobie nic nie zrobili. Wiedzą, na czym polega bezwładność? Może w szkole było...

Młoda kobieta w kapturze oparła się o wózek, w którym chyba jest jakieś małe. Trudno zgadnąć, czy to matka czy opiekunka. W każdym razie zmęczona, podobnie jak pani z torbami od zakupów, która usiadła obok.

Ten młody naprzeciwko nogi wyciągnął na pół przejścia i nic go nie obchodzi, że ktoś się może potknąć...

Wejściem z lewej wtoczył się jegomość z trzema wielkimi plastikowymi torbami na śmiecie. Co on tam ma, bo zapach jakiś dziwny...

Starszy pan kołysze się na poręczy ze zmęczenia czy coś wypił?

Wagon pustoszeje. I kto nas obroni przed zamachem na Trybunał Konstytucyjny oraz od pożyczki Der Safe? ©℗

eprasa.pl 75b7358ee2

NIELEGALNE



FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOŚNICKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Jakiś Naczelny Sąd Administracyjny orzekł, że dwaj sodomici, którzy w Niemczech wzięli „ślub", mają być w Polsce zarejestrowani jako „małżeństwo". Polska konstytucja określa, że małżeństwo to wyłącznie chłop i baba, nigdy inaczej, no ale Sąd Administracyjny nie sięga do konstytucji, lecz do przepisów administracyjnych, a te mówią tysiące razy o tym, że przepisy polskie mają być zgodne z prawem unijnym. Unifikacja jest najważniejsza. Bez unifikacji nie ma Unii. Unia polega na unifikacji.

Dlatego Sejm nie zajmuje się uchwalaniem przepisów polskich, lecz od lat zajmuje się głównie DOSTOSOWYWANIEM naszego prawa do przepisów zagranicznych. Nigdy nie słyszałem o działaniu odwrotnym. Czy ktoś z Państwa słyszał, aby kiedykolwiek reszta krajów Unii dostosowywała swoje przepisy do naszych?

Niepodległość RP zastąpiono podległością wobec zagranicy. Tego Państwo chcieli, głosując za wstąpieniem do Unii? Większość Polaków głosowała za wstąpieniem, ale ta większość – wtedy – nie wyobrażała sobie, że to się skończy stałym i ciągłym dostosowywaniem. Sejm nawet nie rozważa, czy jakiś przepis jest roztropny, dobry, pożyteczny… Sejm jedynie stwierdza, że polskie przepisy dotychczasowe są niezgodne z prawem unijnym, więc polskie przepisy zmienia.

***

Na świecie są kraje, gdzie różne rzeczy są legalne, które u nas legalne nie są. No np. w kilku krajach Ameryki Południowej wolno uprawiać krzaki koki. W Peru są całe plantacje, zbiera się liście, zawozi do skupu, ze skupu suszone liście trafiają do zakładu, gdzie się z tego robi herbatkę, a potem herbatkę z liści koki można kupić w supermarkecie. Zrobiłem o tym odcinek „Boso przez świat", a potem na lotnisku w Polsce miałem kłopoty z rekwizytami, które mi zostały po zdjęciach – wprawdzie miałem legalną fakturę zakupu herbatki z koki i ta faktura dała się zaksięgować w koszta produkcji filmowej i Urząd Skarbowy tego kosztu nie kwestionował, ale rekwizyty mi skonfiskowano na lotnisku jako nielegalne.

A nie lepiej było te rekwizyty wywalić jeszcze w Peru? No nie, bo wtedy skarbówka by się czepiała, że kupiłem rekwizyty, zaksięgowałem w koszty, a potem je wyrzuciłem, czyli działam na szkodę firmy. Natomiast mając w ręku kwit potwierdzający konfiskatę, byłem usprawiedliwiony.

***

Podobnie było z moimi butami z aligatora. Aligatory w Polsce nie występują (chyba że w zoo), mimo to są na terenie Polski pod ścisłą ochroną jako gatunek zagrożony wyginięciem. Z kolei w USA aligatory w stanie dzikim mnożą się na potęgę, łażą po ulicach na Florydzie i w Luizjanie, stanowią zagrożenie dla ludzi i dlatego jest sezon polowań i można sobie legalnie aligatora zastrzelić, mięso zjeść, a ze skóry zrobić buty, portfel, pasek lub walizkę. Ja wybrałem buty. Miałem fakturę z USA na legalny zakup butów i tę fakturę dało się zaksięgować w Polsce, ale same buty już legalne nie były. Prosty i stanowczy zakaz wwozu czegoś, co za granicą jest legalne, ale u nas nie jest.

Tę samą zasadę możemy stosować wobec niemieckich sodomitów – za granicą ich „małżeństwo" jest legalne, ale u nas nie. Koniec tematu i won.

***

Są kraje bardzo nowoczesne, bogate, cywilizowane, gdzie poligamia jest prawnie dozwolona. Dubaj i inne emiraty arabskie, Arabia Saudyjska, Katar – prawo szariatu – tam wolno mieć legalnie do czterech żon. Jedzie Polka na kontrakt do Dubaju, wychodzi za mąż, jest trzecią żoną szejka. A potem jadą do Polski. I co na to Polska? W Polsce za bigamię jest paragraf. Artykuł 206. – Kodeks karny: Kto zawiera małżeństwo, pomimo że pozostaje w związku małżeńskim, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat 2.

Jak Polska sobie radzi z taką sytuacją, gdy do naszego kraju wjeżdża arabski ambasador, turysta lub przedstawiciel biznesu z czterema legalnymi żonami? Brał cztery śluby legalnie – tam, u siebie, w krainie, gdzie panuje szariat. Ma dokumenty uznawane przez Polskę – wjechał na arabskim paszporcie i każda z jego żon też ma legalny paszport, przystawiliśmy stosowne pieczęcie, wpuściliśmy na nasz teren faceta z czterema żonami, czyli służba graniczna WIE, że ma do czynienia z bigamistą, poligamistą…

Jak Polska traktuje te cztery żony? Tylko pierwsza z nich jest żoną legalnie, a resztę traktujemy jak konkubiny lub kochanki? No a ta Polka, która wyszła za mąż w Dubaju, chodzi po polskich urzędach i legitymuje się swoim mężem, bo potrzebuje coś załatwić – spadek, przepisanie mieszkania, zmianę nazwiska. Jak polskie prawo radzi sobie z tą sytuacją, gdy ona jest trzecią żoną?

Jedynym sposobem rozwiązywania takich problemów jest trzymanie się prawa polskiego na terenie Polski. Czyli nie obchodzi nas, że w Katarze jest pani trzecią legalną żoną tego pana. W Polsce pani nie jest jego żoną, bo on już ma inną żonę – tę pierwszą. Każda następna żona w świetle polskiego prawa żoną nie jest. Koniec tematu. Czyli w Katarze jest pani zamężna, a w Polsce jest pani panną. Przykro nam, ale żadne inne rozwiązanie nie jest wykonalne, bo spowoduje kaskadę problemów prawnych.

Gdybyśmy na pani prośbę uznali, że jest pani legalną żoną tego pana, to jednocześnie musimy go natychmiast aresztować za bigamię i uznać pani małżeństwo za nieprawne w świetle polskiego prawa.

***

W sprawie tych dwóch sodomitów należy stosować zasadę identyczną jak wobec moich butów z aligatora. W USA moje buty są legalne, a w Polsce nie są. W Niemczech być może ktoś tam uznał, że dwóch facetów stanowi „małżeństwo", ale w Polsce ci faceci małżeństwem nie są. Koniec tematu. To w ogóle nie jest skomplikowane. Ta sama rzecz może być legalna w jednym kraju i nielegalna w innym.

No np. w USA wolno propagować faszyzm, a w Polsce nie. W USA wolno spalić flagę amerykańską lub polską, a w Polsce nie. W USA mogę sobie kupić broń na jarmarku, a w Polsce nie. W USA mam w domu muszle, za które w Polsce trafiłbym do więzienia. ©℗

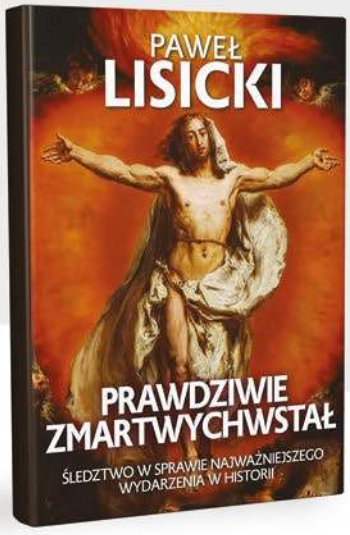
eprasa.pl 75b7358ee2

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"



+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

PAWEŁ LISICKI: „PRAWDZIWIE ZMARTWYCHWSTAŁ"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

<<<

~~1291 ZŁ~~

545,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 746 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- **Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail**
- **Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.**

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 75b7358ee2



HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



HORROR RABACJI GALICYJSKIEJ

Szał Szeli – w trakcie rabacji galicyjskiej rozegrały się sceny, jakich na ziemiach polskich nie widziano od czasów powstania Chmielnickiego i koliszczyzny. Szlachtę mordowano z wyjątkowym bestialstwem.

Stalowy filantrop – Andrew Carnegie był najbardziej wpływowym filantropem w dziejach. Amerykański bogacz odegrał też pewną rolę w promowaniu sprawy polskiej.

Kozielska wojna nerwów – film „Pojedynek" pokazuje, jak Sowieci starali się pozyskać agenturę wśród polskich jeńców. Zważywszy na skalę podjętych działań, „urobek" enkawudzistów był dosyć mizerny.

Czmychający Bierut – namiestnik Stalina nie mógł darować młodzieży upokorzenia, które przeżył w Szczecinie podczas uroczystości państwowych.

Kod Voynicha – konspirator, Sybirak i rzutki przedsiębiorca zasłynął jako posiadacz tajemniczego manuskryptu z późnego średniowiecza.

Burzliwa młodość geniusza – wydawać się mogło, że wielka kariera stoi otworem przed młodym da Vinci. Wtedy jednak doszło do wydarzenia, które omal nie zakończyło się dla niego tragicznie.

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 75b7358ee2